AŚB. w L. W.

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NR 13 (1370) ROK XXXIII 1 KWIETNIA 1990 ROKU CENA 1000 ZŁ

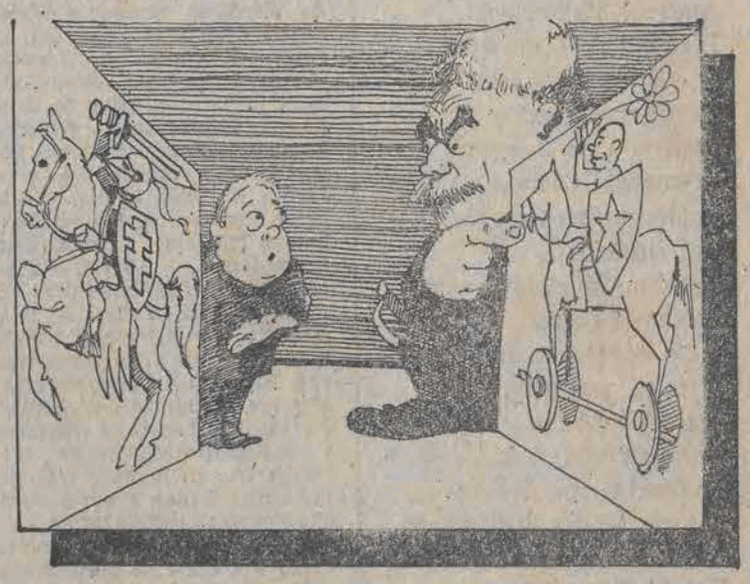

Rys. Dariusz Romanowicz

KAROL GŁOGOWSKI: — Do konstruowania nowej rzeczywistości bierze się też to, co dawniej było skuteczne, a dziś jest wygodne i taka praktyka budzi mój sprzeciw!

Jestem nadal w opozycji

Rozmowa z mecenasem KAROLEM GŁOGOWSKIM — liderem Ruchu Wolnych Demokratów, współorganizatorem Partii Wolnych Demokratów.

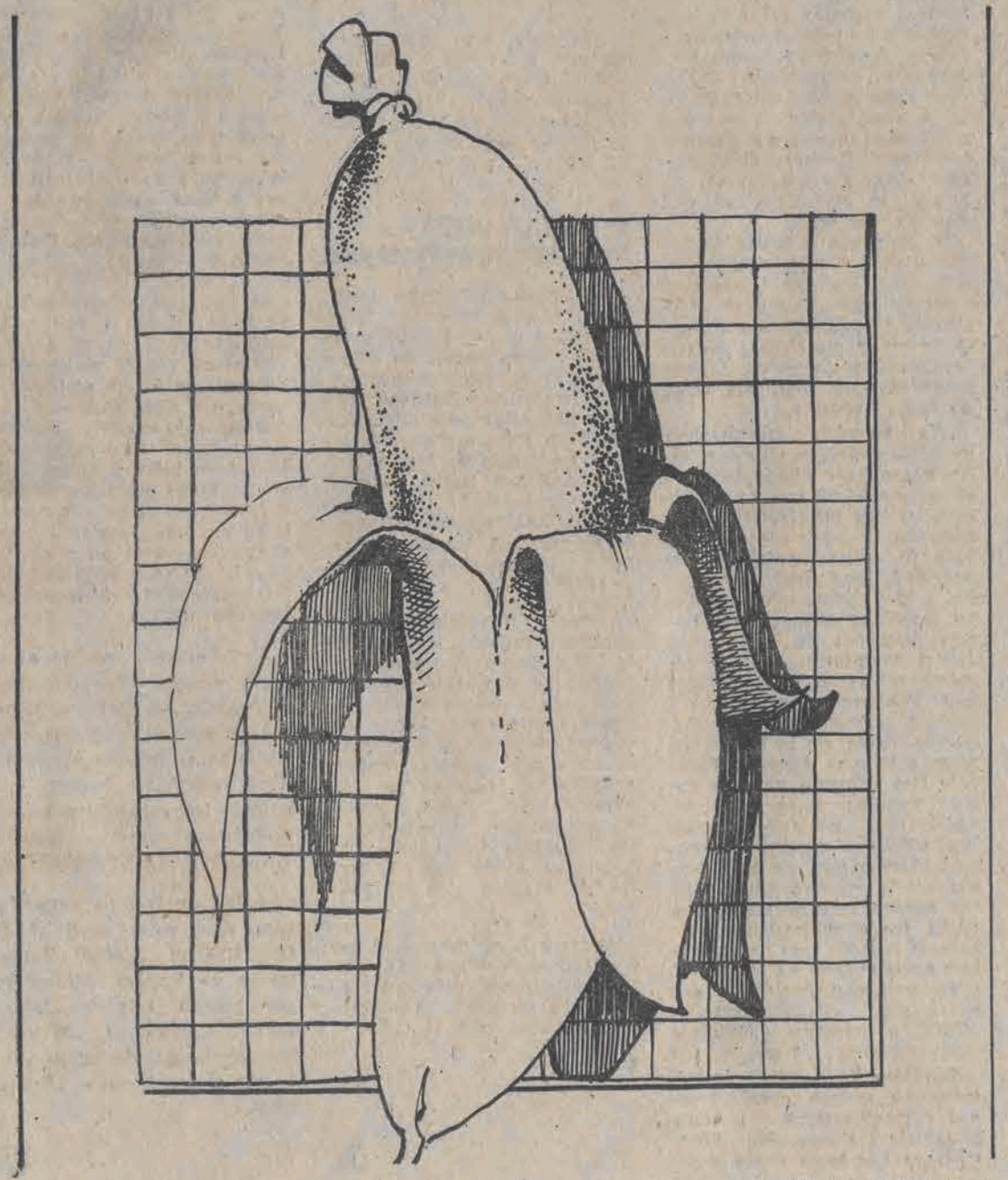

Rys. Dariusz Romanowicz

— Jak pan odnosi się do planu Leszka Balcerowicza, który to plan wywołuje skrajne opinie?

— Absolutnie niezbędne jest zastrzeżenie, że nie jestem ekonomistą, a zatem mogę wypowiadać się jedynie jako odbiorca skutków tych poczynań. Zawsze opowiadałem się za jawnością życia społecznego, bo człowiek może odnieść się do rzeczywistości, jeśli ma właściwe informacje na jej temat. Jeżeli plan Balcerowicza jest programem przystosowawczym do wymagań Międzynarodowego Funduszu Walutowego stawianych Polsce po to, by mogła korzystać z preferencji finansowych, jakimi MFW dysponuje wobec krajów zadłużonych, to podstawowym warunkiem powinno być zapoznanie społeczeństwa z treścią tzw. listu intencyjnego, w którym pewne programowe założenia są nakreślone. Jeśli my tego nie znamy — choć się o tym słyszy — to możemy tylko mówić o czymś, o czym nie wiemy. Możemy zatem tylko sądzić po skutkach. Może nas na przykład dziwić i zastanawiać fakt, dlaczego sprowadzamy masło, skoro rolnicy nie mogą w tym samym czasie zbyć swego masła?

— Brak pełnej informacji pozwala na stawianie pytań, ale uniemożliwia szukanie na nie odpowiedzi.

— Tak. Możemy dokonywać tylko pewnych uogólnień. Spostrzegamy zablokowanie sił rozwojowych społeczeństwa. Zjawisko to nabiera coraz szerszego zasięgu. Rośnie również jego świadomość u ludzi. Ale skoro nie znają zasad ekonomii, nie mają na ten temat niezbędnych informacji, to łatwo można dojść do uogólnienia: — Nie może być dobrze, skoro jest coraz bardziej źle!

— Oficjalna propaganda powtarza ciągle, że rząd ma poparcie, takie są również wyniki sondaży. Ma to świadczyć o dobrych nastrojach w społeczeństwie.

— Jest to typowy stan dla każdego okresu przejściowego. Jest to sytuacja patowa. Mamy rząd, który realizuje program naszych oczekiwań i mamy rzeczywistość, która skrzeczy coraz bardziej.

— I co będzie dalej?

— Jeśli sytuacja nie zmieni się w kierunku naszych nadziei — to będzie tylko gorzej. Wchodzimy na równię pochyłą, a ruch na niej jest coraz trudniejszy do zatrzymania.

— Nie można zapominać, że ekipa Tadeusza Mazowieckiego przejęła też spuściznę przeszło 40-letnich rządów komunistów. Całą winę można teraz zrzucić na nich.

— Odniesienie się do przeszłości jako przyczyny sprawczej obecnego stanu rzeczy ma uzasadnienie, ale częściowe. Jest to po prostu stwierdzenie stanu faktycznego. Poza tym jest to powtórzenie sytuacji, w której komuniści brali władzę. Powiadali oni wtedy: — No, gdyby nie te opóźnienia, które przejęliśmy w spadku po Polsce burżuazyjnej, to już mielibyśmy raj. I im dłużej od chwili startu używano tego argumentu, tym bardziej nabierał on humorystycznego charakteru, a ci, którzy go powtarzali, tracili poparcie. Tak było między innymi z Władysławem Gomułką, gdy mówił o tym po 1956 roku. Inne kraje, które były w podobnej do Polski sytuacji, jak choćby Hiszpania czy Grecja dokonały znacznego postępu, podczas gdy my zostaliśmy w tyle. Co prawda w niektórych dziedzinach też u nas relatywnie nastąpił postęp, choćby w dziedzinie zdobyczy socjalnych, ale jednak zostaliśmy w tyle.

— Przyznawano się do tego na ogół niechętnie.

— Nie tylko nie przyznawano się, ale szukano różnych „usprawiedliwień". Na przykład uważano, że winne są nasze cechy narodowe. Był to wyraźny argument zastępczy. Nie analizowano rzeczywistości gospodarczej, nie dopatrzono się złej organizacji pracy, marnotrawstwa, błędnych decyzji gospodarczych, niefrasobliwego przyjmowania programów, które niekiedy były wcale dobre. Głoszono, że mieliśmy najlepsze w Europie, jeśli nie na świecie, ustawy, jak antyalkoholowa czy o ochronie środowiska. Cóż z tego, kiedy rzeczywistość była i jest zupełnie inna.

— Czas na dokonanie większych zmian przez nową ekipę był dość krótki, czy sądzi pan, że można było dokonać więcej?

— To nie o czas chodzi. Raczej o filozofię działania. Jeśli głosi się tezę, że nie może być lepiej, skoro wczoraj było tak źle, to mało się osiągnie. Zakłada się bowiem zgodę na to, co jest dzisiaj, a co jest wynikiem tego, co było wczoraj. Otóż nie! Człowiek dziś nie może godzić się z tym, co jest złe tylko dlatego, że wczoraj było gorzej. Taka postawa nie sprzyja twórczemu odniesieniu się do rzeczywistości, nie budzi chęci jej zmiany.

— Różne partie odnoszą się jednak krytycznie do istniejącej sytuacji. Pluralizm polityczny może być gwarancją sprzeciwu wobec zastoju.

— Zaczynają pojawiać się zarodki pluralizmu. Nie zniknęły całkowicie z mapy politycznej te struktury, które istniały dotychczas. PSL „Odrodzenie" jest przecież kontynuacją tej organizacji, która była częścią Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. W dalszym ciągu istnieje nie odrodzone SD.

— Ale tam dokonują się wewnętrzne ruchy.

— PZPR przestała istnieć, ale jej miejsce zajęły dwie organizacje. Socjaldemokracja RP wydaje się być już znaczącą siłą polityczną. Unia Socjaldemokratyczna RP jeszcze niewiele znaczy. Pojawiają się i inne partie. W dwu głównych nurtach, które współtworzyły program „Okrągłego stołu" dokonują się wewnętrzne dekompozycje. Pojawia się centrolewica, centroprawica. Mam nadzieję, że pojawi się też centrum.

— Te narodziny ruchów politycznych dokonują się w dużej części pod przemożnym patronatem „Solidarności", która nie bardzo chce dopuścić do narodzin pluralizmu.

— To niezupełnie tak. O tym, jaką siłą jest dana partia czy ruch polityczno-ideowy nie decyduje osoba czy kierownictwo jakiejś grupy. Decydują o tym postawy społeczne. I dlatego nie podzielam hurraoptymizmu „Trybuny", w której pisze się, że „widmo socjaldemokracji krąży nad Europą", a zatem to socjaldemokraci dobrze wybrali. To prawda, że socjaldemokracja odgrywa w rządach Fu-

Adres redakcji

90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36 52 44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36 80 99,
publicyści: 36 77 70, 32 89 70
Redaktor naczelny: Lucjusz Wiodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski,
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlich, Jacek Indelak, Eugeniusz Iwanicki, Marek Koprowski, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Bogumił A. Makowski, Paweł Tomaszewski,
Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc,
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński,
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk,
Stale współpracują: Marek Brzeziński, (Paryż — Londyn), Anna Gronczewska, Andrzej Grun, Janusz Janyst, Marek Juśkiewicz, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Włodzimierz Krzemiński, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Monika Matuszak, Zenon J. Michalski, Marzena Mróz, Adam Ochocki, Henryk Pustkowski, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 32 59 11.

Organizacja reklamy: tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast

Wpłaty na prenumeratę przyjmują 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób 2) Urzędy pocztowe i listonosze od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne Należność za przyjętą prenumeratę pocztową obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc wyższa w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą – koszt dostawy lotniczy w pełni pokrywa prenumerator

B-10

Przegląd prasy

W 1793 roku wśród 190 mieszkańców Łodzi było 11 Żydów — dwie rodziny: piekarza Daniela Layzerowicza i krawca Abrama Lewkowicza. W latach siedemdziesiątych XIX wieku Żydzi stanowili już 22 proc., a w 1939 roku 35 proc. łodzian. Na początku kolejnych lat okupacji hitlerowskiej liczba Żydów w Łodzi wynosiła: 1940 r. — 219 860, 1941 r. — 154 045, 1942 r. — 162 245, 1943 r. — 87 141, 1944 r. — 79 648, 30 czerwca 1944 roku — 73 250.

O prześladowaniach i eksterminacji ludności żydowskiej w okupowanej przez hitlerowców Łodzi pisze w „ŁÓDZKICH ZESZYTACH HISTORYCZNYCH" (nr 11—12) Paweł Dzieciński. Już 8 lutego 1940 roku wydano zarządzenie ustanawiające odrębną dzielnicę mieszkaniową dla Żydów. Granica getta przebiegała następująco: Goplańską, Żurawią, w kierunku północnym przez Stefana do Wspólnej, następnie Wspólną do cmentarza żydowskiego, dalej Rogowską do Brackiej, Przemysłową do Starosikawskiej, Starosikawską do Środkowej, Głowackiego Chłodną, Smugową, Franciszkańską, Północną do rzeki Łódki, rzeką Łódką do Nad Łódką, dalej przez Podrzeczną, Drewnowską, potem Majową, Czarnkowską, Lutomierską, Modrą, Wrześnieńską, Piwną, Urzędniczą do rzeki Bałutki, następnie rzeką Bałutką, do Zgierskiej. Wyłączono z getta ulice Nowomiejską, Zgierską i Limanowskiego, aby nie utrudniać komunikacji między Łodzią a Zgierzem i Aleksandrowem Po tych trzech ulicach Niemcy i Polacy nie mogli jednak chodzić pieszo obowiązywał ruch kołowy.

Powierzchnia getta wynosiła około 4 km kw., a długość otaczającego je płotu około 15 kilometrów. W momencie oficjalnego zamknięcia getta 1 maja 1940 roku było tam 162 600 Żydów Tyle pozostało spośród 233 tys. mieszkających w Łodzi przed wybuchem wojny. Reszta zbiegła na wschód, została wysiedlona lub zmarła.

W łódzkim getcie przebywali nie tylko miejscowi Żydzi. Od września 1941 roku do końca lipca 1942 roku przywieziono prawie 38 tysięcy Żydów z innych rejonów (w tym z Niemiec, Austrii, Czech i Luksemburga). Jednocześnie wywożono Żydów do obozu w Chełmie nad Nerem i tam mordowano W dniu wyzwolenia Łodzi pozostało w getcie około 800 Żydów.

CZAR KRESÓW WSCHODNICH

Republika Litwy ma 65,2 tys. km kw. powierzchni i 3 mln 682 tys. obywateli. Stanowi to 0,3 proc. obszaru i 1,3 proc. ludności Związku Radzieckiego. Skład narodowościowy Republiki przedstawia się następująco: Litwini — 80,0 proc., Rosjanie — 8,9 proc., Polacy — 7,3 proc., Białorusini — 1,7 proc., Ukraińcy — 0,9 proc., Żydzi — 0,4 proc., inni — 0,8 proc.

Przed wojną województwo wileńskie miało 29,0 tys. km kw. powierzchni i 1 mln 276 tys. mieszkańców. Językiem polskim mówiło 59.7 proc. ludności, białoruskim — 22,7 proc., żydowskim i hebrajskim — 8,5 proc., rosyjskim — 3,4 proc., niemieckim — 0,1 proc., ruskim — 0,1 proc., innym — 5,5 proc.

Wilno liczy dziś 579 tys. mieszkańców (w tym blisko 100 tys. Polaków). Natomiast przed wojną miało 195 tys. osób. Językiem polskim mówiło wówczas 65,9 proc. ludności, żydowskim i hebrajskim — 28,0 proc., rosyjskim — 3,8 proc., białoruskim — 0,9 proc., niemieckim — 0,4 proc., ruskim — 0,05 proc., innym — 1,0 proc. Wyznanie rzymskokatolickie reprezentowało 64,7 proc. mieszkańców Wilna, mojżeszowe — 28.2 proc., prawosławne — 4,8 proc., ewangelickie — 0,9 proc., inne chrześcijańskie — 1,1 proc., nie określone i nie podane — 0,3 proc. W całym województwie znacznie większy udział mieli wyznawcy prawosławia (25,4 proc.) a mniejszy wyznawcy judaizmu (8,7 proc.).

Czesław Miłosz w rozmowie z Elżbietą Morawiec — opublikowanej w 1981 roku na łamach „POLITYKI" (nr 3) — tak wspominał strukturę klasową i narodową Wilna:

„Chodziłem do gimnazjum polskiego. Obok były gimnazja z językiem jidysz, hebrajskim, rosyjskim, było jedno gimnazjum białoruskie, litewskie. To nie była rdzenna Polska. (...) Ponieważ języki miały klasowe swoje podłoże, swoje odpowiedniki, wiadomo było, kto mówił po białorusku — to byli chłopi, młodzież pochodzenia chłopskiego, w 99 proc. o sympatiach do Mińska sowieckiego. Wiadomo było, kto mówił w jidysz — uboga ludność żydowska. Kto mówił po rosyjsku? Bogatsi Żydzi. Kto mówił po litewsku? No, ludzie pochodzący z chłopstwa Kto mówił po polsku? Ludzie pochodzenia szlacheckiego, tudzież tzw. ludek wileński. (...) Tam, gdzie się wychowałem, język polski był językiem szlachty, ziemian i robotników, ludności miejskiej. Chłopi mówili po litewsku".

Bardzo interesujące eseje, wspomnienia i fragmenty prozy dotyczące regionu litewsko-białoruskiego oraz duży plan Wilna z 1933 roku zawiera najnowsze wydanie miesięcznika „AUTOGRAF" (nr 6—7—8) W pierwszym tekście Zbigniew Makarewicz (urodzony w Wilnie) pisze:

„Litewskiego języka nie znam. Przecież znałem kiedyś. W Jurgiszkach za Rowczynkami, przez górkę mieszkał Bałukonis. Wróciłem pewnego razu z zabawy z dzieciakami Bałukonisa bardzo głodny. Wbiegam i proszę moją mamę, żeby dała mi coś jeść, może chleba Mama milczy, patrzy na mnie i nic nie rozumie. Mówiłem po litewsku. (...)

W czasie studiów we Wrocławiu był taki fason, żeby przyznawać się do swoich miejsc pochodzenia Im dalej na wschód — to większa była arystokracja. Ale Ślązacy i Górale, Kaszubi i Polacy urodzeni w Rzeszy to też było bardzo dobre pochodzenie. Tylko prawdziwi Polacy z „Centrali" musieli się czuć wśród nas wielojęzycznych jakoś głupio Wilno opłacało się towarzysko".

W rejonie litewsko-białoruskim spędził również dzieciństwo Zbigniew Zakiewicz. W wywiadzie udzielonym Alinie Kietrys mówi:

„U Białorusinów fascynowała mnie chłopskość, folklor, piękne śpiewy wracających od żniw kobiet, albo wieczorne tęskne zawodzenie młodych dziewcząt siedzących pod chatami. A z drugiej strony odziedziczyłem vaternalistyczny stosunek do Białorusinów, podobnie jak Wańkowicz. To swoiste poczucie wyższości, wrażenie, że jestem kimś lepszym, choć żywiłem do otaczających mnie nacji sympatię, ciepło. (...)

Pierwsza wzmianka o moim rodzie pochodzi z XVII wieku. Janko Zakiewicz był kanonikiem żmudzkim. Mogę teraz dedukować dalej. Skoro w annałach odnotowano kanonika, rodzina musiała być silna. Mój pradziad — prawdopodobnie Zak — profesor, nauczyciel, przywędrował z Krakowa chyba w momencie latynizacji Litwy. Matka moja z domu jest Oganowska. To ród tatarski. Oga — znaczy po tatarsku — wódz. Nie ma jednak w mojej rodzinie cech mongolskich, a są — na co zwrócono mi uwagę: długie palce u rąk i nóg — typowe cechy plemion tiurskich, kaukaskich. (...) Z kolei moja babcia ze strony ojca jest z domu Ławrynowicz. To białoruski ród. Wiem więc, że mam w sobie krew polską, tatarską, białoruską, ale i litewską, a może nawet gdzieś zaplątali się niemieccy Inflanci. A więc jest to kilka kodów genetycznych."

W opowiadaniu pt. „Polowanie na głuszcza" Konrad Łapin pisze o polskim Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Kownie. Szkoła ta była solą w oku władz przedwojennej Republiki Litewskiej. Przekrój klasowy uczniów był rozmaity:

„Córki i synowie rozparcelowanego, lecz na ogół nieźle sytuowanego ziemiaństwa, zasiadali obok młodzieży wywodzącej się ze środowiska inteligencji miejskiej, z rodzin rzemieślniczych i drobnowłościańskich. Nie przeszkadzało to w powstawaniu więzów trwałej i szczerej przyjaźni. Takie nazwiska, jak: Kossakowski, Radziwiłł, Tyszkiewicz, Plater czy Przeździecki figurowały w spisie uczniów obok Szyszów, Ciechanowiczów, Bulińskich, Dowejków, Syrtowtów i Gadonów".

POLONICA W ZAKAZANEJ KSIĄŻCE

W głośnej powieści Salmana Rushdiego „Szatańskie wersety" znajdują się elementy polskie. Niewielki fragment książki przełożony przez Annę Kołyszko opublikował miesięcznik „LITERATURA NA ŚWIECIE" (nr 10). Występuje w nim Otto Cone, historyk sztuki, i jego córka Alleluja (Allie) Cone, która schodzi z Mount Everestu.

„Lodowe miasta na dachu świata nie wprawiłyby Otta w zdumienie. Podobnie jak jego żona Alicja, matka Allie, był emigrantem z Polski, gdzie podczas wojny przeżył obóz koncentracyjny, chociaż przez całe dzieciństwo Allie ani razu nie padła jego nazwa. (...)

Dręczyły go duchy przeszłości; nie czytywał polskiej literatury, nie brał do ręki Herberta ani Miłosza, ani nawet tych młodszych jak Barańczak, bo w jego pojęciu ten język został nieodwracalnie skażony historią".

Otto Cone w Warszawie nazywał się Cohen. Zmienił nazwisko po przyjeździe do Londynu. Chciał wymazać swoją żydowskość. Podkreślał, że teraz jest Anglikiem, lecz mówił z wyraźnie wschodnioeuropejskim akcentem.

Autor „Szatańskich wersetów" urodził się w 1947 roku w Bombaju. Od czternastego roku życia mieszka w Anglii Tam ukończył szkołę prywatną i uniwersytet Cambridge. Uważa się za pisarza brytyjsko-indyjskiego. Jego rodzina w 1964 roku przeniosła się do Pakistanu. A on sam musi się ukrywać przed fanatykami muzułmańskimi

W powieści Salmana Rushdiego nie mówi się o proroku Muhammadzie, lecz o kuzcu Mahoundzie, który stał się prorokiem. Prawdopodobnie imię „Mahound" powstało przez połączenie: „Mahomet" i „hound" — pies. Powieściowy prorok Mahound nie żyje w Mekce, lecz w mieście piasku Dżahilijja (po arabsku „niewiedza" lub „pogaństwo"). O proroku Mahoundzie i mieście Dżanhilijji śni jeden z bohaterów — Dżibril (Gabriel) Fariszta, który pozostaje w szponach schizofrenii paranoidalnej.

ZWIERZENIA MAŁGORZATY NIEZABITOWSKIEJ

Jej znak Zodiaku to Strzelec, ulubiony pisarz — Milan Kundera, ulubiony aktor — Charlton Heston, ulubiony kompozytor — Ludwig van Beethoven, ulubiony sport lub hobby — taniec, ulubiony kwiat — konwalia, ulubiony kolor — róż, ulubiony film — „Andriej Rublow" radzieckiego reżysera Andrieja Tarkowskiego. Z różnych epok najbardziej fascynuje ją starożytność. Z powieści najchętniej wraca do „Ogniem i mieczem" Henryka Sienkiewicza. Gdyby nie urodziła się w Polsce, to chciałaby żyć nad ciepłym morzem.

W rozmowie z Martą Golińską opublikowanej w miesięczniku „URODA" (nr 1) rzecznik prasowy rządu, minister Małgorzata Niezabitowska podkreśla, że nigdy nie chciała podporządkować życia pracy. Zawsze przywiązywała ogromną wagę do domu i rodziny.

„Na szczęście pracowałam wspólnie z mężem, więc mogliśmy nasze życie ułożyć tak, jak sobie życzyliśmy i zajmować się tym, co nas interesowało. Na początku naszego małżeństwa były to różne dziedziny: na przykład, mąż robił scenografię, a ja reżyserowałam występy zespołów muzycznych. Potem zajęliśmy się już pracą ściślej zawodową, czyli ja pisałam teksty, a on fotografował. Tak zrobiliśmy książkę i wiele wspólnych reportaży. Podobnie działo się w czasie naszego pobytu w Ameryce. Przez całe lata udawało się nam godzić wspólną pracę z życiem rodzinnym, ponieważ mogliśmy wszystko wspólnie planować. Sprawdzało się to zupełnie nieźle, chociaż pracowaliśmy bardzo intensywnie. Naszą córkę także zabieraliśmy ze sobą w podróże i do pracy. Była z nami w lecie na Mazurach, gdzie przygotowywaliśmy duży reportaż dla miesięcznika „GEO", a przedtem wspólnie przejechaliśmy Amerykę. (...)

Starałam się zawsze unikać wszelkich stałych posad, nawet dziennikarskich. I nagle otrzymałam stanowisko, które wymaga ode mnie pracy przez 12—14 godzin dziennie, oczywiście poza domem. (...) W tej chwili jest to praca, która zupełnie wyklucza życie osobiste. Nie wspomnę już, że przestałam spotykać się z przyjaciółmi, ponieważ po prostu nie mam czasu, nawet dla mojej córki. Gdy wracam do domu, czasami udaje mi się jeszcze umyć jej plecy — bo akurat jest w kąpieli — i położyć do łóżka. (...)

Obserwuję paru moich kolegów. Tak się akurat złożyło, że ministrowie Ambroziak, który jest szefem Urzędu Ministrów oraz Hall, który zajmuje się kontaktami z partiami i organizacjami politycznymi, a jest też bliskim doradcą pana Premiera, to mężczyźni samotni. Patrząc na nich mówię sobie: no tak, oni mogą sobie na to pozwolić, po prostu nie mają tego stresu, który nieobcy jest także mężczyznom mającym rodzinę. Na przykład, zdarza się często, że dyretkor mojego biura swego niespełna pięcioletniego synka przez tydzień widuje wyłącznie, kiedy mały śpi".

ZARDZEWIAŁY CZŁOWIEK Z ŻELAZA

W stołówce Stoczni Gdańskiej jeden z robotników powiedział, że stosunek Lecha Wałęsy do NSZZ „Solidarność" jest odwrotnie proporcjonalny. To znaczy: im grubszy Wałęsa, tym chudszy Związek.

Od tej historyjki zaczyna się reportaż Mariusza Wilka z obrad II Walnego Zjazdu Delegatów Regionu Gdańskiego NSZZ „Solidarność" wydrukowany w tygodniku katolickim „MŁODA POLSKA" (nr 9) Autor przybył do Stoczni Gdańskiej po dłuższej przerwie.

„Przez bramę przechodziłem ze wzruszeniem W hallu spotkałem Borówkę, czyli «człowieka z żelaza» Powiedział mi, że zamierza odejść ze stoczni, nie jest delegatem, trochę zardzewiał Potem natknąłem się na Grabara, legendę gdańskiego podziemia stanu wojennego, przywódcę portu Powiedział mi, że związku już nie ma, Wałęsa rozbił „Solidarność", a on sam wybiera się do Ameryki. Później inni znajomi mówili mi inne, równie smutne rzeczy i też byli rozgoryczeni".

Pewna starsza pani zwróciła uwagę, że w 1981 roku było w tym rejonie ponad pół miliona członków „Solidarności", a teraz nie ma nawet stu tysięcy. Ludzie są dziś apatyczni, nie chce im się działać Stoczniowcy mało interesowali się zjazdem. Nie było tłumu ciekawskich, jak osiem lat temu. Dlaczego? Jeden z delegatów wyjaśnił:

„To były inne czasy, teraz olewają. Co innego, gdybyśmy mówili o pieniądzach, o dodatkach do pensji. O, tak, szmal przyciągnąłby wielu. Poza tym Lechu już nie jest ich. Oni to czują".

PODZIAŁ OKP?

Tak zwana drużyna Lecha Wałęsy miała wygrać wybory, przełamać monopol polityczny PZPR i doprowadzić do demokracji życia społeczno-politycznego w Polsce. Ponieważ cele te zostały osiągnięte, Obywatelski Klub Parlamentarny powinien się podzielić. Jest to pogląd Andrzeja Kerna z Łodzi. W wywiadzie udzielonym „TRYBUNIE" (nr 32) polemizuje z koncepcją Adama Michnika i następująco charakteryzuje OKP:

„Obecnie wyróżnia się grupa określona mianem lewicy laickiej, która zresztą się do tego miana nie przyznaje. Ugrupowań czysto prawicowych w mojej ocenie nie ma. Jest natomiast prawica demokratyczna, są silne ugrupowania rolnicze, a także te, które można by określić jako demokratyczne, ale mieszczące się w nich i chrześcijańscy demokraci, i liberałowie, i siły ściśle centrowe, do których i ja się zaliczam".

Andrzej Kern uważa, że bez wyraźnie ukształtowanych partii politycznych może dojść do kolejnego monopolu. Potrzebny jest więc podział OKP.

E. L.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Ryszard Sztuka, jedna z ofiar szatańskiego pomysłu, jakim była próba odebrania duszy polskiemu dziecku, przez dwadzieścia z górą lat dochodził — w imieniu koleżanek i kolegów — sprawiedliwości i zadośćuczynienia cierpień z okresu wojny. Choć cierpliwie i z determinacją, jednak bez skutku. Dziś dochodzi do ponurego wniosku, że to, co nie udało się Niemcom, znakomicie mogą załatwić polscy urzędnicy wysokiego szczebla, mający chronić interesy obywateli. Gniew na arogancję i bezduszność urzędników emocja przenosi na wszystko, co polskie, a poczucie krzywdy i trwającej niesprawiedliwości każe równać w swym odczłowieczeniu faszyzm z komunizmem. Dlatego zwrócił się do prasy, jako ostatniej deski ratunku — reportaż **MARKA KOPROWSKIEGO.**

— Ryba psuje się od głowy. Porywał się więc na sekretarzy, prezydentów, dyrektorów. Samotnie, w pojedynkę, na przekór wszystkim, sprzysięgając przeciwko sobie arogancję i służalczość, głupotę i bojaźń, perfidię i nikczemność. Próbowali zrobić z niego maniaka i pieniacza, przezwano go Don Kichotem, uznano za wroga partii, państwa i ustroju, a on był po prostu radnym, który ze śmiertelną powagą potraktował swe powinności wobec wyborców. Stał się nadzieją pokrzywdzonych i potrachem dla nieuczciwych — reportaż **JACKA INDELAKA.**

— Prelegentowi wytknięto, że lekceważy dwa zagrożenia: niemieckie i żydowskie Pytanie o zagrożenie żydowskie **LESZEK MOCZULSKI** określił jako obsesyjne. Wyraził także uznanie dla Adama Michnika, który więcej zrobił dla Polski niż niejeden Polak. Przewodniczący Rady Politycznej KPN nie dał się również wciągnąć w atak na Jacka Kuronia, który okres 1944—56 miał określić w telewizji mianem wojny domowej — relacja **KONRADA FREJDLICHA.**

— Kadzie zaczęto w pośpiechu przetaczać na pojazdy wojskowe. Kapitan podszedł bliżej. Polecił w pierwszej beczułce odbić denko. Ukazały się zanurzone w płynie zwłoki nagiej i zgiętej w pół kobiety. Osłupiały Trauber wybałuszył oczy. Był bliski omdlenia. Rozpoznał od razu twarz Marii. Kapitan milczący i pobladły stał również w miejscu z rozdziawionymi ustami. Wreszcie rzucił stekiem ordynarnych przekleństw i nakazał pootwierać resztę baryłek. W każdej spoczywało ciało młodej i ładnej kobiety zabezpieczone w czystym spirytusie — sensacyjny materiał **JANA BĄBIŃSKIEGO.**

— Na statku pozamykane są bary, kioski i wyłączone głośniki. Mówi się, że nie otrzymamy więcej posiłków, że wkroczy na statek wojsko i usunie nas siłą. Niektórzy proponują rozpoczęcie głodówki. Cena paczki papierosów dochodzi do kilku dolarów. Po statku krąży pogłoska, że jeżeli ktoś z turystów odważy się zejść na brzeg, zostanie wrzucony z bagażem do morza — relacja **JANA KOWALSKIEGO,** uczestnika wycieczki na MS „Estonia".

— Członkowie rodziny ostatniego cesarza Chin mieszkają w Pekinie, przy alejce, której próżno szukać na planie miasta albo w jednym z osiedlowych labiryntów, gdzie rozpoznaje ich zaledwie kilka sąsiadujących rodzin — reportaż **MARCINA ŁACHOWSKIEGO.**

— Już za tydzień rozpoczynamy druk nowej powieści **LEONARDA** pt. „Facet". Zapraszamy do lektury miłośników popularnych książek „Inkarnacja", „Upiór" i „Matnia", których fragmenty najpierw ukazały się na łamach „Odgłosów".

ze str. 1

ropy Zachodniej znaczną rolę. **Ale z tego wcale nie wynika,** że ten kto postawił na socjaldemokrację w Polsce będzie należał do sił sprawczych w Europie w końcu XX wieku.

— Ale wybór między komunizmem a socjaldemokracją jest wyborem właściwym.

— Zgoda. Jest to właściwe wyjście. Nie można jednak zapominać, że w Polsce właściwym wyborem jest przede wszystkim odradzający się ruch chrześcijańskiej demokracji. Ten ruch odgrywa też decydującą rolę w ruchu politycznym Zachodniej Europy. Proszę zwrócić uwagę, że odrodziło się Stronnictwo Pracy, które nie jest znów takim „wystrzałowym" zjawiskiem. Jeśli ruch pana Tadeusza Fiszbacha reprezentuje faktyczną socjaldemokrację a nie ruch pana Aleksandra Kwaśniewskiego. to znów ruch pana Tadeusza Fiszbacha również nie jest taki wystrzałowy. Prowadzi to do konkluzji, że mniej trzeba zajmo-

cielstwo, a resztę pozostawić bez zmiany. Taka sytuacja może doprowadzić tylko do rozczarowania, przynieść nieodwracalne straty.

— Czy mógłby pan posłużyć się przykładem?

— Tak. W Łodzi mamy „naszego" prezydenta, który nie ma pieniędzy, tak jak jego poprzednicy. Nie ma tych pieniędzy na najbardziej elementarne potrzeby. I nadal może ich nie mieć. A taki prezydent po prostu przegrywa. I nie dlatego, że go w przyszłości ktoś nie wybierze lecz owszem wybierze, ale znów mu nie da pieniędzy. I to może dotyczyć nie tylko prezydenta, ale i nowej rady. Potrzeba nam zatem nie tylko wolnych wyborów, ale również innej konstrukcji stosunków ekonomicznych. A tego brak. Jeśli więc ich nie będzie, to mamy właśnie taką niekompletność warunków. I dlatego — z punktu widzenia merytorycznego a nie politycznego — należałoby działać powoli, wprowadzać zmiany stopniowo a efektywnie.

stkim: czy chcę działać w samorządzie, czy tylko wystarczy mi, abym się znalazł na zwycięskiej liście. Bo zakładam i taką możliwość, że niektórym kandydatom będzie tylko o to chodziło.

— Niepokoją też różnego rodzaju konflikty, których przyczyny wszyscy rozumieją, jak choćby sprawa z wyrażeniem wotum nieufności w Piotrkowie Trybunalskim przez tamtejszy Zarząd Regionalny „Solidarności".

— Można przyjąć, że odwoływanie przedstawicieli wymyślili komuniści i dlatego odrzucić taką zasadę, choć jest ona racjonalna. Bo skoro my wybraliśmy swego przedstawiciela, a on nas zawiódł, to powinniśmy mieć również prawo go odwołać. Tymczasem odrzucono tę zasadę. I co zostało? Możliwość wyrażenia wotum nieufności, ale ma to tylko charakter moralno-polityczny, bez żadnych praktycznych skutów.

— Przyzna pan, że dla postronnego obserwatora spór toczony między WKO i ŁPO w mogę takiej praktyki akceptować.

— Czy byłby pan za tym, aby przyśpieszyć wybory do Parlamentu?

— Tak. Siły, które tworzą obecną reprezentację rozpadły się, przestały istnieć. Nie ma PZPR, a są „jej" posłowie w Sejmie RP. Można sądzić, że tych posłów w innym mechanizmie wyborczym dziś nie wybrano by. Pamiętajmy o tym, że niektórzy z nich dostali zaledwie po 12 000 głosów. To paradoks. Nie może dojść do tego, że wystarczy tysiąc głosów, aby ktoś był przedstawicielem społeczeństwa w samorządzie. Jeśli w przeszłości sprzeciwialiśmy się procentowemu udziałowi w ciałach „przedstawicielskich": na przykład tyle procent kobiet, tyle robotników, tyle młodzieży, chłopów, kombatantów, to obecnie nie możemy akceptować tego, że minimalna liczba głosów wyborców — na przykład 8—10 proc. — wystarczyła, aby zostać przedstawicielem społeczności lokalnej.

— W czerwcu 1989 roku wygrywali na ogół ci, którzy sfotografowali się z Lechem Wałęsą. Wyjątki były nieliczne. Mam nadzieję, że teraz będzie inaczej.

— Pan Wałęsa mówi, że już nie będzie wspólnych fotografii. Ale Komitety Obywatelskie są nadal firmowane przez „Solidarność". Prawdopodobnie po drugiej stronie pojawi się jakiś konglomerat sił, które wówczas przegrały, a dziś mogłyby wygrać wykorzystując rosnące niezadowolenie społeczeństwa. Może ich poprzeć ta część elektoratu, która zawiodła się w tamtych wyborach. Można także podejrzewać, że owe 38 procent nieobecnych w wyborach — to zwolennicy komunistów. Byli oni niezadowoleni z faktu oddania władzy przez PZPR przy „Okrągłym stole". I dali temu w taki sposób wyraz.

— Przyznam, że jest to dla mnie zupełnie nieoczekiwany wniosek.

— A jednak możliwy. Proszę zauważyć, że odradzająca się na „gruzach" PZPR partyjna struktura nie zbiera pod swoimi sztandarami tysięcy zwolenników. Dlaczego? Można założyć, że byli członkowie są to ludzie niezadowoleni z dokonanej zmiany. Wielu z nich nie ma ochoty współdziałać z osobami poprzednio trzymanymi w więzieniach.

— A jak wielka jest dziś opozycja?

— Nie może być duża i silna, bo społeczeństwo jest sfrustrowane i przez to bierne politycznie.

— Co pan sądzi o młodzieży? Jest niekiedy bardzo radykalna w swoich poglądach i poczynaniach.

— Żadna siła polityczna nie może lekceważyć młodzieży. Ale też i młodzież dziś nie stanowi poważnej siły. Stać ją na destrukcję, a partie polityczne poszukują pomocy w działaniach konstrukcyjnych. Poza tym w tzw. zadymach bierze udział powiedzmy 500 młodych, do tego dołącza 500 niezadowolonych staruszków. To cóż to za siła? Młodzież jest dziś bardziej skołowana niż starsi.

— To wyszedł nam z tej rozmowy dość ponury obraz.

— Bo jest ponury.

— I nie widzi pan żadnych pozytywów?

— Tego nie powiedziałem. Myślę, że pozytywem jest to, że wszyscy zaangażowani ludzie starają się tak organizować proces społeczny, aby w nim uczestniczyć. To ważne, bo bez tego zaangażowania niczego się nie osiągnie. Potrzeba dalej programów i środków na ich realizację. Do tego potrzeba też, aby w każdym zespole ludzi znalazł się jeden spolegliwy gospodarz, który potrafi wykorzystać ich umiejętności, pobudzić zaangażowanie.

Powinniśmy też wyciągnąć wnioski z tego wszystkiego, co się do tej pory w Polsce nie udawało. Wprawdzie trzeba uczyć się na uniwersytetach a nie na błędach, ale błędy trzeba jednak analizować, aby unikać ich w przyszłości. Właśnie uniwersytety powinny pomóc w analizie popełnionych błędów i przyczyniać się do wyznaczania nowych celów. Wszystkim nam bowiem powinno zależeć na tym, aby ponownie nie doszło do tego, że nasi sąsiedzi stwierdzą, iż Polacy nie potrafią właściwie kierować własnym państwem i nie potrafią go utrzymać.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Jestem nadal w opozycji

wać się hasłami, jakie głoszą różne ruchy polityczne, a uważniej przyglądać się rzeczywistości.

— Jeśli według opinii pana decydującą rolę będą odgrywały silne ruchy polityczne, jak choćby chadecja czy socjaldemokracja, to co pan sądzi o ruchu chłopskim?

— Rzecz trzeba ująć relatywnie. Można mówić o silnym ruchu w określonych warunkach. Posługując się tradycyjną nomenklaturą: w układzie klasowym ruch chłopski jest potężną siłą społeczną. I jeśli by ten ruch się zintegrował.

— Co się powoli już rysuje.

— I tak i nie. Zanosiło się na integrację, ale wystąpił pan Lech Wałęsa i powiedział, że do tego nie dopuści. Ripostą ze strony „Solidarności" Rolników Indywidualnych było uznanie pana Józefa Ślisza — twórcą nowej partii opartej na wiejskiej „Solidarności" — za agenta pana Lecha Wałęsy powołanego do rozbijania ruchu chłopskiego. I pan Józef Ślisz przegrał z kretesem w wiejskiej „Solidarności", której był niekwestionowanym przywódcą. Ten przykład pokazuje, jak komplikują się okoliczności.

— Zakłada pan, że ruch chłopski nie zintegruje się?

— Nie można postawić jednoznacznej diagnozy. Ruch chłopski może zjednoczyć się i odegrać taką rolę, jaką w przeszłości odgrywała partia robotnicza. Tak może być. Ale tak być nie musi, bo mogą pojawić się wewnętrzne nurty w tym ruchu, mogą oddziaływać nań różne partie polityczne w taki sposób, że zmieni się jego rola i znaczenie w polityce państwa.

— Jest to zatem stan tworzenia się, stan przejściowy.

— Owszem. Wiele rzeczy się klaruje, ale nie ma takich wyznaczników, aby można było bezbłędnie wykreślić kierunek dokonujących się przeobrażeń.

— Posługując się starym nazewnictwem — wszystko zależy od bazy?

— Baza jest w stanie wielkiego sfrustrowania i nie ma takich badań, aby można było na ich podstawie powiedzieć, jak na przykład zachowa się w wyborach samorządowych.

— A co pan przewiduje?

— Badań nie prowadziłem, byłem na kilku zebraniach w gminach z różnych okazji i wiem, że frekwencja na nich jest więcej niż niepokojąca. Jest prawie żadna. Nie mozna z tego faktu wyciągać wniosków ostatecznych, ale widać, ze jest poważne zniechęcenie i zobojętnienie na wszelkie formy społecznego zaangażowania.

— Może nie należałoby się tak spieszyć z wyborami?

— Pośpiech podyktowany jest względami politycznymi a nie merytorycznymi. Rozpoczęcie zmiany struktury władzy od góry, od Sejmu i Senatu, rodzi naturalną konsekwencję sprowadzającą się do zmiany tej struktury na niższych szczeblach. Dyskusyjny jest natomiast model tej struktury, jaki się proponuje.

— Dlaczego? Jakie widzi pan zagrożenia?

— Pierwszym zagrożeniem jest niekompletność warunków. Nie można bowiem przeprowadzić tylko wyborów, wyłonić nowe władze, nowe przedstawi-

— A inne zagrożenia?

— Wiem, że koncepcja nowego samorządu dopiero powstaje. Wiem też, że o jego powodzeniu zadecyduje kadra urzędników. To muszą być urzędnicy o zupełnie innej mentalności i stylu pracy. Wiem, że państwa zaawansowane w rozwoju samorządu, jak choćby Francja, pośpieszyły nam z pomocą. Ktoś tam już jedzie na szkolenie. Ale, nie wiemy: kto to organizuje? kto kwalifikuje? kto decyduje, że jedzie ten człowiek a nie inny? Kto wreszcie decyduje, że akurat ci ludzie a nie inni będą w samorządzie pracowali? To są praktyki wołające o pomstę do nieba! Ktoś też decyduje o pieniądzach na ten cel i ktoś to wszystko kontroluje. KTO?

— Trzeba wierzyć, że robi się to uczciwie.

— O wierze można mówić w dyskusji na tematy religijne. W dyskusji politycznej po prostu trzeba wiedzieć. Muszę wiedzieć, bo na tej podstawie mogę oceniać i skutecznie kontrolować. Jeśli te warunki są spełnione, to mamy do czynienia ze świadomym społeczeństwem i zdrowymi w tym społeczeństwie stosunkami. Inaczej odradza się taka sama hydra, tylko z inną głową.

— Nie wszystko jednak zostaje tak jak było Mimo pana zastrzeżeń samorząd oparty będzie na innych zasadach. Czy te propozycje też budzą pana obawy?

— Nie ma jeszcze tekstu ustawy. Ale moją obawę budzi na przykład fakt, że Łódź ma być jedną gminą. Taką samą jak Aleksandrów czy Konstantynów. Przychylam się do postulatów przedstawicieli Warszawy, że powinien to być konglomerat gmin. Tak jest w wielkich miastach na Zachodzie. W takim mieście rada miejska powinna być sejmikiem gmin. Tymczasem teraz przeprowadzamy wybory, a potem trzeba będzie podjąć uchwałę i znów przeprowadzać wybory. To bardzo niebezpieczne. Dowodzi tego przykład Gdyni, Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie zainteresowanie powtórnymi wyborami było niewielkie. I powstaje paradoksalna sytuacja, że można zostać reprezentantem społeczeństwa... wybranym przez 10—20 procent wyborców. To jest również klęska polityków, którzy nie potrafią zjednać własnego elektoratu do pełnego zaangażowania. Jeśli nie potrafią, to powinni zostać bez mandatu.

— A jak według pana powinna przebiegać kampania wyborcza?

— Na początku powinni ujawnić się wszyscy, którzy chcą kandydować do samorządu. Powinni poddać się bardzo szerokiej społecznej ocenie. W tej dyskusji część nie uzyskałaby poparcia i odpadła. Do dalszej rywalizacji stanęliby ci, którzy taką akceptację osiągnęliby. Ponieważ nie mam w ręku ordynacji wyborczej trudno mi powiedzieć, jaką zająłbym postawę, gdybym na przykład zdecydował się kandydować. Ale mimo to dla mnie pozostaje nadal ważne pytanie, które ostrzega o wszy-

Łodzi też może się wydawać irracjonalny.

— Ale nie jest. Jako opozycjonista wobec rzeczywistości, która istniała, uważam, że jej istota polegała na koncesji i kooptacji. Jeśli nawet dokonywało się wyboru, to w istocie był to tylko dobór ludzi i to często dobór negatywny. Zdarzały się wyjątki, ale one nie zmieniały obrazu rzeczywistości. A teraz? Otóż Komitety Obywatelskie powstają na takiej samej zasadzie — i to od góry do dołu. Pan przewodniczący NSZZ „S" dobiera sobie ludzi i komitety w terenie też dobierają w podobny sposób.

— Jak pan by widział powstawanie takich komitetów?

— Jeśli powstaje komitet, to każdy kto chce i kto jest zatroskany stanem miasta, dzielnicy osiedla ma szansę wejść do niego. Przychodzi i prezentuje swój program. Jeśli program jest dobry — to może nawet zostać jego przewodniczącym. Jeśli program jest gorszy, to członkiem. A jak się w ogóle nie angażuje, tylko chce być, to trzeba mu podziękować. Otóż ŁPO powstało jako protest przeciw takiej zasadzie doboru. Komitet Obywatelski najpierw „dobrał" sam siebie, a potem dobierał innych. Pojawił się jako komitet wyborczy i pełnił funkcję czynnika promującego kandydatów w wyborach. Na jakiej zasadzie? Było to spożytkowanie w nowych warunkach starej, zdyskredytowanej instytucji prawa wyborczego, tzw. konwentów wyborczych, które zajmowały się promocją kandydatów. Jak z tego widać ludzie zmienili się, ale mechanizmy pozostały.

— W czerwcu 1989 roku potrzebna była konkurencja dla PZPR. Ktoś tę konkurencję musiał organizować i robiły to Komitety Obywatelskie „Solidarności".

— Usprawiedliwienie można zawsze znaleźć. Uważam, jednak, że albo zrywa się z tym co było wczoraj i walczy się, aby stare praktyki nie wracały, albo dzieje się, jak się dzieje.

— Skąd to nasze swoiste zamiłowanie do niedobrych tradycji?

— Z działania mechanizmów psychologicznych. Jeśli nasz przeciwnik był skuteczny w walce z nami, to teraz, skoro my mamy władzę, to chętnie adaptujemy jego sprawdzone w działaniu metody.

— Z tego, co pan do tej pory powiedział, mogę sądzić, że jest pan nadal w opozycji. Czyżbym się myliła?

— Nie myli się pani. Jestem nadal w opozycji. Jako demokrata miałem bowiem nadzieję, że procesy zmian będą dokonywały się przy udziale tych sił politycznych, które wywodzą się z opozycji demokratycznej. Ale tak się nie dzieje. Na przykład — o czym już wspomniałem — wyborcy nie mają obecnie możliwości odwoływania tych przedstawicieli, którzy zawiedli ich oczekiwania. I to mnie niepokoi, gdyż jest to zapewnianie sobie trwałych pozycji przez nowy establishment polityczny. Jako demokrata nie

Z tej ziemi

Na razie same pytania

26.03.1990.

1.

Stało się. Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" sejmową decyzją przestaje istnieć. Wokół tej decyzji narosły niebywałe emocje. Jedni się cieszą i ogłosili zwycięstwo, inni się martwią, bo przed nimi widmo bezrobocia, inni jeszcze są zupełnie obojętni. Jak w życiu. Trzeba się wszakże zdobyć na maksimum obiektywizmu. RSW „Prasa-Książka-Ruch", kiedy jeszcze nie miała tak skomplikowanej nazwy, powstała w zupełnie innych warunkach i miała służyć określonym celom. Zmonopolizowała rynek prasowy, o ile w ogóle był to rynek. Ostatnio przedstawiała zbiurokratyzowaną, niereformowalną strukturę, przez co była obiektywnie skazana na rozpad. I takie ośrodkowe tendencje w RSW ujawniały się coraz śmielej, ale były skutecznie hamowane.

Podstawowa słabość RSW — wbrew temu co się powszechnie uważa — polegała na tym, że hierarchia redakcji, które przecież decydowały o wynikach pracy tego koncernu, nie zależała od ich osiągnięć ekonomicznych, ale sztucznego umiejscowienia pism w tej hierarchii. Na czele były zawsze pisma partyjne, którym należało się wszystko. Inni byli już z natury gorsi. Poza tym redakcja mogła niebywale wysilić się, uzyskać dobre wyniki, ale to nie miało żadnego wpływu na materialną sytuację pracowników. Czy się miało deficyt, czy zysk — stawki były sztywne. Za dobre wyniki otrzymywało się jedynie nagrody. A to nie były właściwe bodźce do podnoszenia jakości i wydajności pracy. Poglądy takie prezentowałem co najmniej od kilku lat, co nie wszystkim się podobało.

Drugim naturalnym powodem upadku koncernu RSW „Prasa-Książka-Ruch" był fakt, że przez lata traktowano tę organizację produkcyjną jako doskonałe źródło zysków. Nie inwestowano w technikę wydawniczą, wiele redakcji nie widziało nigdy komputera, nie ma pojęcia, co to jest telefaks, dysponuje psującymi się dalekopisami, a jaka jest w Polsce sieć telefoniczna — to każdy dobrze wie. Dla wielu dziennikarzy wyjazd za granicę był nieosiągalnym marzeniem, bo wyjazdy zdominowała Warszawa i trzeba było oszczędzać. A dziennikarskie wyjazdy zagraniczne — to również „inwestycje".

Dopiero na trzecim miejscu postawiłbym zbiurokratyzowanie RSW „Prasa-Książka-Ruch". Przykładem tego może być fakt, że wiele redakcji domagało się samodzielności ekonomicznej, molestowało ZG RSW, przyznawano im rację i na tym się kończyło. Wreszcie przykładem tego jest sprawa kolportażu. Narzekano na kolportaż powszechnie, nawet w ZG RSW, ale nikt nie był na tyle silny, aby sprawę tę zdecydowanie rozwiązać. Podejmowano różne próby, jak choćby „Express Ilustrowany", który usiłował odrodzić gazeciarzy sprzedających gazety z ręki. Tu i ówdzie wprowadzono gazety do sklepów spożywczych. Wszystko to nie były nawet ćwierćśrodki. I wszystko były to próby nieudane. Monopol kolportażu dławił rynek prasowy.

Wewnętrznie chora RSW „Prasa-Książka-Ruch" musiała się rozpaść, skoro nie była w stanie się sama zreformować. Sejmowa decyzja proces ten tylko przyspieszyła, choć posłom przyświecał zupełnie inny cel.

2.

Niezależnie od tego, jaki jest mój pogląd na wewnętrzne sprawy koncernu RSW „Prasa-Książka-Ruch", to byłoby nieuczciwym nie przypomnienie, że wielu pracowników nie szczędziło swego trudu i poświęcenia. A przecież nie byli wcale najwyżej opłacanymi. Po prostu lubili swoją pracę, starali się o osiąganie dobrych wyników, chcieli, aby ich praca była komuś potrzebna. I tym ludziom trzeba po prostu powiedzieć: dziękujemy!

3.

Używa się często argumentu, że likwidacja RSW „Prasa-Książka-Ruch" rozbija monopol prasy. Prawda to i nieprawda jednocześnie. Pojawiły się bowiem nowe pisma, że tylko wymienię wznowione „Po prostu", pojawienie się „Opinii", „Młodej Polski", „Solidarności Małopolski". Pojawiają się również nowe dzienniki: „Gazeta Wyborcza" wydaje już 3 razy w tygodniu „Gazetę Łódzką", w Krakowie pojawił się „Czas" i „Ilustrowany Kurier Codzienny". Przygotowywane są inne gazety. To wszystko zmienia sytuację na rynku prasowym. Oby ten rynek stał się prawdziwym rynkiem. Do tego trzeba złamać monopol kolportażowy RUCH.

Trwa natomiast monopol państwa w dziedzinie telewizji i radia. Bez zmiany ustawy o łączności i Radiokomitecie nie powstaną prywatne rozgłośnie i stacje telewizyjne. A to jest również potrzebne. Z tym jednak jakoś rząd i Sejm się nie spieszą. A dla stworzenia nowego ładu informacyjnego złamanie monopolu państwa w radiu i telewizji jest niezbędne.

4.

Dziennikarzy i pracowników RSW „Prasa-Książka-Ruch" nurtuje naturalne pytanie: — Co dalej? Istnieje możliwość utworzenia przez pracowników spółdzielni, które podjęłyby działalność wydawniczą i gospodarczą. Czy takie spółdzielnie powstaną? Czy taka spółdzielnia powstanie w Łodzi? Zamierzenia są. Ale wszystko będzie zależało od tego, czy sami dziennikarze i pracownicy RSW będą w stanie wziąć tę sprawę w swoje ręce i utworzyć zupełnie nową strukturę organizacyjną, a nie tylko zgodzić się na zmianę szyldu, co byłoby wygodne, ale jest zupełnie nierealne.

Inne pytanie, czy wszystkie pisma wydawane przez ŁWP znajdą się w nowej spółdzielni, jeśli powstanie? Można się spodziewać, że „Dziennik Łódzki" jeśli nie przejdzie do „Czytelnika", to może do miasta. Można się również zastanawiać, czy któraś z redakcji nie postanowi usamodzielnić się i stworzy własne wydawnictwo. Co teoretycznie jest możliwe. Na razie są tylko same pytania.

5.

Co z „Odgłosami"? Robimy wszystko, aby zostać na prasowym rynku. Dziś jeszcze za wcześnie na odpowiedź, jaki przed nami los? Są natomiast już oferty. Oto mgr Jerzy Dura w imieniu Łódzkiej Rady Kultury NSZZ „Solidarność" skierował do prezydenta m. Łodzi — Waldemara Bohdanowicza pismo, w którym występuje z propozycją, aby UMŁ przejął „Odgłosy". Natomiast *„Łódzka Rada Kultury „Solidarność" deklaruje gotowość współkształtowania linii programowej pisma, rekomendowania odpowiednich osób i konsultowania decyzji personalnych zmierzających do wyłonienia nowej redakcji tygodnika, którego dalsze istnienie na mapie społeczno-kulturalnej Łodzi, jak również całej Polski, uważamy za niezbędne".*

Nie tak dawno na fali mody ogłaszania niezależności Konrad Frejdlich zaproponował, aby „Odgłosy" ogłosiły, że są pismem z a l e ż n y m.... od Czytelników. Propozycja wszystkim spodobała się, co niniejszym publicznie ogłaszam.

Łódzka Rada Kultury NSZZ „Solidarność" nie ma pieniędzy na wydawanie pisma i rozumiem, że domaga się, aby te pieniądze miał UMŁ. Przez wiele lat tak było, że RSW wydawała pismo dla dobrego samopoczucia środowisk. Na przykład „Odgłosy" do dziś niektórzy uważają za pismo literackie — to jest literatów — co jest i było nieprawdą. Również formuła pism *„społeczno-kulturalnych"* przeżyła się. Dziś o bycie pisma decyduje tylko i wyłącznie Czytelnik, albo je będzie kupował, albo pismo padnie. Dotacje też się przeżyły. Obowiązują prawa rynkowej gospodarki, czego w Radzie Kultury NSZZ „Solidarność" nie dostrzeżono. Życzę jej zresztą jak najlepiej i zapraszałem do współpracy. Obiecano ofertę przyjąć, jakoś bez skutku. Nie moja to już sprawa.

Za jakiś czas oferta prasowa w Polsce będzie zupełnie inna niż jest dziś i zadecyduje o tym wyłącznie Czytelnik. Takie jest życie!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Z dziejów drugiej wojny światowej.

Jak marszałek Edward Rydz-Śmigły uciekł z Rumunii

TADEUSZ DUBICKI

Osadzenie w Dragoslavele.

Po niespełna miesięcznym pobycie Edwarda Rydza-Śmigłego w pałacu Mihail w Krajowej, władze rumuńskie przeniosły go 14 października 1939 r. w trudno dostępny górzysty rejon Rumunii. Po 200 kilometrowej podróży pociągiem marszałek Edward Rydz-Śmigły wysiadł tego dnia na stacji Gimpulung, gdzie oczekiwała nań kompania honorowa. Witał go miejscowy prefekt płk. Valdescu oraz kpt. żandarmerii Tritu. Stąd nastąpił przejazd autem do Dragoslavele nowego miejsca internowania — rezydencji niedawno co zmarłego patriarchy prawosławnego Rumunii i regenta tego kraju Mirona Gristea. Posiadłość zarządzana teraz przez jego krewną dr Vasiliu, składała się z trzech obiektów — dużego domu, dworku i stróżówki. Położona była nad biorącą tu swój początek rzeką Dumbovitą, po której drugiej stronie leżała wieś Dragoslavele, usytuowana wzdłuż szosy Cimpulung — Braszow. Przed przybyciem marszałka posiadłość została starannie zabezpieczona, jak to wówczas określano — „przed niepożądanymi intruzami". Otoczono ją drutem kolczastym, wystawiono posterunki początkowo składające się z żandarmów i agentów policji, jednak później — po 17 listopada 1939 r. zadanie to wykonywało już wyłącznie wojsko.

Nastrój marszałka i towarzyszących mu tu osób: płk. Zygmunta Wendy, mjr. Jerzego Krzeczkowskiego, lekarza ppłk. Henryka Cianciary, inż. Karola Wędziagolskiego, szofera Henryka Kutnika i służącego Feliksa Wiązowskiego nie współgrał z pięknem miejscowego krajobrazu. Wpływała na to postawiona przez Rumunów wyraźnie i już bez ogródek perspektywa trzymania marszałka w stanie internowania aż do zakończenia wojny. Aby zniechęcić internowanych do podejmowania prób ucieczki, strona rumuńska postawiła marszałkowi jako iunctim odbywającą się za jej cichym przyzwoleniem ewakuację z obozów wojskowych, a pozostawaniem marszałka w Rumunii. O takiej zależności informowała też swoimi kanałami ambasada RP w Bukareszcie.

Nie chcąc więc szkodzić sprawie nadrzędnej (do końca 1940 r. wydostało się z Rumunii ponad 20 tys. wojskowych) finalizacją planu ucieczki, o której zaczęto myśleć niemal natychmiast po przybyciu do Dragoslavele odkładano na później, tym bardziej, że i ówczesny stan zdrowia Edwarda Rydza-Śmigłego pozostawiał wiele do życzenia. Rumuni indagowani wielokrotnie przez stronę niemiecką w sprawie marszałka poświęcili baczną uwagę internowanemu w Dragoslavele, który po wyjeździe prezydenta Ignacego Mościckiego do Szwajcarii (25 grudnia 1939 r.) stał się najwyżej uplasowaną osobistością polską przetrzymywaną w Rumunii.

Poszukiwanie bohaterów.

Pobyt w Dragoslavele nie oznaczał całkowitego odizolowania od świata zewnętrznego. Do podtrzymywania kontaktów służyły cotygodniowe wizyty w niedalekim Cimpulungu przeznaczone na zakup niezbędnych wiktuałów. Nawiązano kontakty z przebywającą tam dość liczną kolonią cywilnych uchodźców polskich.

Kontaktu z marszałkiem szukał ppłk dypl. Romuald Najsarek polski komendant (starszy obozu) zgrupowanych w Cimpulugu kilkuset lotników. Dokonał tego oficjalnie, za zgodą komendanta miejscowego garnizonu płk. Milcea Badulescu. Niezwykła była natomiast forma, w jakiej do tego doszło, wystąpił bowiem w charakterze ministranta towarzyszącego ks. dziekanowi Kosibie podczas niedzielnej mszy, na odbywanie. których Rumuni wydali zgodę. Jak wynika z relacji ppłk. Najsarka, złożonej już po wojnie płk. Janowi Zientarskiemu, zastał on w grudniu 1939 r. marszałka z gotową już decyzją powrotu do kraju.

W trakcie pierwszej blisko dwugodzinnej rozmowy z Edwardem Rydzem-Śmigłym, ppłk Romuald Najsarek zadeklarował swoją gotowość służenia mu wszechstronną pomocą, także w ucieczce, co zostało przyjęte. Dla dokonania niezbędnych ustaleń skierowano go do inż. Juliana Piaseckiego i mjr. Karola Lilienfelda-Krzewskiego (popularnego przed wojną „kaprala Szczapy"). Obaj byli zaangażowani, choć w różnym stopniu i charakterze w przygotowania do ucieczki marszałka.

Dla Juliana Piaseckiego okolicznością, która znakomicie ułatwiała tę działalność był fakt, **że jako byłemu wiceministrowi komunikacji przysługiwał mu paszport dyplomatyczny i bezpłatny bilet na wszystkie trasy.** Drogi jego ówczesnych podróży prowadziły po wielu krajach Europy, często zahaczał też o Rumunię. Początkowo głównym jego zadaniem było pośredniczenie i utrzymywanie łączności ze światem, a nawet reprezentowanie interesów Edwarda Rydza-Śmigłego na zewnątrz. W październiku 1939 roku jeździł do Paryża z jego listami dla prezydenta Władysława Raczkiewicza. Z czasem aktywność Juliana Piaseckiego skupiła się na skonsolidowaniu rozproszonych zwolenników rządów pomajowych, co na terenie Węgier zaowocowało utworzeniem „OPW".

„Kapral Szczapa" i pieniądze.

W Wielkanoc 1940 r. J. Piasecki przyjechał razem z mjr. Karolem Lilienfeldem-Krzewskim do Cimpulungu i z pomocą ppłk. Najsarka dotarł do marszałka. Szczególną uwagę ppłk. Najsarka przyciągnął „kapral Szczapa" stale rezydujący w najlepszym hotelu Bukaresztu, dysponujący znacznymi kwotami. Źródłem ich pochodzenia były prawdopodobnie (wg dr. Józefa Lebedowicza) 3 kg złotych monet wywiezione z kraju w kasie Naczelnego Wodza, 100 tys. dolarów, które z jednego wyjazdu do Francji przywiózł inż. Julian Piasecki. Jak ocenił to później ppłk Romuald Najsarek, kwoty którymi dysponował Lilienfeld-Krzewski nie zawsze były obracane na przeznaczone cele.

Ppłk Romuald Najsarek nawiązał bliskie stosunki towarzyskie z miejscowymi dygnitarzami, w tym z życzliwym mu już wcześniej płk. Milceą Badulescu i jego rodziną. Udało mu się też dotrzeć i nawiązać kontakty na gruncie towarzyskim z dowódcą żandarmerii pilnującym marszałka, kpt. Tritu i jego zastępcą por. G.

Na wiosnę 1940 r. przeniesiono obóz wojskowych do odległego o blisko 200 km Targu Jiu. Groziło to całkowitym wyeliminowaniem ppłk. Romualda Najsarka z podjętej gry, jednak dzięki osobistym staraniom płk. Badulescu, a zwłaszcza jego żony u zaprzyjaźnionego dowódcy Korpusu Żandarmerii w Bukareszcie udało mu się, jako jedynemu polskiemu wojskowemu pozostać w Cimpulungu. Osobistą odpowiedzialność wziął za niego komendant garnizonu, u którego zresztą ppłk Romuald Najsarek zamieszkał. Ppłk Romuald Najsarek dobrze posługiwał się językiem rumuńskim, a jego powierzchowność upodobniała go do miejscowej ludności.

W marcu 1940 r. ks. Kosiba nieoczekiwanie uciekł do wojska we Francji. Przez ponad miesiąc ppłk Romuald Najsarek nie mógł dostać się do willi internowanych. W maju 1940 r. przybył do Cimpulungu ks. prałat Edmund Zapała. Pozwoliło to na kontynuowanie wcześniejszej praktyki — wizyt ppłk. Romualda Najsarka w Dragoslavele w charakterze ministranta. Tą drogą utrzymywano stały i pewny kontakt przeznaczony na informowanie marszałka o postępie prac, których głównym terenem w myśl poczynionych ustaleń miał być Bukareszt.

Stale rezydujący tam Karol Lilienfeld-Krzewski miał wyrobić odpowiednie kontakty i stosunki. Ppłk. Romuald Najsarek nie miał do Lilienfelda-Krzewskiego zaufania, gdyż ten obracając pieniędzmi marszałka, uzyskiwał własne dochody. Co więcej, w przekonaniu ppłk. Romualda Najsarka prowadził podwójną grę manifestującą z jednej strony oddanie marszałkowi, przy równoczesnym plasowaniu się w pobliżu ludzi z ambasady RP w Bukareszcie. Znalazło to odbicie w nakłanianiu marszałka i towarzyszących mu osób do wyjazdu na Cypr (maj 1940 r.), a później w projektowaniu ucieczki w kierunku na Jugosławię. W każdym razie swoje zastrzeżenia i uwagi co do roli Karola Lilienfelda-Krzewskiego ppłk Romuald Najsarek przedstawił marszałkowi, który, po zapoznaniu się z nimi, odsunął całkowicie od bezpośredniego przygotowania ucieczki „Szczapę".

Od tego momentu (czerwiec 1940 r.) ppłk. Romuald Najsarek nadzorował wykonanie poszczególnych elementów planu, finansując je z kwot otrzymywanych od marszałka, a także z zysków uzyskiwanych z nielegalnego handlu złotem prowadzonego na spółkę z dentystą. Dr. S. z Cimpulungu okazał się bardzo pomocny w rozwiązywaniu pojawiających się trudności. Krąg osób ściśle współpracujących z ppłk. Romualdem Najsarkiem powiększył się do czerwca 1940 r. o jego żonę Adelaydę, która przyjechała do Cimpulungu z córeczką spod okupacji niemieckiej.

Pani Najsarek (córka gen. Edwarda Heydukiewicza) okazała się wręcz niezastąpioną współpracownicą, gdyż jako kobieta mogła swobodniej poruszać się i mniej zwracała na siebie uwagę. Jej inwencja niejednokrotnie pomagała konspiratorom wyjść cało z dużych opresji. Uzupełnił ten skład, dawny kolega ppłk. Najsarka jeszcze z Legionów ppłk Eugeniusz Kogut-Wyrwiński oraz kpt. Antoni Dudziński. Obaj mieszkali w Bukareszcie, co szczególnie w końcowej fazie przygotowań do ucieczki okazało się wielce przydatne.

Zupełnie nowe okoliczności.

Na podjęcie decyzji o ucieczce w końcu 1940 roku wpłynęło kilka okoliczności. Pierwszym sygnałem, iż należy się spieszyć był do końca nie wyjaśniony nocny napad na willę marszałka, podczas którego wartownik rumuński przebił bagnetem jakiegoś osobnika, wywiązała się strzelanina. Incydent wiązano z zaszłymi w Rumunii we wrześniu 1940 r. zmianami, w wyniku których władzę objęła „Żelazna Gwardia", a w kraju zapanował terror. Od tego czasu szofer marszałka Henryk Kutnik, człowiek o herkulesowej budowie, sypiał z obnażoną szablą pod drzwiami wejściowymi willi.

Władzę w Rumunii przejęła, ściśle powiązana z Niemcami „Żelazna Gwardia", która kontrolowała policję jak i żandarmerię rumuńską. Aktualna stała się groźba wydania marszałka Niemcom. Sygnałem, że należy się spieszyć było też wezwanie na początku listopada do ambasady w Bukareszcie ppłk. Romualda Najsarka, gdzie — (dobrze poinformowani o jego roli) — attache wojskowego mjr. Marian Zimnal i radca Stanisława Sadkowski zaproponowali zorganizowanie ucieczki Edwarda Rydza-Śmigłego, argumentując wzrastającym jego zagrożeniem ze strony niemieckiej. Deklarowali na to milion lei, a także dostarczenie potrzebnych dokumentów, a nawet dyskretną pomoc ze strony rumuńskiego MSZ. Marszałka zamierzano przetransportować na Cypr bez osób towarzyszących. Dla kamuflażu przystano na tę propozycję.

Inny plan zakładał „legalny" wyjazd na podstawie dokumentów rumuńskich wystawionych dla cudzoziemców. Usiłowano uzyskać je, dając łapówkę odpowiedniemu człowiekowi. Przedsięwzięcie zakończyło się fiaskiem. Dentysta z Cimpulungu okazał się być współpracownikiem prefektury policji w Bukareszcie i zdradził. Aresztowani zostali: dentysta z Cimpulung, ppłk. Eugeniusz Kogut-Wyrwiński, kpt. Antoni Dudziński oraz Rumunka, która miała przewieźć dokumenty. Szczególnie ucierpiał dr S., który jako obywatel rumuński był bity i maltretowany w śledztwie.

Zatrzymano ppłk. Romualda Najsarka. Szybko go zwolniono, gdyż jako wojskowy nie podlegał jurysdykcji cywilnej. Rumuni jednak nie zorientowali się komu i w jakim celu niezbędne były dokumenty, choć w rękach ich znalazły się zdjęcia potencjalnych uciekinierów, w tym także marszałka. Grozę sytuacji pogorszył fakt przejęcia przez Sigurancę kwitu z przechowalni na dworcu kolejowym w Bukareszcie, gdzie w jednej z walizek znajdowały się trzy kopie artykułu „Czy Polska mogła uniknąć wojny" autorstwa Edwarda Rydza-Śmigłego. Tylko dzięki wyjątkowemu zbiegowi okoliczności i za pomocą „finansowych argumentów" udało się wydostać z akt sprawy kompromitujące materiały. Wyłączył je sędzia śledczy ulegając wobec „argumentów" ppłk. Romualda Najsarka. W podobny sposób udało się uzyskać czasowe zwolnienie aresztowanych.

Ucieczka na Węgry.

Przyjęto plan polegający na niepostrzeżonym wyewakuowaniu marszałka i osób mu towarzyszących: małżeństwa Najsarków z córką, ppłk. Zygmunta Wendy i szofera Henryka Kutnika. Zaplanowano, że uciekający opuszczą Rumunię w dwóch grupach, z tym, że w pierwszej mieli się znaleźć: marszałek, ppłk. Romuald Najsarek z córką i ppłk. Eugeniusz Kogut-Wyrwiński, natomiast w drugiej — pani Adelajda Najsarek, ppłk. Zygmunt Wenda i Henryk Kutnik. Drogę do granicy węgierskiej zamierzano przebyć samochodami, które zostały nabyte. Użycie samochodów wymagało dopuszczenia do planu dwóch dodatkowych osób, które miały powrócić nimi do Bukaresztu. Jednym był Rumun „pan E.", który decydując się na ryzykowną jazdę z uciekinierami w charakterze właściciela wozu, miał w zamian za to otrzymać go na własność. Drugim był Polak o nazwisku Wendołowski, który zobowiązał się dowieźć do granicy drugą grupę uciekinierów.

Trasa wiodła przez górzyste tereny centralnej Rumunii do miasta Arad, gdzie z wydatną pomocą zatrudnionego tam Polaka inż. Pasierbińskiego, zawczasu przygotowano punkt etapowy. Po odpoczynku, już w towarzystwie specjalnie pozyskanego na tę okoliczność przemytnika, miano udać się do nadgranicznego Nadlac, skąd wynajęci przewodnicy winni byli przeprowadzić uciekających na stronę węgierską do Szegedu. Operację tę miano powtórzyć dwukrotnie — dzień po dniu. Ustalenia zakładały, że przyjęcie marszałka i osób mu towarzyszących zabezpieczą ludzie inż. Juliana Piaseckiego, przy czym informacje, jakie nadeszły w tej sprawie do Cimpulungu tuż przed ucieczką, potwierdzały je.

W planie ucieczki istotną rolę odegrać miała osoba pozostająca na miejscu, której zadaniem było jak najdłuższe symulowanie obecności marszałka w Dragoslavele. Tego niełatwego zadania, zwłaszcza biorąc pod uwagę późniejsze oczywiste jej konsekwencje, podjął się mjr. Jerzy Krzeczkowski.

Decyzja o podjęciu ucieczki zapadła 13 grudnia 1940 r., przy czym pierwsza ekipa miała udać się w drogę za dwa dni, druga 16 grudnia. W związku z koniecznością stopniowego rozładowania terenu z osób, których nagłe zniknięcie mogłoby zwrócić uwagę, najpierw córka ppłk. Najsarka, a następnie on sam, wyjechali do Bukaresztu. Tam też znajdowała się już ich matka i żona.

W południe 15 grudnia 1940 r. wyjechał z Bukaresztu pierwszy samochód — „BMW", prowadzony przez ppłk. Eugeniusza Kogutа-Wyrwińskiego, któremu towarzyszyli ppłk Romuald Najsarek i wspomniany już Rumun „pan E.". Przejazd odbywał się w warunkach zimowych, jeszcze przed Dragoslavele musiano założyć na koła łańcuchy. Na umówione miejsce — drogę opodal willi przyjechano o umówionym czasie. Marszałek, którego w drodze z willi ubezpieczali Zygmunt Wenda, Jerzy Krzeczkowski i Henryk Kutnik, sprawnie dotarł do oczekującego wozu. Ubrany w kombinezon samochodowy i rumuńską czapkę baranią, zmienił się nie do poznania, co poświadczają Krzeczkowski i Najsarek.

Zadaniem pozostających na miejscu było pozorowanie obecności marszałka w willi. Początkowo nie było to trudne wobec wcześniejszego „ugoszczenia" dowodzącego plutonem żandarmerii por. G. Złożony alkoholem, a także chorobą porucznik nie podjął swoich rutynowych czynności, aż do 18 grudnia. Dzięki temu 16 grudnia 1940 r. wydostali się z willi niepostrzeżenie ppłk Zygmunt Wenda i Henryk Kutnik. Zgodnie z planem zabrał ich z szosy samochód prowadzony przez Wendołowskiego, któremu z Bukaresztu towarzyszyła w tej drodze pani Adelajda Najsarek.

Ucieczka obu okip, szczęśliwie nie dostrzeżona przez trzy dni, przebiegała po stronie rumuńskiej pomyślnie i zgodnie z planem, aczkolwiek samochód z marszałkiem po uderzeniu na górskiej drodze w stado owiec wpadł do rowu, skąd wspólnymi siłami udało się go wyciągnąć i kontynuować jazdę. W Aradzie oczekiwali inż. Pasierbiński i kpt. Antoni Dudziński, który wcześniej przyjechał tu z Bukaresztu przywożąc córkę pp. Najsarków. Po krótkim odpoczynku ruszono w dalszą drogę prowadzącą do Nadlac. Odbyto już ją samochodem przemytnika. Z tego miejsca grupa z marszałkiem wyruszyła o świcie 17 grudnia 1940 r. w kierunku granicy węgierskiej.

Kolumnę ubranych w białe płaszcze prowadził przemytnik, za nim, jak wiemy o tym z relacji ppłk. Romualda Najsarka, szedł drugi przeprowadzający zaopatrzony w specjalną deskę do przeprawy przez niezamarzający kanał. Kolejno po nich szli ppłk Eugeniusz Kogut-Wyrwiński, córka Najsarka, ppłk Romuald Najsarek i na końcu marszałek Edward Rydz-Śmigły. O godz. 7 rano, po przejściu blisko 12 km, znaleźli się bez żadnych trudności na Węgrzech w miejscowości Köveğe. W upatrzonej wcześniej chałupie zaczekali na samochód, który zawiózł ich do Szegedu. Pożegnali się z przemytnikami, którzy następnego dnia mieli przeprowadzić drugi rzut uciekinierów. Jednak przemytnicy, zmęczeni drogą, przełożyli o jeden dzień ich przerzut przez granicę.

„Wielka klapa" na Węgrzech i śledztwo w Rumunii.

W Szegedzie nastąpiła „wielka klapa" organizatorów spod znaku inż. Juliana Piaseckiego. Odebranie uciekinierów dwukrotnie odbyło się z dużymi trudnościami. Wiązało się to z nieobecnością na umówionym miejscu ekipy odbierającej (Rogowski, Klimczak, Sobolta). Znajdowali się oni opodal w restauracji, gdzie schronili się przed mrozem. Wskutek braków organizacyjnych dwukrotnie wędrowały przez granicę rzeczy marszałka.

Zniknięcie ludzi marszałka zostało ujawnione 18 grudnia 1940 r. po południu i pociągnęło za sobą spodziewane następstwa. Do Dragoslavele zjechali liczni pracownicy rumuńskich służb specjalnych, włącznie z głównym dowódcą żandarmerii gen. Toporem. Przez tydzień śledztwo odbywało się na miejscu, przesłuchiwani byli intensywnie pozostali na miejscu mjr. Jerzy Krzeczkowski i służący Feliks Wiązowski (nie wtajemniczony w ucieczkę). Według relacji mjr. Jerzego Krzeczkowskiego badania odbywały się „w przyzwoitej formie". Odpowiedzialny za sprawowanie nadzoru nad marszałkiem por. G. został aresztowany, skazany na degradację i 5 lat więzienia za „brak dogłądu i przekupstwo", przy czym to ostatnie nie miało oczywiście miejsca.

Brak postępów w śledztwie, którym zainteresowane były najwyższe czynniki państwowe, włącznie z premierem gen. Jonem Antonescu, spowodował przeniesienie mjr. Jerzego Krzeczkowskiego do stolicy. Rumuni ocenili, że był on jedyną osobą, która mogłaby wyjawić sekret ucieczki. W swoich zeznaniach mjr. Krzeczkowski trzymał się jednej wersji twierdząc, że uciekinierzy udali się w kierunku południowym przez Jugosławię i Bułgarię. Nie dano wiary tym wyjaśnieniom poddając mjr. Jerzego Krzeczkowskiego „mniej poprawnym badaniom", a gdy i te nie przyniosły rezultatu, przewieziono go na początku 1941 r. do zakonspirowanej siedziby „Serviciul Secret" współpracującego z Gestapo.

Szerzej na ten temat dowiadujemy się z relacji ppłk. Romualda Najsarka, którego poinformował o tym ks. Edmund Zapała, przybyły później w towarzystwie kpt. Antoniego Dudzińskiego na Węgry. Adiutanta marszałka widział w więzieniu (ks. Zapała i dr. Cianciara byli przez 2 tygodnie przesłuchiwani) przy okazji konfrontacji. **„Robił wrażenie oszalałego z powodu tortur. Opowiadał, że rozkrzyżowano go na ścianie przy pomocy łańcuchów i bito. Aby wydobyć potrzebne wiadomości zastosowano też zastrzyki osłabiające wolę".**

Los dopomógł mjr. Jerzemu Krzeczkowskiemu w wydostaniu się z matni. Stało się to za sprawą nieudanego puczu „zielonych koszul", które kierowane przez Choria Simę w dniach 21—23 stycznia 1941 r. usiłowały przejąć władzę w państwie. Zwycięski gen. Jon Antonescu, pomny na powiązania księcia Ghici (minister spraw wewnętrznych) i Sigurancy z „Żelazną Gwardią" przeprowadził zmiany, które wyeliminowały dotychczasowych prześladowców mjr. Jerzego Krzeczkowskiego. Sytuację tę wykorzystał aresztowany, składając na ręce gen. Jona Antonescu zażalenie na traktowanie go przez Sigurancę. Otrzymał odpowiedź sygnowaną przez gen. Jona Antonescu iż: **„Nigdy nie pozwalałem sobie na podobne metody wobec cudzoziemców, lecz zarządzenia moje nie były przez Sigurancę przestrzegane. Winni zostali aresztowani...".** Dalszy ciąg pisma nie był już jednak pomyślny. Gen. Jon Antonescu oznajmił mjr. Jerzemu Krzeczkowskiemu: **„Teraz jest Pan w dyspozycji władz niemieckich i winien udać się tam, dokąd te władze Pana zabierają".** Przyszłość przedstawiała się niepomyślnie. Mjr. Jerzego Krzeczkowskiego wsadzono do pociągu jadącego do Niemiec (według R. Najsarka był to transport oficerów polskich, których Niemcy wywozili z Rumunii do niewoli). Udało mu się zbiec z pociągu na stacji w Targu-Jiu. Dysponując paszportem zaopatrzonym ważnymi wizami na opuszczenie Rumunii, który zdołał dostarczyć mu przed wyjazdem kpt. Antoni Dudziński, oparł się aż w Turcji.

Losy innych osób zaangażowanych w ucieczkę marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego nie wskazują, aby śledztwo ustaliło właściwy trop. Inż. Pasierbiński przebywał nadal w Aradzie, podobnie Wendolowski w Bukareszcie. Zatarty też był ślad rumuńskich wspólników — nowego właściciela BMW, oraz przemytników.

W Piotrkowie Trybunalskim nie zdążył się jeszcze skończyć na dobre komunizm, a już dojrzały następne konflikty, urodziły się nowe nienawiści — tym razem w łonie byłej opozycji. Ci, którzy niedawno byli gnębieni przez wspólnego wroga, siedzieli przy jednym stole i w sąsiednich celach — szybko stali się przeciwnikami. Możliwe, że jest to właśnie pluralizm. Daleko mu jednak do parlamentarnej elegancji. Wątpliwe, aby kojarzył się z wizją społecznej solidarności, jaką wypieścili w marzeniach przez wszystkie swoje lata poniewierki. Są wśród nich ludzie uczciwi, odważni i wrażliwi, którzy zadają sobie na pewno pytanie, jak to się stało, że pokłócili się przyjaciele; co było u początków konfliktu: odmienne poglądy, różnice interesów politycznych czy osobiste urazy?

Nie rozstrzygniemy tego za nich. Wystarczy, że spróbujemy nieco rozjaśnić nabrzmiały konflikt, o którym obywatele — przyszli wyborcy dowiadują się z fragmentarycznych, zagadkowych niekiedy oświadczeń, co pogłębia ich dezorientację. Bojąc się posądzenia o stronniczość, nie będę opowiadać własnymi słowami, ograniczając się do krótkich, wyjaśniających komentarzy i wprowadzenia. Niech głos zabiorą oni — przyszła elita władzy województwa piotrkowskiego, która tworzy się na naszych oczach.

Od początku 1989 roku niezależna działalność społeczna w Piotrkowskiem wlewa się w dwa główne nurty, z których pierwszy zajmuje się odbudową i rozbudową struktur związkowych, zaś drugi — powstały nieco później i wyłoniony częściowo z pierwszego — łączy się z czerwcowymi wyborami do Parlamentu i działalnością komitetów obywatelskich. Wkrótce zarysowują się linie podziałów. Pierwsza dotyczy miejsca i roli ruchu obywatelskiego w ogólnej strategii marszu ku pełnej demokracji. Jedni uważają, że komitety muszą być całkowicie niezależne, inni są zdania, iż powinny być podporządkowane „Solidarności" Na tę różnicę nakłada się konflikt interesów, związany raczej z geografią niż z poglądami.

W Piotrkowskiem istnieje silny ośrodek bełchatowski, ciążący początkowo ku Łodzi, który pragnie uzyskać znaczące wpływy w regionie. Sprzeciwia się temu część rolniczych gmin województwa, obawiających się zjednoczonej koalicji miast pod wodzą Bełchatowa (bądź Piotrkowa). Raz jeden, innym razem drugi konflikt daje znać o sobie, prowadząc do strukturalnych i personalnych wstrząsów. Sytuację komplikuje fakt, iż niektórzy działacze związani byli (są?) z Grupą Roboczą, niechętną Lechowi Wałęsie, w którym z kolei inni widzą Męża Opatrznościowego.

Ta historia rozpoczyna się w lutym 1990 roku. Następują wtedy dwa ważne wydarzenia: zawiązanie się federacji, grupującej Komitety Obywatelskie z większości gmin i miast województwa oraz zmiana przewodniczącego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" — w następstwie zakwestionowania procedury w poprzednich wyborach. Poprzednim przewodniczącym „Solidarności" był Władysław Reiter. Oto, jak charakteryzuje on okres swoich „rządów":

„W czasie mojej czteromiesięcznej kadencji jako przewodniczącego ZR NSZZ „S" woj. piotrkowskiego lepiej lub gorzej udawało mi się utrzymać spoistość tego świeżo posklejanego garnka jakim była „Solidarność" piotrkowska. Wzrosła też o blisko 10 tys. liczba członków związku i przybyło 40 komisji zakładowych. (...) W roku 1981 dochodzenie do stołków i związanych z tym profitów było dla ludzi związku nieosiągalne. Dzisiaj dojechanie na fali „Solidarności" do stanowisk całkiem konkretnych jest zupełnie realne. Dlatego też w trosce o dobro regionu i kraju starałem się tonować apetyty ludzi prymitywnych owładniętych żądzą władzy, preferując kompetencje i uczciwość przy doborze kadry. Starałem się także utrzymywać kontakt z wszystkimi realnie istniejącymi siłami i przedstawicielstwami".

(Z listu do Lecha Wałęsy).

A oto, jak widzi on dalej poczynania następców:

„Nowe powtórzone z woli KKW NSZZ „S" wybory wprowadziły zasadnicze zmiany w Zarządzie Regionu. Dzisiejszy Zarząd Regionalny sterowany przez (...) członka KKW Olszewskiego zmierza w bezpośredni sposób do pełnej izolacji „Solidarności" prowadząc działalność, która wielu znawcom przedmiotu przypomina jakoż żywo poczynania PPR czy ZMP. Tylko że wśród nich zupełnie nie widać „ludzi z marmuru" czy chociażby z żelaza. Osiągnięcie władzy nad społeczeństwem jest jedynym celem tych demagogów strojących się w piórka związkowych demokratów".

Gwoli wyjaśnienia: Edward Olszewski jest działaczem z Bełchatowa, a nowym przewodniczącym ZR wybrany został Zbigniew Mroziński. Niestety, nie wydali oni oświadczeń, oceniających własną działalność. Dla przeciwwagi, zamieszczam więc uchwałę nowego ZR, opisującą m.in. pierwszy sejmik Federacji Komitetów Obywatelskich. Spotkanie (sejmik) odbyło się w tydzień po wyborach do ZR:

„Na zebraniu Federacji w dniu 24.02.1990 zorganizowanym na wniosek ZR NSZZ „S" w celu wyłonienia struktur organizacyjnych Federacji, które byłyby politycznym partnerem dla związku, narzucono przewodniczącą zebrania, porządek zebrania utrudniający osiągnięcie celu, manipulowano przebiegiem dyskusji i zgłaszanymi wnioskami oraz dokonano wyboru (...) przy braku stwierdzenia kworum w głosowaniu tajnym nieostemplowanymi kartkami, których każdy uczestnik mógł oddać dowolną ilość. Wybrane osoby są niewiarygodne dla związku z następujących powodów:

— pani Ewa Juszko-Pałubska *jako pełniąca funkcje dyrektora Biura Poselsko-Senatorskiego w Piotrkowie Trybunalskim nie zasięga opinii związku w sprawach wymagających konsultacji,*

— *w kontaktach ze związkiem jest przyczyną wielu intryg i konfliktów,*

— *z wypowiedzi pana* Zygmunta Augustyniaka *jasno wynika, że prowadzi on działalność sprzeczną ze statutem NSZZ „S", więc skierowaną przeciwko związkowi i Lechowi Wałęsie. Pojęcie pana Augustyniaka o demokracji można scharakteryzować stwierdzeniem, od którego rozpoczyna swoją autokratyczną wypowiedź:* Ja, Tomaszów Mazowiecki.

Wobec powyższych faktów zwracamy się do społeczeństwa woj. piotrkowskiego, aby nie utożsamiało działalności ww. osób z działalnością NSZZ „S".

I wniosek:

„ZR NSZZ „S" woj. piotrkowskiego oświadcza, że nie udzieli poparcia w nadchodzących wyborach do samorządu terytorialnego federacji komitetów obywatelskich reprezentowanej przez panią Ewę Juszko-Pałubską *oraz* p. Zygmunta Augustyniaka, *ponieważ osoby te zostały wybrane z pogwałceniem zasad demokracji, w związku z czym są dla naszego związku niewiarygodne".*

(Z uchwały ZR nr 2/90).

Tydzień wystarczył również nowemu Zarządowi „Solidarności", aby ocenić działalność senatora Tadeusza Zaskórskiego, jednego z dwóch senatorów, reprezentujących województwo w Parlamencie:

W Piotrkowie Trybunalskim tworzy się nowa elita...

Jest konflikt czy go nie ma?

„ZR NSZZ „S" udziela wotum nieufności senatorowi Tadeuszowi Zaskórskiemu, *gdyż nie wypełnia on w sposób rzetelny obowiązków senatora Ziemi Piotrkowskiej polegających na właściwej reprezentacji interesów w Parlamencie, natomiast na terenie województwa prowadzi działalność uniemożliwiającą właściwe działanie i rozwój nowo powstałych form demokracji lokalnej, jakimi są komitety obywatelskie. Jednocześnie wykorzystuje własną osobę dla interesów przedwyborczych swojej partii — PSL".*

(Z uchwały ZR nr 3/90).

Potrzebna jest w tym miejscu uzupełniająca informacja. Senator uczestniczył w sejmiku Federacji, sprzeciwiając się projektom lansowanym przez nowy ZR. Jakież to były projekty? W odpowiedzi pomoże nam relacja z sejmiku, sporządzona przez reprezentantów Komitetu Obywatelskiego z Paradyża (woj. piotrkowskie) od razu w dniu spotkania, na „gorąco", a zatem przed kontrowersyjnymi uchwałami ZR:

„Wniosek zgłoszony ze strony „Solidarności" (...) nie uzyskał większości. Chodziło o stworzenie przedstawicielstwa reprezentującego K.O. naszego regionu. Była to typowa zagrywka polityczna, obliczona na uzyskanie większej sfery wpływów. Nie bardzo rozumiemy potrzebę tworzenia takiego ciała. Jeżeli wojewódzki K.O. ma spełniać rolę koordynatora, to taka „czapka" w ogóle nie ma racji bytu — chyba że są planowane nowe decyzje polityczne, o których nic na razie nie wiemy".

(Z listu do Biura Poselsko-Senatorskiego w Piotrkowie).

Paradyż niczego wtedy nie wiedział, ale *„polityczne decyzje"* już dojrzewały:

„ZR „Solidarności" powziął (...) uchwałę, w której stwierdza, że *„Komitety obywatelskie, które zgłoszą się do Zarządu Regionalnego z prośbą o możliwość korzystania ze znaku i podpiszą porozumienie o współpracy według zasad opracowanych wspólnie, mogą otrzymać taką zgodę. Jeżeli powstanie wojewódzka struktura składająca się z komitetów, które uzyskały już znak graficzny, to struktura ta po podpisaniu porozumienia z Zarządem Regionalnym także uzyska prawo do korzystania z tego znaku".*

Jak widać — cel został wyznaczony. Pozostało już tylko wybranie metody:

„Uchwała ta, jak się dowiedzieliśmy, dyskutowana była na wtorkowym posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego w Piotrkowie. Padł wówczas wniosek o udzielenie dotychczasowemu Zarządowi Komitetu (z przewodniczącą — Ewą Juszko-Pałubską) *wotum nieufności. Przyjęto go 31 głosami za, 19 przeciw i 7 wstrzymujących się. Tym samym ponad połowa członków komitetu opowiedziała się za współpracą z ZR „Solidarności" i respektowaniem strategii związku. Wybrano też nowy zarząd, któremu przewodniczy prywatny kupiec — Władysław Adaszek".*

(Z relacji w „Głosie Porannym").

Tę spokojną relację konfrotujemy z opinią Elżbiety Keller-Barabasz z Komitetu Obywatelskiego w Piotrkowie:

„Zebranie Komitetu Obywatelskiego w Piotrkowie Trybunalskim w dniu 6 marca 1990 r. było drastycznym przykładem braku demokracji. ZR NSZZ „S" ściągnął specjalnie tłum klakierów — całe klany rodzinne osób przez siebie popieranych — w celu rozbicia K.O. Obrażano bezczelnie panią poseł Terese Zalewską, *senatora* Zaskórskiego *i obecnego na zebraniu patriotycznego księdza — kapelana AK — ks.* Jana Umińskiego. *W późnych godzinach wieczornych po opuszczeniu sali przez oburzonych obywateli — ZR NSZZ „S" przeforsował głosowanie na nowego przewodniczącego K.O. i zarząd K.O. przez ludzi, którzy na zebraniu byli pierwszy raz i nigdy w K.O. nie działali. Na zebraniu nie przedstawiono żadnych konkretnych zarzutów osobom wcześniej zniesławionych uchwałami ZR nr 2 i 3 z dnia 27.02. 1990 r. Przegłosowano* „wotum nieufności do zarządu miejskiego Komitetu — nie stawiając mu żadnych zarzutów, a następnie 3 osoby z tego składu weszły do nowego zarządu. Rozbicie społeczeństwa tuż przed wyborami lokalnymi jest sabotażem politycznym działającym na korzyść starej nomenklatury komunistycznej".

(Z listu do Lecha Wałęsy).

A jaka była reakcja ZR na zmiany w piotrkowskim Komitecie Obywatelskim? Jak łatwo się domyślić, pozytywna:

„Wobec deklaracji Komitetu dotyczących konieczności współpracy z ZR NSZZ „S" woj. piotrkowskiego oraz wnioskiem o używanie znaku graficznego „S" powstała nowa sytuacja, która naszym zdaniem pozwoli na szybkie uporządkowanie wojewódzkiej struktury Komitetów Obywatelskich. W związku z powyższym dalsze ustosunkowywanie się do uchwał 2/90 i 3/90 uznajemy za zbędne".

(Oświadczenie ZR z 7.03.1990 r.)

Od tego momentu ZR przestaje udzielać informacji prasie, uznając, że sprawa jest definitywnie zamknięta. Dla wielu innych działaczy jest akurat przeciwnie. W obronie zaatakowanych występuje m.in. poseł Teresa Zalewska:

„Nowo wybrany (17 lutego br.) *Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność" zapominając o swych statutowych obowiązkach i kompetencjach, zamiast skierować swoje wysiłki na ochronę ludzi pracy, usiłuje kontrolować i podporządkować sobie Komitety Obywatelskie oraz oceniać ich działaczy (...) Wyrażam zdecydowany protest przeciwko dyskryminowaniu osoby pani* Ewy Juszko-Pałubskiej *jako dyrektora Biura Senatorsko-Poselskiego OKP woj. piotrkowskiego. W ciągu ostatnich kilku miesięcy, najczęściej w soboty i niedziele, odbyłam ponad 70 spotkań w różnych środowiskach uczestnicząc w tworzeniu różnych form i metod pracy Komitetów Obywatelskich. W większości spotkań towarzyszyła mi (bezinteresownie) pani* Ewa Juszko-Pałubska, *która zawsze była i nadal jest dla mnie wiarygodnym i kompetentnym doradcą".*

(Z oświadczenia dla prasy).

Inne okoliczności ujawnia list Krzysztofa Majdy, działacza Komitetu Obywatelskiego w Piotrkowie:

„Fakt wydania uchwały, w której zawarte są ostre sformułowania wobec osoby Ewy Juszko-Pałubskiej, *w przeddzień pogrzebu jej męża, a więc w sytuacji nie sprzyjającej spokojnemu i rozważnemu przyjęciu tychże treści, stawia w niedwuznacznym świetle oblicze moralne autorów tej uchwały".*

(Z listu do przewodniczącego ZR).

Słowa poparcia dla senatora przesyła Marszałek Senatu, Andrzej Stelmachowski:

„Stwierdza się w niej (uchwale — przyp. A.G.), *że senator* Tadeusz Zaskórski „nie wypełnia w sposób należyty obowiązków senatora". *W związku z powyższym stwierdzam, że senator* Tadeusz Zaskórki *uczestniczy aktywnie w pracach Senatu, zwłaszcza w pracach komisji senackich: Komisji Gospodarki Narodowej oraz Komisji ds. Emigracji i Polaków za granicą. Szczególnie w pracach nad budżetem i sprawami gospodarczymi występował wielokrotnie, reprezentując interesy zarówno rolnictwa jak i własności przemysłowej. Pracuje on również systematycznie w Biurze Poselsko-Senatorskim oraz spotyka się ze swymi wyborcami".*

Przeciwko uchwałom ZR protestują również niektóre komitety gminne (z Moszczenicy, Dłutowa, Wolborza) a nawet komisje zakładowe „Solidarności" (zwłaszcza z Tomaszowa). Wolborz na przykład pisze m.in. tak:

„Znowu mamy ludzi, którzy sobie jedynie przypisują prawo decydowania — co demokratyczne, a co nie. Powołują się przy tym na zalecenia Lecha Wałęsy, mimo że jeden z animatorów p. Zbigniew Mroziński do niedawna był w Grupie Roboczej, natomiast tryb powołania drugiego z panów, Edwarda Olszewskiego *do ZR pozostawia wiele do życzenia. Zarząd Regionu usiłuje więc traktować Komitety Obywatelskie na tej samej zasadzie, na jakiej PZPR traktowała PRON. Czyżby u kogoś pokutowały stare przyzwyczajenia?".*

Zaś Niezależny Ruch Obywatelski z Tomaszowa Mazowieckiego oświadcza:

„Jesteśmy głęboko przekonani, że wspierana przez członka KKW p. Olszewskiego akcja pomówień nie jest w stanie odwrócić zaufania społeczeństwa do reprezentantów środowisk niezależnych, które chcą wygrać wybory do samorządów terytorialnych, dla dobra mieszkańców naszych miast i gmin, wbrew tym, którzy ośmielają się podjąć próbę rozbijania zgodnej pracy, skłócenia środowisk, rzucania notowarzy — na dwa miesiące przed wyborami".

A właśnie — wybory. Są coraz bliżej. W terworze wzajemnych połajanek jakby o nich trochę zapomniano. Do wyborów trzeba się jednak przygotować. Po zmianach w piotrkowskim K.O. zaczyna się więc — zgodnie z oświadczeniem ZR — *„szybkie uporządkowanie struktury Komitetów Obywatelskich".* Powstaje zatem Rada Komitetów Obywatelskich „Solidarność" woj. piotrkowskiego. Jednym z pierwszych jej członków jest nowy Komitet Obywatelski w Piotrkowie:

„14.03.1990 r. uchwalono przystąpienie do Rady Komitetów Obywatelskich „Solidarność" woj. piotrkowskiego powstałej z inicjatywy Komitetów Obywatelskich miast i gmin Radomska, Bełchatowa, Opoczna i Piotrkowa, ZR NSZZ „S" oraz Rady Wojewódzkiej RI „S" w Piotrkowie. W związku z powyższym oświadczamy, że Komitet Obywatelski „Solidarność" w Piotrkowie w żadnym wypadku nie utożsamia się z Federacją Komitetów Obywatelskich woj. piotrkowskiego".

Mamy więc teraz w Piotrkowskiem dwa ruchy obywatelskie: nowy, ściśle związany z „Solidarnością" i dotychczasową, niezależną od związku federację. Część komitetów obywatelskich zgłosiła akces do pierwszej struktury, część pozostaje przy drugiej, a niektóre (np. Tuszyn) zaszczycają swą obecnością obie, próbując konfrontować racje. Niewiele z tego wynika, oprócz krzyku i wzajemnych połajanek.

A co w Piotrkowie? W Piotrkowie także już istnieją dwa komitety obywatelskie. Pierwszy — z nowym zarządem, współpracujący z ZR. Drugi zaś grupuje osoby, działające w „starym" komitecie, które nie pogodziły się — jak mówią — z *„zamachem stanu":*

„Komitet Obywatelski w Piotrkowie działający we współpracy z Biurem Poselsko-Senatorskim oświadcza, że mimo chęci zdominowania komitetu przez Zarząd Regionu, prowadzi dotychczasową działalność odrzucając dominację ZR (...) Uznajemy prawo związku do decydowania o sprawach związkowych, ale jesteśmy zdecydowanie przeciwni nowej przewodniej roli. Zespół ludzi działających nieprzerwanie od zwycięskiej akcji wyborczej w czerwcu ub. roku kontynuuje rozpoczętą działalność".

(Z oświadczenia na drugim sejmiku federacji).

Na zakończenie zamieszczam dwie krótkie wypowiedzi, które mogą być komentarzem do tej historii:

— *Nie ma w Piotrkowie żadnego konfliktu* — twierdzi Zbigniew Mroziński przewodniczący ZR — *to tylko prasa mówi o jakimś konflikcie.*

— *Województwo piotrkowskie które w minionych latach niczym nadzwyczajnym się nie wyróżniało teraz nagle dzięki kilkunastu osobom które w sposób dywersyjny obezwładniły działalność Federacji — stało się sławne — niechlubnie sławne* — mówi poseł Teresa Zalewska.

A wyborca?

Czeka na kolejne oświadczenia...

Zebrał:
ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

Rozmyślania pani woźnej.

A ja wolę Towarzystwo Przyjaciół Chińskich Ręczników

1.

„Każdy człowiek ma prawo wypowiadania się, zrzeszania; musi posiadać wolność wyboru. W moim osobistym odczuciu dla człowieka nie powinno być granic — powinien żyć tam, gdzie czuje się najlepiej. Popieramy ideę wspólnego „domu europejskiego". Jesteśmy za stworzeniem w Polsce unii ugrupowań politycznych, których przedstawiciele zasiądą przy stole i osiągną porozumienie w sprawach dla Polski najistotniejszych. Ta unia nie musi skupiać prawicy pogodzonej z lewicą, lecz wszystkich powinien zjednoczyć wspólny cel — dobro kraju oraz obywateli".

2.

Pytanie za całą stówę: z czyjego przemówienia, wygłoszonego przed jakim forum pochodzi zacytowany powyżej fragment? Biorąc pod uwagę styl, formę i treść — można przyjąć, że z przemówienia wygłoszonego przynajmniej na forum międzynarodowym nie niższym niż ONZ. Jest tu bowiem i deklaracja wielkiej międzynarodowej polityki, że *„Popieramy ideę „domu europejskiego"!*, i zakreślony zdecydowanie kierunek polityki wewnątrzpaństwowej: *„Jesteśmy za stworzeniem w Polsce unii ugrupowań politycznych"*, nie brakuje propozycji rozwiązań formalno-prawnych: *„przedstawiciele zasiądą przy stole i osiągną porozumienie"!*, no, a owo porozumienie będzie, rzecz jasna, tyczyć *„spraw dla Polski najistotniejszych"!*.

3.

Ale nie jest to fragment przemówienia. Mimo treści, formy i stylu. To jest, proszę państwa, fragment wywiadu, udzielonego przez panią Marię Bentyn dziennikarzowi „Expressu Ilustrowanego" (14 marca 1990). Pani Maria Bentyn wypowiada się na łamach w imieniu powstałej niedawno, liczącej około stu członków grupy inicjatywnej ruchu „Centrum Demokratyczne 90". Ruch, jaki pani Maria Bentyn sobą reprezentuje, wyłonił się z rozpadającego się w Łodzi Stronnictwa Demokratycznego, obok takich, również nowo wyłonionych ruchów jak „Młody Ruch Narodowo-Liberalny" i „Ruch Wolnych Demokratów" (o liczebności których pani Bentyn w wywiadzie nie wspomina, należy wnosić, że są równie liczne, jak ruch „Centrum Demokratyczne 90").

4.

W imieniu swego ruchu „Centrum" pani Maria Bentyn wypowiada się nie tylko na tematy polityki międzynarodowej i wewnątrzpaństwowej kraju, porusza także węzłowe problemy gospodarcze. Program wicepremiera Leszka Balcerowicza ruch „Centrum Demokratyczne 90" popiera w *„całej rozciągłości"*, oświadcza pani Bentyn, lecz zaraz dodaje, że mimo to *„nie pozostajemy bezkrytyczni wobec jego negatywów"*. (Rozumuję, nie wiem, czy słusznie, że chodzi tu o tak zwane krytyczne poparcie). Następnie pani Maria Bentyn wyraża niepokój z powodu *„kondycji przemysłu"*, *„który — jeśli idzie o niektóre jego gałęzie — upada"*. (Tu rozumuję, nie wiem, czy słusznie, że ów niepokój o upadające gałęzie przemysłu, to jest właśnie owo krytyczne poparcie w całej rozciągłości). I zaraz pani Bentyn zadaje sama sobie pytanie (na które, niestety, nie udziela nam odpowiedzi): *„Czy rząd będzie w stanie wskrzesić w przyszłości gałęzie produkcji, które dziś podupadają, a kiedyś staną się fundamentem gospodarki?"*. (Tu już przestaję rozumować, bo nie wiem, jak można wskrzesić gałąź, która podupada, a która kiedyś ma się stać fundamentem?). Z kolei pani Maria Bentyn stwierdza, że: *„W państwie nie może być własności niczyjej. Wszystko musi mieć swego gospodarza. Nie ma dziś jednak warunków, aby reprywatyzować zakłady, kredyty są stanowczo za drogie"*, a: *„rzemieślników dobijają restrykcyjne przepisy"*.

I na sam koniec pani Maria Bentyn konkluduje: *„W dzisiejszej Polsce mamy do czynienia z pracownikami świadomymi swych praw. Każdy właściciel zdaje sobie sprawę z tego, że robotnik jest produktywny, gdy wypocznie. Prymitywny kapitalizm to wymysł socjalistycznych władz"*.

5.

I nie wiadomo dlaczego (a może właśnie wiadomo?) podczas lektury wywiadu z panią M. Bentyn cały czas brzęczała mi uparcie w głowie świetna melodia, świetnego Ptaszyna-Wróblewskiego, której zupełnie niedawno wysłuchałam w nocnym programie radia. Przy hałaśliwym akompaniamencie saksofonu, trąbki, puzonów Ptaszyn-Wróblewski wyśpiewywał na całe gardło następujące dwie linijki tekstu: *Kto tak pięknie gra?! TO JA!! Co tak pięknie brzmi: TO MY!!*

6.

Lubię słuchać nocnego programu w radiu. Często pojawia się w nim taki jąkający się facet, nazywa się Jerzy Owsiak i jest, podobnie jak pani Maria Bentyn, rzemieślnikiem. Nie wiem, jaki ma stosunek do prymitywnego kapitalizmu, nie wypowiada się w radiu na temat żadnych kluczowych czy węzłowych problemów, wiem natomiast, że założył Towarzystwo Przyjaciół Chińskich Ręczników. Do jego Towarzystwa może należeć każdy, stary i młody, łysy i czupryniasty, kulawy i prosty. Warunkiem przyjęcia do Towarzystwa jest wypisanie sobie samemu legitymacji z hasłem: *Uwolnić słonia!*

Co to hasło znaczy? Jak wyjaśnia sam Owsiak (Polityka, nr 11) — nie znaczy nic. Lub może znaczyć — jeśli ktoś chce. Uwolnić swego słonia od beznadziejności, od ohydy, od szarości. Od brzydoty. Od wodolejstwa. Od sloganów. Od wszystkoizmów. Od deklaracji ideowych, z których nic nie wynika. Od pustoty słów. Od zadęć. Od samozadowolenia.

No, ale nie każdy, niestety, ma tego słonia. Jerzy Owsiak go ma, i dlatego zdecydowanie wolę słonia Jerzego Owsiaka z Towarzystwa Przyjaciół Chińskich Ręczników.

EWA OSTROWSKA

Tekst felietonu, z którego treścią zdecydowałem się zapoznać Czytelników „Odgłosów" pisany był w pierwszych dniach grudnia 1989 roku w Nowym Jorku. Oczywiście koncepcję przejęcia gmachu dawnego KC PZPR w Warszawie przez Bibliotekę Narodową mógłbym wcześniej propagować z Łodzi, ale doświadczenie nauczyło mnie, że z Łodzi do Warszawy słyszalność jest słaba, wobec tego postanowiłem wołać z Nowego Jorku, bo głos po wodzie lepiej niesie.

Wszystkich perypetii związanych z próbami opublikowania felietonu za oceanem nie będę opisywał, powiem tylko, że tekst nie znalazł uznania ani w oczach (a raczej uszach) redakcji polskiej Radia Wolna Europa (mimo skrótów dokonanych na życzenie RWE — zaznaczonych obecnie kursywą) ani w redakcji nowojorskiego „Nowego Dziennika".

A napisałem go tak:

To jest tekst, który odrzuciła „Wolna Europa" i nowojorski „Nowy Dziennik".

Zapotrzebowanie na symbole

ANDRZEJ WILCZKOWSKI

Wydawałoby się, że myślenie magiczne ludzkość ma już dawno za sobą. Wydawałoby się, że żyjemy w świecie przesiąkniętym pragmatyzmem, Informatyka — królowa końca dwudziestego wieku powinna całkowicie wyeliminować wyobraźnię, jako że niosąc ze sobą natłok faktów nie pozostawia marginesu domysłów.

A tak właśnie nie jest. Najdoskonalsza obróbka lawiny docierających do nas informacji, ciągle jeszcze nie pozwala nam przewidzieć przyszłości, a zbiór dokumentów z przeszłości nie przeszkadza w zafałszowaniu historii.

Jeżeli więc, posiadając ten sam zbiór informacji, różni ludzie potrafią wyciągać zeń różne wnioski, oznacza to, że albo informacja jest ciągle jeszcze daleka od doskonałości, albo myślenie „obok faktów" jest immanentną cechą umysłu ludzkiego.

Tak czy inaczej, ciągle jeszcze jest miejsce na myślenie magiczne, na myślenie symbolami. Właśnie o znaczeniu symboli chciałbym powiedzieć słów kilka.

Od najdawniejszych czasów całe epoki posiadają jakieś wyodrębnione zdarzenia, które nie tylko były wynikiem — niejako dominatą — wydarzeń epoki, ale również dawały impuls do dalszego działania, podniecały masy, rozbudzały ich wyobraźnię. Nie będziemy szukać daleko. Zaczniemy od Rewolucji Francuskiej. Zburzenie Bastylii nie miało dosłownie żadnego znaczenia pragmatycznego. Jak twierdzą historycy, kiedy lud paryski, gołymi nieomal rękami, demontował tę ostoję despotyzmu siedziało w niej zaledwie siedmiu więźniów i to ponoć niezbyt groźnych dla reżimu. Lud nie rozrywał kamiennych murów, aby dać wolność swoim przywódcom. To sam akt zburzenia potrzebny był tłumom i poruszył ich wyobraźnię na tyle, że wszystko co było dotychczas tabu — stało się możliwe.

Na podobny gest — jednak w bezpośrednich skutkach nieco tańszy — pozwolili sobie Rosjanie w 1917 r. Wyrychtowali mianowicie jedno z dział „Aurory" w Pałac Zimowy i huknęli. To, że strzelili ślepakiem uratowało wprawdzie samą budowlę, ale... no właśnie, w moim symbolicznym myśleniu fakt ten posiada bardzo istotne znaczenie: — kiedy się od ślepaka zaczyna to zawsze tak wychodzi. I tak im wyszło. Na wszelki wypadek w późniejszych latach „Aurorę" zabetonowano, lufy dział również zaślepiono, żeby ktoś czasem nie chciał poprawić roboty.

Na początku naszej niepodległości rozbierano. I wiem z przekazów rodzinnych, że rozbierano naprawdę gołymi rękami. Ofiarą padł sobór na placu Saskim — symbol rusyfikacji. Tym razem było to postawienie kropki nad „i". Uznano, że naprawdę rozpoczęła się Polska.

Potem był pożar Reichstagu, strzały na Westerplatte i Hiroszima. O znaczeniu symboli i ich skutkach można by z całą pewnością napisać dysertację naukową. Zawierać by ona musiała przede wszystkim statystykę. Ile razy niszczono, ile razy budowano, co powodowało reakcje wybuchowe, a co uspokajające. Mój krótki traktacik o symbolach nie jest oparty na statystyce, niemniej zakładam, że pomiędzy zdarzeniem symbolicznym i tym wszystkim co się dzieje w jego następstwie istnieje bardzo wyraźna zależność.

Powiedziałem tu w zasadzie tyle tyle, ile było niezbędne aby od tej strony zastanowić się nad dzisiejszą sytuacją Polski. Dobrze. Zaczęliśmy pierwsi. Staliśmy się natchnieniem narodów Europy Wschodniej, które zapalają się podgrzane naszym przykładem i trzeba powiedzieć, że ostatnio ruszają się znacznie żwawiej niż my. Nie jestem zwolennikiem sytuacji wybuchowej w Polsce, ale sądzę, że powinniśmy się jednak ruszać nieco szybciej. Nie dojdzie do tego jednak, jeżeli ludzie w Polsce nie zrozumieją, co się naprawdę stało. Takie nagłe olśnienie narodu wystąpić może dopiero po jakimś akcie symbolicznym, podczas którego nieznajomi będą się sobie rzucali na szyję, a tłum będzie tańczył na ulicach lub ludzie spłaczą się gromadnie. Niemcy mieli swój mur berliński, po zburzeniu którego świat oczy wytrzeszczył, a w Berlinie Zachodnim zabrakło piwa. Węgrzy rozpoczęli od pogrzebu Imre Nogya, potem przemianowali republikę, rozkurzyli partię i otworzyli granicę z Austrią — symbol goni symbol — idą jak burza. Czesi naśladują Węgrów — tną druty na granicy.

U nas, poza wygranymi przez naród — bo nie przez polityków — wyborami nie nastąpiło nic, co dałoby szansę uwierzyć. Partia — jak była tak jest, w konstytucji zmian nie przeprowadzono. Wszystko rozłożono na lata. Dobre to było, kiedy byliśmy sami, a zewsząd można się było spodziewać bratniej pomocy. Dziś znaleźliśmy się wśród sąsiadów jak wyspa dogmatyzmu, mimo pierwszego niekomunistycznego premiera i Lecha Wałęsy w parlamencie Stanów Zjednoczonych.

Ponieważ jestem akurat specjalistą od spalania w komorach zamkniętych, więc wiem, że jeśli ładunek w komorze pali się zbyt wolno, może nastąpić zjawisko detonacji. Wykładu robić nie będę. Ci którzy tego nie wiedzą niech przyjmą na wiarę. Otóż ja wcale nie chcę w Polsce detonacji. Dlatego namawiam do pewnego przyspieszenia. Nie przyspieszymy, jeśli naród nie uwierzy, że trzeba i można. Do tego, żeby uwierzył, należą mu się jakieś akty — symbole.

Symbole powinny być skrojone na taką miarę, żeby przyspieszyć, ale nie zanadto. Próbowano już — wyszło jednak słabo. Jednym takim symbolem było połączenie dwóch muzeów: rewolucji i Lenina i oddanie jednego na galerię Porczyńskich. Bardzo piękny to był manewr — ale przeszedł prawie zupełnie bez echa. Zbyt intelektualny to symbol. Drugi akt był nieco lepszy, ale zabrzmiał fałszywą nutą. Chodzi mi o usunięcie pomnika Feliksa Dzierżyńskiego. Nie można tworzyć symbolu wolności tłumacząc się jednocześnie, że pomnik usuwa się tylko dlatego, bo tam właśnie będzie wejście do stacji metra. Taki jakiś symbol z kuchennymi schodami. Dopiero egzekutorzy załatwili sprawę zupełnie niebrzydko. Widziałem to bezpośrednio i dwukrotnie w telewizji. Ludzi było dużo, ale nie zbiegła się cała Warszawa. Najgorsze, że wielu nie wiedziało dokładnie, kim naprawdę był ten człowiek, którego pomnik na ich oczach spadł z cokołu. Gdybym nie słuchał rozmów, to bym nie uwierzył. Przed aktem zwalenia pod cokołem paliły się dwa znicze nagrobkowe. Ciekawe, czy zapalili je towarzysze partyjni? Oczywiście bardzo się ucieszyłem, że Feliksa Edmundowicza już na cokole nie ma, ale pozostał niesmak.

Teraz słyszę, że nowohucki Lenin ma wywędrować ze swego miejsca. I znowu ktoś podobno tłumaczy, że remont czy renowacja.

Przed kim my się u diabła tłumaczymy? Nie podoba się ludziom — usunąć niech w oczy nie lezie. Postawić w jakimś lasku tę całą gromadę, otoczyć parkanem, żeby nam nie zarzucano, że niszczymy dzieła mistrzów. Za dwadzieścia lat jak znalazł. Drzewa porosną, a zza każdego coś tam będzie straszyć szkolne wycieczki.

Ja mam swój pomysł na akt symboliczny — gmach Komitetu Centralnego PZPR powinno się jak najszybciej przekazać Bibliotece Narodowej. Im prędzej tym lepiej. Pytanie — kto to ma zrobić? Myślę, że sama partia jeszcze przed zjazdem. Najlepiej na Boże Narodzenie jako podarunek dla narodu. Nie sądzę jednak, aby dokonano tego bez zachęty i należałoby właśnie zabrać się do zachęcania. Ja to niniejszym czynię, ale to za mało. Trzeba zachęcać bardzo intensywnie. Oni strasznie kochają to swoje drzewo wiadomości złego i dobrego. Bo to jest właśnie dla nich takie drzewo. Proszę popatrzeć. Od chwili zbudowania gmachu wszyscy się tam już zmienili — a kto kolejny wejdzie do środka, nagle staje się nieomylny. Wypadałoby, że to budynek przemawia ludzkim głosem, że to on ma haryzmę.

Przed dwoma tygodniami zapoznałem z moim pomysłem kilku partyjnych. Od razu tracili poczucie humoru. Jeden tylko zdobył się na dowcip.

— I pan by tam czytał książki? — zapytał.

Odpowiadam: — Z wielką przyjemnością. Zwłaszcza te tłamszone przez dotychczasowych dysponentów budynku. A już perwersyjną wręcz radość sprawiłoby mi grzebanie się właśnie tam w aktach Centralnego Archiwum partii.

Dobrze. Z mojej sondy wynika, że trzeba namawiać i to dość nachalnie. Aby namawiać — należy mieć argumenty. Oto garść z nich.

Przypuszczam, że po zjeździe pozostanie w szeregach przepoczwarzonej partii nie więcej członków niż pomieści gmach będący przedmiotem mojego zainteresowania. Nie wystarczy składek na utrzymanie. To straszne koszty.

Gest był ładny taki propolski, pronarodowy. Archiwum partii nie trzeba by nigdzie wywozić, pozostałoby w Bibliotece Narodowej ku radości historyków. *Trzeba je przecież otworzyć. Dokumenty wykażą, że wszystko co było robione w tym gmachu robione było dla dobra państwa polskiego, dla narodu. Nie ma się czego wstydzić, ani popadać w panikę.* Miejsce świetne. W jednym ciągu, na centralnej ulicy Muzeum Narodowe i Biblioteka Narodowa. Coś wspaniałego.

Czy gmach się nadaje? Nigdy nie byłem w środku, ale wyobrażam sobie, że będzie wręcz idealny. Szereg dużych sal na czytelnie, pokoje do pracy naukowej, a jak sądzę również obszerne, dobrze klimatyzowane piwnice i to w kilku kondygnacjach. W takich magazynach książka się nie zniszczy. Przypuszczam, że poszłoby bez żadnych większych przeróbek.

Czy to dostateczny akt symboliczny? Myślę że jeszcze dzisiaj tak. *Z każdym dniem może być gorzej. I w końcu dojdzie do tego, że naród koniecznie będzie chciał coś zburzyć.* Symbol świetny: siedlisko doktryny zamienione na ośrodek wolnej myśli. Tylko tym razem bez żadnego kamuflażu, bez oddawania do remontu, bez tłumaczenia się nie wiadomo już komu. Należy zrobić z tego wielką narodową uroczystość. Niech grają orkiestry, niech ludzie tańczą na ulicy, niech Ksiądz Prymas dokona poświęcenia.

A jeżeli to nie wystarczy? Cóż, będziemy szukać innych wydarzeń symbolicznych. I to koniecznie bardzo prędko.

Na razie Bóg się rodzi moc truchleje.

Tekst felietonu postanowiłem opublikować nie tylko dlatego, aby czytelnicy „Odgłosów" gubili się wraz ze mną w domysłach skąd się wzięła niechęć polskich ośrodków opiniotwórczych na Zachodzie do koncepcji, tekstu felietonu, czy też do samego autora? Wskrzesiłem go, mimo silnego wiatru dziejowego, który dmuchał nad Polską przez ostatnie miesiące, bowiem wiatr ten nie wywiał całej aktualności z poruszanych zagadnień.

Nadal jestem zdania, że znacznie lepszym aktem symbolicznym byłoby umieszczenie w gmachu byłego KC PZPR Biblioteki Narodowej, a nie Uniwersyteckiej. Wprawdzie po powrocie do kraju w połowie lutego 1990 r., zorientowałem się, że o żadnych tańcach na ulicy nie ma mowy, mimo że zima jest łagodna, ale i tak marzę o tym, aby na murze gmachu umieszczono wielkie litery „BIBLIOTEKA NARODOWA" niezależnie od tego czyje książki będą tam przechowywane. Byłaby to wprawdzie pewna mała — nazwijmy — nieformalność, ale chyba warta zachodu.

Miałem rację, że partia — jakkolwiek by się zwała — dzielnie będzie bronić tego budynku. I broni. Nie wróżę JM Rektorowi UW dużych sukcesów w kolekcjonowaniu cegiełek, mimo zebrania niezbędnego kompletu. Nie namawiam jednak do innej nieformalności — mianowicie do „dodrukowania". Wprawdzie wykonanie takich cegiełek byłoby, jak sądzę, dla dobrych fachowców od „dodrukowywania" pieniędzy dziecinnie łatwe, ale jak już powiedziałem — nie doradzam. Dowcip mógłby być wprawdzie ładny, ale co by było gdyby z sejfów byłego KC PZPR wyciągnięto wówczas ze dwa worki nie rozprowadzonych prawdziwych cegiełek? — Wstyd i obraza boska.

W tej sytuacji pozostaje usilne namawianie socjaldemokratów do porzucenia budynku, który był własnością komunistów, tak aby stanowił on pewnego rodzaju reparacje wojenne. W końcu jakaś tam wojna była i wbrew szeroko zakorzenionej opinii nie zaczęła się 13 grudnia 1981 r., a wiele lat wcześniej. Wystarczy przeczytać w poprzednim numerze „Odgłosów" wspomnienia Zygmunta Waltera-Janke z więzienia UB na Mokotowie. Wszyscy oficerowie śledczy byli z pewnością członkami partii. Coś się narodowi chyba należy u diabła. I to by było tyle w sprawie interesującego budynku w centrum Warszawy tuż obok Muzeum Narodowego.

Druga sprawa, którą poruszyłem w moim nie chcianym felietonie to sprawa usuwanych pomników. Czytając po powrocie do kraju zaległą prasę ze zdziwieniem odnotowałem głosy niesmaku dotyczące pozbywania się przez społeczeństwo pomników chwały z niedawno minionej epoki. Zwłaszcza pan Zygmunt Kałużyński żałuje Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. Żeby nie było takiego „bezobrazja" jak w przypadku Dzierżyńskiego mam dla pana Kałużyńskiego propozycję nie do odrzucenia. Fundacja! Już widzę te fale pieniędzy, jakie wpływają na konto. Te pieniądze będzie mógł p. Kałużyński i jego komilitoni obrócić na zakup odpowiedniej parceli i na bezawaryjne przenoszenie tam pomników będących obiektami ich zainteresowania. Pomniki — jak sądzę — dostaną za darmo. Resztę pieniędzy fundacji można przeznaczyć na pobory dla strażników tego parku. Wycieczki — oceniam — zaczną przyjeżdżać dopiero za kilka lat.

Gdybym z tymi postaciami, które obecnie spadają z cokołów związany był uczuciowo, to bym taką fundację założył. Nie założę, bo moje emocje są jednoznacznie skierowane w stronę usuwania. Jeśli nikt nas nie pytał, czy taki pomnik ma stanąć, to nie ma się co dziwić, że teraz panuje radość, kiedy mogą zniknąć z oczu. Do fundacji jednak namawiam. Ludzie potrafią głosować kieszenią, trzeba tylko trochę odwagi.

Zebranie w jednym miejscu tych wszystkich dzieł sztuki ma jeszcze jeden ciekawy aspekt. Pozwoli nam zorientować się, ile pieniędzy wypracowanych przez społeczeństwo zostało wydanych bez jego wiedzy i woli. Często nikt nawet nie myślał o żadnych cegiełkach. A może socjaldemokraci pójdą na taki układ: Park pomników socjalizmu za gmach KC. Trzeba się zastanowić czy nie byłby to dobry interes!

Proces prywatyzacji gospodarki powinien postępować powoli.

Czy trzeba bać się zagranicznego kapitału?

Rozmowa z dr JACKIEM KWAŚNIEWSKIM.

— Należy pan do nielicznego grona osób, które decydują o przekształceniach własnościowych, o zmianie „Obrońców Pokoju", „Polmerino" czy „Boruty" w firmy nie będące już państwowymi.

— Sądzę, że to... nieporozumienie.

— To jednak Agencja do Spraw Przekształceń Własnościowych przeprowadzić ma tę rewolucję, a o zakres jej kompetencji toczy się już spór.

— Wyjaśnijmy więc nieporozumienie, od którego zaczęliśmy rozmowę. Otóż grono ludzi decydujących o przekształceniach własnościowych będzie bardzo szerokie. Dla mnie — oby jak najliczniejsze. Z założenia musi być to proces społeczny, jeżeli chcemy dokonać głębokich zmian w naszej gospodarce.

— Rola Agencji, a więc także pana, jest niebagatelna.

— Z założenia są dwie równoległe drogi przemian. Jedna — to prywatyzacja kapitałowa, pozostająca domeną Agencji. Druga, to bezpośrednia sprzedaż składników majątku państwowego i jest to dziedzina, która powinna być opanowana skutkiem działań oddolnych. Mówię o działaniach podejmowanych przez społeczeństwo, których zakres powinien się zwiększyć także pod wpływem wyborów do samorządu terytorialnego.

— Mówimy teraz o tzw. małej prywatyzacji. O zmianie państwowych sklepów, księgarń, aptek w małe, prywatne firmy. Do tego nie trzeba chyba przekonywać. Każdy dostrzega kto handluje operatywniej.

— Ta prywatyzacja tylko z nazwy jest mała. W znaczeniu swym jest wielka, są to bowiem działania o skutkach widocznych gołym okiem. Każdy na co dzień styka się z „małą prywatyzacją" i ocenia jej skutki. Tu jest miejsce dla tworzenia małych przedsiębiorstw, jakich naszej gospodarce brakuje (czyniąc z niej organizm nie przystający do nowoczesnych wzorów światowych) powstających również w taki sposób, że np. przedsiębiorstwo wydzierżawia część majątku produkcyjnego swym pracownikom.

— Na razie jednak na mapie gospodarczej zdecydowanie dominują przedsiębiorstwa państwowe. Pomówmy o tych, skoro zatrudniają setki tysięcy pracowników, którzy chcieliby wiedzieć jaką okaże się firma, w której znajdą się jutro nie zmieniając miejsca pracy. Z założenia przedsiębiorstwa państwowe mają być przekształcane w spółki akcyjne skarbu państwa. Skarb państwa będzie się wyzbywał swych akcji, których sprzedaż zadecyduje o tym, kto będzie miał głos decydujący w „Borucie" czy „Polmerino". Przewidujecie, że na dogodniejszych warunkach finansowych pracownicy będą mogli wykupić nie więcej niż 20 proc. akcji. Czyli, to nie oni będą mieli głos decydujący. Pamiętajmy też, że przedsiębiorstwa mamy wielkie, wartość majątku przedsiębiorstw jest tak duża wobec możliwości finansowych pracowników, że nie należy się spodziewać, iż to właśnie oni wykupią wiele papierów wartościowych.

— Dobrze, mówmy teraz o prywatyzacji kapitałowej. Dla takiej chcemy przyjąć określone priorytety. Jednym z podstawowych założeń jest szerokie rozproszenie akcji, chcemy by miały jak najwięcej właścicieli. Można powiedzieć, że poszczególni ludzie nie mają wielkiego kapitału, ale w sumie dysponują wielkim kapitałem, który odmienić może oblicze naszej gospodarki. Ten majątek jest trudny do oszacowania, konta bankowe nie odzwierciedlają stanu posiadania. Nie wiemy, ile schowano w materacach, ale wydobycie tych pieniędzy ze schowków musi drobnym ciułaczom przynosić duże korzyści.

— W Polsce koncentracja prywatnego kapitału jest bardzo wysoka. Typowa może... dla państw trzeciego świata. Bardzo nieliczne grono dysponuje bardzo dużym kapitałem. Czy byłyby to akcje sprzedawane po kilka milionów, tak jak w przypadku „Drewbudu"?

— Akcje muszą być tanie, aby akcjonariuszy było wielu. Im jest ich więcej — to tym bardziej społeczeństwo zainteresowane jest dobrym funkcjonowaniem przedsiębiorstw i całej gospodarki. Akcje mogą być sprzedawane po kilka czy kilkanaście tysięcy złotych. Jak prywatyzacja za rządów p. Margaret Thatcher przebiegała w Wielkiej Brytanii? Tam sprzedawano akcje po funcie, a nawet jeszcze taniej i każdy mógł sobie pozwolić na ich kupno, nie ograniczając się do papierów wartościowych tylko jednego przedsiębiorstwa. W ten sposób reprywatyzowano tam wielkie firmy i nie muszę chyba przekonywać z jakim skutkiem. Nasze przedsięwzięcie jest ogromne. Agencja przygotowuje projekty ustaw, angażuje firmy konsultingowe, przyjmuje biznesmenów z całego świata. Ale dla szarego ciułacza najważniejszym sprawdzianem będzie to czy z akcji czerpać można korzyści finansowe, osiągane z dywidend lub ze sprzedaży akcji. Na świecie są to korzyści większe niż z lokowania pieniędzy na kontach.

— Właśnie! Problem jednak w tym, które przedsiębiorstwa są dobre i ich akcje warto kupować, gdyż należy się spodziewać dużej dywidendy? Tymczasem przedsiębiorstwa tego miasta uległy zjawisku recesji, istnienie wielu nie jest już pewne. Dziś nie zainwestowałbym swych pieniędzy w żadne z łódzkich przedsiębiorstw. Czyli utrudniam panu prywatyzację?

— Przeciwnie; o ile ten wywiad będzie dobrze tłumaczył Czytelnikom jakie mamy zamiary. Co do zastrzeżeń, to rzeczywiście nie można dziś prywatyzować każdego przedsiębiorstwa. Trzeba rzetelnej analizy, aby ocenić, które są dobre. Tylko najlepsze będą prywatyzowane w pierwszej kolejności. Pójście na żywioł groziłoby tym, że przy zakupie akcji znaczna część nabywców poniosłaby straty i społeczeństwo bardzo szybko utraciłoby zaufanie do całego przedsięwzięcia.

Agencja chce przekształcić najlepsze przedsiębiorstwa, po poddaniu ich wnikliwej analizie, której dokonają zagraniczne firmy konsultingowe, przy współudziale polskich, które mają zdobywać doświadczenia.

Chcemy zająć się również przedsiębiorstwami o gorszych wynikach. Poddane zostaną sanacji i na pewno wiele da się uzdrowić, bo rezerwy są duże a zarządzanie słabe.

— Czyli wielka wymiana dyrektorów, co chyba nie jest dla nikogo zaskoczeniem.

— Tak. Przez kilka lat byłem konsultantem w firmie doradztwa ekonomicznego. Z moich doświadczeń wynika, że kadra kierownicza polskich przedsiębiorstw jest bardzo słaba. Nieliczna jest grupa dobrych dyrektorów.

— Ci, którzy odchodzą twierdzą, że jedna nomenklatura zastępowana jest inną.

— To akcjonariusze wybierają radę nadzorczą, która jest przez nich rozliczana ze swych poczynań. Rada wyszukuje najlepszych menedżerów. Zawiera z nimi kontrakt, zatrudnia na czas określony. Akcjonariusze nie będą chcieli tracić zysków dla podtrzymania jakiejkolwiek nomenklatury. Położony zostanie też kres zasadzie, że jak ktoś został już dyrektorem, to nim był do emerytury.

— Po kilku latach parania się publicystyką ekonomiczną oceniam, że trudno będzie znaleźć w kraju wielu menedżerów, a przedsiębiorstw państwowych jest siedem tysięcy.

— Jeszcze jeden powód, aby nie uważać prywatyzacji kapitałowej za proces, jaki można szybko przeprowadzić. Sposób kształcenia muszą zmienić wyższe uczelnie. W kraju powstają szkoły menedżerów, wkrótce taka będzie też w Łodzi. Zauważyłem też już, że wielu młodych ludzi po studiach wyjechało na Zachód, aby tam zdobyć niezbędne umiejętności zarządzania. Wrócą, bo wiedzą, że będą w cenie, zyskają zarobki godne menedżera.

— Najbardziej popularna i najsilniejsza obawa wiąże się z tym, że spółki powstałe na miejsce przedsiębiorstw państwowych opanowane zostaną przez kapitał zagraniczny. Społeczeństwo wykupi niewiele akcji, a większość stanie się udziałem obcokrajowców?

— Nie dajmy się zwieść wyobrażeniom, że pojawi się amerykański kapitalista, rozsiądzie się w fotelu, zapali cygaro i o wszystkim zadecyduje wedle tylko własnej woli. Rozumiem, że powstały takie obawy, ale obecnie powinniśmy się martwić nie groźbą wyprzedaży, ale czymś zupełnie innym.

Zanim o szczegółach z tym związanych, chciałbym przypomnieć, że nasza gospodarka jest w bardzo złej kondycji. Park maszynowy jest przestarzały, produkcja zacofana, niekonkurencyjna na rynkach zagranicznych. Pieniędzy na uzdrowienie nie dostaniemy w prezencie, zwłaszcza że potrzeby są tak ogromne. Trzeba umiejętnie wykorzystać to, że jest wielu zagranicznych kontrahentów, którzy chcieliby u nas inwestować, oczywiście, aby osiągnąć z tego korzyści.

I teraz sprecyzujemy: gdy mówimy o inwestycjach zagranicznych, to powinniśmy je dzielić na typowo kapitałowe i portfelowe. Te pierwsze związane są z budową wspólnych przedsiębiorstw, czyli są to joint ventures. Natomiast wykupywanie akcji przez zagranicznego inwestora to inwestycje portfelowe. W obu przypadkach obawy, o których mówimy, eliminuje się obecnie ograniczając zbyt silnie moim zdaniem możliwości wywozu zysku zagranicznego partnera. Może on w zasadzie wywieźć tylko kwotę zysku równą nadwyżce eksportu nad importem a od przyszłego roku także 15 proc. reszty przypadającego mu zysku. Przepisy te chronią naszą gospodarkę przed groźbą wyprzedaży majątku narodowego aż za skutecznie, bo zniechęcają znakomitą większość potencjalnych inwestorów zagranicznych przed wejściem na polski rynek. Martwić się powinniśmy zatem nie tym, że zagranica wykupi naszą gospodarkę, ale tym, żeby w ogóle chciała wstrzyknąć do niej znaczący kapitał. Zadanie, jakie przed nami stoi polega więc na liberalizacji przepisów, a nie na ich zaostrzeniu. Oczywiście, kiedy mówię o liberalizacji wiem, że konieczne będzie ustalenie dziedzin strategicznych, w których kapitał zagraniczny nie powinien mieć przewagi. To sprawa właściwych priorytetów długofalowej polityki gospodarczej.

W większości wypadków jednak poważny zachodni inwestor powinien być traktowany bardzo przychylnie. W przypadku joint-venture wnosi on nowoczesną technologię, nowoczesne techniki zarządzania, szansę na wejście na zachodnie rynki zbytu, czyli to wszystko co jest nam najbardziej potrzebne. Problem, czy będzie miał mniejszość czy większość udziałów, uważam w chwili obecnej za wtórny wobec ważniejszego, a mianowicie, właściwej wyceny wkładów polskiego i zagranicznego udziałowca. Wiele krajów ogranicza dopuszczalne udziały inwestorów zagranicznych różnicując je niekiedy według kryteriów. Sądzę, że i my pójdziemy tym śladem, zwłaszcza w dziedzinach uznanych za żywotne dla interesu narodowego. Od tego zależy, jaki będzie między nimi podzielony zysk. Znane są zaś przykłady koszmarnego wręcz zaniżenia polskiego wkładu. Problem wielkości udziału inwestora zagranicznego w joint-venture uważam za wtórny także dlatego, że obecnie powinniśmy się martwić tym, żeby on do Polski w ogóle przyszedł. A jak przyjdzie to wywozić będzie swój zysk za darmo. Raz, że dostaniemy w zamian zastrzyk nowoczesności, dwa, że wywożony przez niego zysk powinien być po liberalizacji obecnych przepisów odpowiednio opodatkowany. Tak by się dwa razy zastanowił, czy go wywieźć czy inwestować w Polsce. Obecnie nie ma się nad tym co zastanawiać, bo go po prostu wywieźć prawie nie może. A powinien mieć wolny wybór: albo wywozić ale minus podatek, albo inwestować tutaj bez potrąceń podatkowych.

Co zaś do zagranicznego inwestora portfelowego, czyli tego, który będzie kupował akcje, pamiętajmy, że ta grupa reprezentuje największy kapitał, i z punktu widzenia naszych interesów najciekawszy. Są to przeważnie wielkie instytucje finansowe, mało zainteresowane w zarządzaniu firmą, której akcje posiadają. Interesuje je wyłącznie zysk. Dają kapitał, nie wtrącają się do kierowania przedsiębiorstwem i oczekują godziwej zapłaty za swój kapitał w postaci odpowiednio wysokich dywidend. Ściągnąć ten kapitał będzie najtrudniej, ale jest on najbardziej atrakcyjny. Są też oczywiście inwestorzy portfelowi pragnący wpływać na politykę firmy. Traktować ich należy podobnie jak tych od joint-venture.

Żeby teraz podsumować kwestię kapitału zagranicznego, obawy przed nim są w dużej mierze przesadzone. Należy się obawiać małych geszefciarzy, od których się roi teraz w Polsce i którzy robią złą reklamę zagranicznemu kapitałowi. Ten poważny stanowi dla nas przede wszystkim szansę. Ochrona zaś polskich interesów rozumiana jako niedopuszczenie do kontrolowania przez obcy kapitał naszej gospodarki jest prosta do realizowania, ale nie to stanowi teraz nasz problem. Martwimy się raczej, aby ten kapitał przyszedł. A jak już przyjdzie, nie ma obawy, nie przejmie kontroli nad nami.

— Czy Agencja rozstrzygnęła już, które z łódzkich przedsiębiorstw w pierwszej kolejności zamienione zostaną w spółki akcyjne i poddane prywatyzacji?

— Wpłynęły zgłoszenia od łódzkich firm, które chciałyby możliwie najszybciej przekształcić się, uznając, że prywatna spółka akcyjna będzie o wiele efektywniejszą strukturą. Jest jednak za wcześnie, aby mówić o decyzjach.

Rozmawiał:
ZBIGNIEW GRZEGORZEWSKI

Dr Jacek Kwaśniewski jest absolwentem Uniwersytetu Łódzkiego. Wraz z Jerzym Drygalskim jest autorem wielu koncepcji społecznych i ekonomicznych powstałych przy NSZZ „Solidarność", publikacji wydanych w drugim obiegu lub poza granicami kraju. Po 13 grudnia 1981 r. obu internowano. Później zajmowali się m in. szkoleniem samorządów pracowniczych. Przez kilka lat uniemożliwiano im bronienie doktoratu. Nadal związani są z „Solidarnością", pozostają współzałożycielami Łódzkiego Towarzystwa Inicjatyw Społecznych. Należą do nielicznego grona najbliższych współpracowników pełnomocnika rządu ds. przekształceń własnościowych, ministra K. Lisa.

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Widzew—Legia 1:1

Rys. Sławomir Łuczyński

„Odgłosy" proponują

Bieżący repertuar łódzkich kin jest na tyle interesujący, że każdy znajdzie dla siebie coś interesującego. Z licznych ciekawych pozycji pragniemy polecić amerykański film Davida Mameta, pt. „FORTUNA KOŁEM SIĘ TOCZY". Początkowo opowieść ta zdaje się być banalna. Oto stary pucybut, Gino, ze względu na swoje podobieństwo do jednego z maflosów, ma go zastąpić w odbywaniu wyroku. Ponieważ do rozprawy sądowej pozostało niewiele czasu, Gino otrzymuje „opiekuna", Jerry'ego, gangstera-nieudacznika. Właśnie z nim odbywa podróż do Nevady, gdzie uchodzi za prawdziwego „capo"...

David Mamet — choć zrealizował dotychczas tylko dwa filmy — zaliczany jest do grona najciekawszych reżyserów kina amerykańskiego. Już w debiutanckim „Domu gry" zaprezentował niezwykły świat swojej wyobraźni, w którym granica między dobrem a złem jest płynna, a wszystko zdaje się być iluzją. Mamet, który zdobył sławę przede wszystkim jako dramaturg i scenarzysta (autor „Nietykalnych" Briana De Palmy), jako reżyser preferuje kino intelektualne, dostarczające satysfakcji na każdym poziomie. Tak jest i w tym przypadku. Najważniejszym jednak składnikiem polecanego tu filmu okazało się aktorstwo. **Joe Mantegna**, grający niewydarzonego gangstera, jest ulubionym aktorem Mameta. **Don Ameche** zaś, czyli honorowy Gino, należy do grona najwybitniejszych aktorów amerykańskich — jest prawdziwą legendą Hollywood, wsławioną licznymi kreacjami.

Obaj aktorzy zostali wyróżnieni **Pucharem Volpi**, nagrodą dla najlepszego aktora na XLV MFF w Wenecji. Partnerują im także: **Robert Prosky, J. J. Johnson, Ricky Jay i inni, zaś współautorem scenariusza jest Shel Silverstein.**

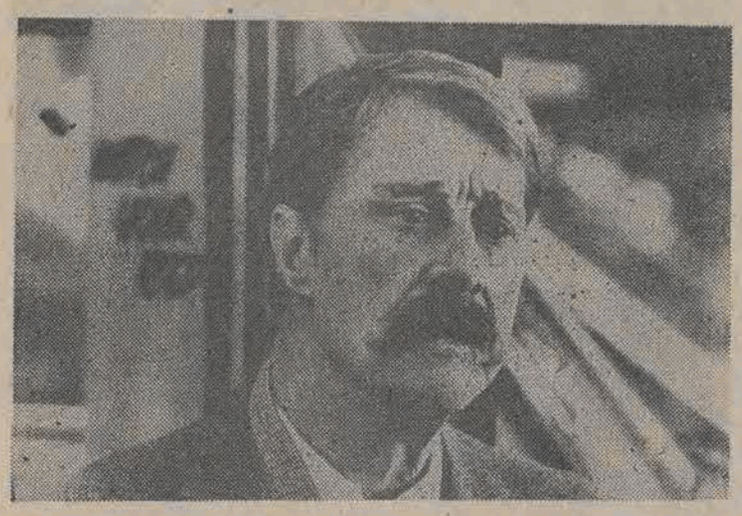

KAZIMIERZ DEJMEK — Naszego kraju nie stać na tyle teatrów dramatycznych, operowych i operetkowych.

Koniunkturalizm—zawsze niebezpieczny

Rozmowa z KAZIMIERZEM DEJMKIEM — dyrektorem Teatru Polskiego w Warszawie.

— Jest powszechnie wiadome, że pański nonkonformizm w sprawach sztuki, w obronie jej suwerenności przed zakusami polityków, skłonnych traktować ją instrumentalnie, przysparzał panu kłopotów w różnych okresach politycznych. Czy to zagrożenie sztuki, np. teatralnej, przez politykę można i dziś uważać za główne niebezpieczeństwo dla rozwoju życia kulturalnego?

— Dla sztuki, a więc i dla teatru zawsze jest niebezpieczny koniunkturalizm. Oportunistyczna służebność polityczna czy zastosowanie się do kolejnych artystycznych mód kończy się zawsze krachem i demaskacją tego duchowego błazeństwa.

— Czy zalicza pan do tego również przystosowanie się do gustów publiczności, nie zawsze przecież wybrednych?

— W swoim drugim pytaniu poruszył pan jeszcze więcej problemów niż w pierwszym. Jestem w kłopocie, no bo np. — co to jest gust publiczności? Różnie z tym bywa. Znam kogoś, kto nie trawi filmów Bergmana i Felliniego, uwielbia Prousta i Sienkiewicza, a nie znosi Dostojewskiego. Jakiż jest jego gust? To tylko początek pytań i wątpliwości...

— Miałem na myśli dominujące w danym czasie i środowisku upodobania, którym uleganie zapewnia sukces kasowy. A co do konformizmu politycznego w sztuce, to rozumiem, iż uważa go pan za szczególny przypadek koniunkturalizmu artystycznego.

— Chyba mógłbym się z tym sformułowaniem zgodzić.

— Ale jak bodaj każdemu twórcy, jak każdemu artyście muszą być panu nieobce pokusy zjednywania sobie publiczności, zyskiwania jej poklasku? Przy czym jednak w swoich działaniach inscenizacyjno-reżyserskich dba pan o dochowanie wierności intencjom dzieła. Zdaje się pan unikać, zwłaszcza w klasyce, takich sposobów, które by nie wynikały organicznie z materii utworu, nie miały uzasadnienia artystycznego, co zjednuje panu tych widzów, którzy przychodząc dla Dejmka nie zapominają, że idą jednak na Słowackiego. Część opinii, co prawda, uważa tego rodzaju służebność realizatora wobec dzieła za niedostatek jego indywidualności. Jest to publika, którą łatwo rzucić na kolana ekstrawaganckimi pomysłami reżyserów, którzy dzieło traktują głównie jako teatralny pretekst i przenicowują utwór tak, że trudno się w nim połapać.

— Mówiłem już o tym publicznie nieraz, ale powtórzę to jeszcze. Rolę reżysera można przyrównać do roli dyrygenta orkiestry symfonicznej, choć oczywiście wszelkie porównania — a więc i to — są w jakimś stopniu zawodne. Indywidualność muzyczna dyrygenta przejawia się właśnie w rzetelnym, na miarę jego talentu, wniknięciu w zamysł kompozytora, utrwalony w nutowym zapisie, z wszystkimi niezbędnymi oznaczeniami interpretacyjnymi co do tempa, dynamiki, nastroju, no i orkiestracji, a także co do sensu utworu, istoty tajemnicy i jego, powiedzmy, filozofii. Paradoks polega na tym, że reżyser czy dyrygent najpełniej ujawniają swój „dar Boży", swój talent, gdy starają się w swej interpretacji dochować wierności dziełu Szekspira lub Beethovena.

— Czyli trzeba przyznać rację maksymie, iż nie należy kochać siebie w sztuce, lecz sztukę w sobie. Przypominają mi się tu dawne rozmowy z młodym pianistą, przygotowującym się do Konkursu Chopinowskiego, w którym odniósł całkowity sukces. Otóż słyszałem nieraz, jak się uskarżał na swego pedagoga, Zbigniewa Drzewieckiego, który powtarzał do znudzenia: „Ty tylko wygraj dokładnie wszystko, co masz w nutach, tam jest wszystko zapisane i nie łam sobie głowy, żeby koniecznie zagrać inaczej niż inni. To przyjdzie samo". A jaki margines swobody zostawia pan aktorowi? Chodzą słuchy, że jest pan bardzo wymagający, co zresztą owocuje w końcowym rezultacie. Czy dopuszcza pan możliwość, żeby aktor wprowadzał do pańskiej koncepcji postaci jakiś nowy rys? A premierowe przedstawienie, czy jest dla pana na tyle „święte", że każde następne, aż do zejścia sztuki z afisza, ma być tylko jego dokładnym „powieleniem"? Owszem, po iluś przedstawieniach potrafił pan przekomponować łódzkie wystawienie „Dialogusa", ale to pan sam chciał tej zmiany.

— Teatr jest okrutnym mechanizmem, na szczęście jego działanie jest łagodzone przez rozliczne kompromisy. Wracając do użytego już porównania: reżyser, mający do swej dyspozycji dobry zespół aktorski jest w znacznie gorszej sytuacji niż dyrygent orkiestry złożonej z dobrych instrumentalistów. W orkiestrze bowiem, z natury rzeczy, nikt nie śmie wyrwać się „przed szereg", żeby nie zakłócić zgodnego szyku, w teatrze natomiast nawet najsłabszy aktor, grający najmniejszą rólkę, odczuwa pokusę wykazania za wszelką cenę, że drzemie w nim wielki talent. I wspomnijmy o największym nieszczęściu, którego na co dzień aktorzy nie są nawet świadomi, że mianowicie aktor jest sam dla siebie instrumentem o większej liczbie niewiadomych niż skrzypce czy flet. Aktor swoją interpretacją może istotnie zmienić hierarchię tematów danego utworu, a więc naruszyć jego istotę i sens. Reżyser powinien być zawsze na taką możliwość otwarty i liczyć się nie tylko ze swoim zamysłem, ale i z talentami i rozumem wykonawców.

— Był pan zawsze rzecznikiem najwyższego stopnia profesjonalizmu w aktorstwie, sam kiedyś słyszałem, jak ubolewał pan publicznie nad niedostatkami warsztatowymi przeciętnego aktora polskiego i wypowiadał się krytycznie o nadmiarze teatrów w powojennej Polsce. Czy wynika z tego, że uznaje pan za korzystną obecną tendencję do likwidacji lub raczej „samolikwidacji" części teatrów, złożonych w ofierze na ołtarzu reformy gospodarczej? Czy częściowe urynkowienie kultury wyjdzie polskiemu teatrowi na zdrowie?

— Naszego kraju nie stać na tyle teatrów dramatycznych, operowych i operetkowych, jak również na tyle orkiestr symfonicznych. Nie stać nas na to pod względem artystycznym. Teraz nagle się okazało, że i pod względem finansowym. Ale zostawmy to! Polityka kulturalna rządu Tadeusza Mazowieckiego i Leszka Balcerowicza, to dość ponury rozdział naszych dni. Na obronę tego rządu można by przypomnieć, że już w początku lat 80. wysocy dygnitarze z byłej PZPR zaczęli bredzić o samofinansowaniu kultury.

— Czy zgodziłby się pan z oceną swojej osobowości, która, według mnie, wyłania się z pańskiej działalności artystycznej i z publicznych wypowiedzi na tematy sztuki, że reprezentuje pan sobą postawę racjonalistyczną?

— Tradycja racjonalistyczna, oświeceniowa jest mi bliska, poczuwam się do przynależności do tego nurtu polskiej myśli.

— Nie powstrzymam się oczywiście od sakramentalnego pytania o najbliższe — a może i dalsze — plany artystyczne...

— Przygotowuję „Tango" na krakowski festiwal sztuk Mrożka z okazji sześćdziesięciolecia autora, który ma z tej okazji przyjechać z Meksyku, dokąd się ostatnio przeniósł z Francji. Ponadto od dłuższego czasu wczytuję się na nowo w całego Wyspiańskiego i jestem zrozpaczony jego grafomanią, a porażony jego teatralnym geniuszem.

— Oby nie poczytano panu tego za „szarganie świętości". Dziękuję serdecznie za rozmowę w imieniu zawsze panu wiernych łódzkich widzów teatralnych.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

Prywatny wróg

HENRYK PUSTKOWSKI

„— Oto stoi przed wami nasz owieczny wróg, biały Lach, któregośmy bili w dwudziestym roku. Biliśmy, czy nie? — zapytał nagle głosem, który przeszedł w krzyk. — Odpowiadaj!

— Nie wiem — wykrztusiłem (...)

— Nie wiesz?! — krzyknął zrywającym się głosem i schwyciwszy mnie za ucho zaczął je odrywać od czaszki. — Nie wiesz? To ja ci zaraz powiem, ja ci wszystko wytłumaczę, ja ci wszystko wyjaśnię. Zdechniesz tu, jak twoi biali panowie tam w Zamościu, zetrę cię na proch. Popatrzcie chłopcy, oto stoi przed wami wróg Związku Radzieckiego, wróg towarzysza Stalina!" (Wróg towarzysza Stalina — s. 19)

W ten oto sposób **Eugeniusz Iwanicki** został prywatnym niejako wrogiem towarzysza Stalina, a owa scena cytowana z wydanej ostatnio książki motywuje frapujący jej (sc. książki) tytuł. Literacką „wyprzedaż biografii" rozpoczął E. Iwanicki znacznie wcześniej, bo już w **„Powrocie żurawi"** powieści wydanej w 1971 r. Powieść tę należałoby zatem traktować jako dopowiedzenie — częściowo przynajmniej — do rodzinnej sagi, początek której mógł być ujawniony dziś dopiero, w okresie, kiedy białe plamy barwią się bądź krwią, bądź zachowują nadal swoją barwę syberyjskich śniegów. Wpisuje się przeto najnowsza książka Iwanickiego w rejestr zapisów, które polaryzują się od wypowiedzi dokumentacyjnych, rozpraw historycznych po pamiętnikarskie zwierzenia czy rekonstrukcje losów i — przede wszystkim — tragedii polskiej diaspory w ZSRR po 17 września 1939 r.

Oczywiste, że i ta, i podobne jej książki nie mogły się ukazać wcześniej. Gorzkim paradoksem jest też i fakt, że wszystkie owe literacko odnotowane dramaty ludzkie właśnie przez to, że stały się literaturą, podlegają i podlegać będą odbiorczej selekcji: dzielenia na „lepsze" i „gorsze", mniej lub bardziej „sensacyjne". W tych porównaniach i w tej konkurencji książka Iwanickiego — jak sądzę — nie przegra. Jest ona jedną z najlepszych książek naszego Autora, bowiem sprawdza się tu „mimetyczny" model narracji — najbardziej przecież powołany do przekazania autentycznych doświadczeń (model — dodajmy — trochę lekceważąco odstawiony do „rezerwy" przez prozatorską rewolucję lat ostatnich), zaś autor po literackich doświadczeniach, jakie wyniósł przy pisaniu książek dla dzieci i młodzieży, ujawnia też umiejętną kreację „dziecięcego" opowiadacza.

Nie jest rzeczą łatwą „ująć w nawias" swoją życiową wiedzę i o zdarzeniach z dzieciństwa opowiadać w tonacji naiwnej narracji. Narracja ta prowadzona wedle klasycznych kanonów naturalnej chronologii pozwala na pewne retardacje — opowieści dodatkowe będące znakomitym materiałem na inną interesującą powieść (losy ojca w czasach rewolucji), zaś owo chłopięconaiwne spojrzenie w równej mierze przyjmuje jako naturalne acz śmieszne zarazem erotyczne wyczyny Warki, zbieranie kiziaku na opał, czyhające zewsząd niebezpieczeństwa (które zamieniają się niekiedy w wielką dziecięcą przygodę) i to, co było najdotkliwsze — głód. Owa tonacja wspomnieniowa pozbawiona jest demonizacji; wydarzenia, o których pisze, mają w sobie taki ładunek dramatyzmu, że dla ich ekspresji wystarczy sama notacja.

Nie zamierzam tu streszczać bodaj w zarysie tych wspomnień, aby nie pozbawić odbiorcy nie tyle niezwykłych point, ile możliwości skonfrontowania wiedzy o poszerzających się obszarach rozpoznanych już „białych plam" z opowieścią Eugeniusza Iwanickiego, któremu w tamtych czasach przyszło żyć w niełatwej roli małego, prywatnego wroga towarzysza Stalina.

Eugeniusz Iwanicki. Wróg towarzysza Stalina. Wspomnienia z Kazachstanu 1940—1946. Res Polona, Łódź 1990 r.

Przed wejściem do La Scali...

Rozmowa z ROMĄ OWSIŃSKĄ.

ROMA OWSIŃSKA, jeden z najpiękniejszych sopranów w naszym kraju w ostatnich latach, ulubienica łódzkiej publiczności, laureatka konkursów wokalnych w Krynicy i Sofii, robi obecnie międzynarodową karierę śpiewaczą (Francja, Włochy, Hiszpania, Belgia, Finlandia, Szwecja, Szwajcaria, RFN i Izrael). Na koncercie Orkiestry PRiTV w Łodzi pod dyr. H. Debicha w Muzeum Historii Miasta odniosła ogromny sukces (stojąca owacja publiczności).

— O tym, że jest pani w znakomitej formie wokalnej przekonaliśmy się niedawno na koncercie Orkiestry PRiTV Hernyka Debicha. Jednocześnie przypomniała się pani łódzkiej publiczności, która dopytuje się — dlaczego nie śpiewa pani w nowych premierach Teatru Wielkiego w Łodzi, którego była czołową i tak lubianą solistką?

— Od września ub. roku nie jestem już na etacie solistki Teatru Wielkiego w Łodzi, mam bardzo dużo propozycji ze świata, z których chciałabym skorzystać. Chcę ciągle iść do przodu, pokonywać nowe zadania nie tylko w operze, gdzie trudno o wszechstronny rozwój. Cenię sobie koncerty symfoniczne z dobrymi orkiestrami i dobrymi dyrygentami, od których mogę się wiele nauczyć i mam z tej współpracy wiele satysfakcji. Występy w zagranicznych teatrach operowych dają możliwość konfrontacji z innymi szkołami wokalnymi i wykonywania bardzo szerokiego repertuaru. Ostatnio śpiewałam w Jerozolimie na Światowym Festiwalu Muzyki Liturgicznej z orkiestrą symfoniczną pod dyrekcją **Krzysztofa Pendereckiego** i **Roberta Benzi** (Bach, Mozart, Penderecki).

— Czy zagraniczne propozycje rzeczywiście umożliwiają pracę etatową w rodzimym teatrze?

— Myślę, że można wszystko pogodzić, tylko muszą tego chcieć obie strony (solista i dyrekcja). Ja chcę.

— Jak na ironię mieszka pani naprzeciwko Teatru Wielkiego w Łodzi i wiem, że czuje się bardzo związana z Łodzią, której wiele zawdzięcza.

— Nie jestem jedyną śpiewaczką, która mieszka naprzeciwko teatru, a nie może w nim śpiewać. Niemniej, kiedy wychodzę z domu — myślę, że jutro mam spektakl.

— Za to kalendarz pani występów zagranicznych jest zaplanowany na kilka lat do przodu. Zajrzyjmy do tego kalendarza?

— Nie sposób wszystkiego podać, ale wśród najbliższych planów mam: już za kilka dni wyjazd do Madrytu na koncerty oratoryjne, w Paryżu zaśpiewam w **„Requiem", Verdiego**, w Lyonie wystąpię w koncercie symfonicznym z repertuarem tańców i pieśni śmierci **Musorgskiego** pod **dyrekcją S. Rożgstwienskiego**, w Wilnie i Kownie śpiewam w **„Te Deum"** z mistrzem **Pendereckim**, w teatrze operowym w Paryżu wystąpię w jednej z oper i we własnym recitalu w Radio-France dokonam nagrań, zaśpiewam w teatrach operowych Wenecji i Nicei. Zagram tytułową rolę w telewizyjnym filmie muzycznym **„Ernestyna"**. Pozostaję pod opieką impresaryjną Agencji „Poltel" kierowanej przez menażera światowego formatu **Janusza Pietkiewicza**, który bardzo trafnie dobiera mi propozycje. Mam również menażera we Francji.

— Szczególnie zainteresowała mnie pani praca w filmie?

— We wrześniu 1989 roku nakręciłam film muzyczny **„Weksel małżeński"** w koprodukcji RFN-Włochy-Polska. Zagrałam główną rolę Fanny w reżyserii **Franka de Quelle**. Obok mnie **Piotr Nowacki** i śpiewacy włoscy. Ciężka praca, ale bardzo satysfakcjonująca. Chyba się udała, skoro otrzymałam następną propozycję tego typu w tej samej reżyserii.

— Który z dotychczasowych występów zagranicznych uważa pani za szczególnie istotny w swojej karierze?

— Każdy przynosi coś nowego i ciekawego. Wielkie wrażenie zrobił na mnie pobyt w Jerozolimie, a także koncert z **IX Symfonią Beethovena** przed **królem Hiszpanii**. W ciągu 1,5 roku przygotowałam ok. 20 dużych pozycji koncertowych, mam opracowany 2 godzinny recital pieśni i arii.

— Podobno ma pani śpiewać w słynnej mediolańskiej La Scali?

— Jest już taka propozycja od **dyrektora Manzzonisa z La Scali**, który usłyszał mnie na Festiwalu w Łańcucie, ale wcześniej będę śpiewała w Teatrze **„La Fenicze"** w Wenecji. Bezpieczniej jest wystąpić w teatrze mniejszym rangą i powoli pokonywać poszczególne szczeble niż wystąpić w renomowanym teatrze i tylko jeden raz.

— Od czego zależy powodzenie?

— Od ogromnej pracy, cierpliwości i szczęścia.

— Śpiewa pani prawie w całej Europie Zachodniej, ale łodzianie również chcą podziwiać panią u siebie.

— Kiedy tylko mam wolny termin i propozycję

— nie odmawiam i z wielką przyjemnością występuję w Łodzi, przykładem niedawny koncert w Muzeum Historii Miasta z Orkiestrą **Henryka Debicha**. Właśnie z tą orkiestrą zaczynałam swoją drogę nagraniową i od tego zaczęły się kolejne nagrania już w Warszawie.

— Co więc pozostaje dla wielbicieli pani głosu w Polsce?

— Mój półgodzinny program telewizyjny, który zarejestruję w telewizji warszawskiej.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

PESTKI DYNI

Niedawno gdzieś czytałem czy słyszałem, że film „Krzyżacy” ma nadal największą „oglądalność” u nas, spośród filmów polskich. Reżyserem tego obrazu był niejaki Aleksander Ford. Żyd. Pod koniec lat 60. ówże twórca narodowego nieomalże eposu zmuszony został, wraz z bardzo wielu innymi Żydami, do opuszczenia Polski w atmosferze barbarzyńskiej nagonki, uwłaczającego wszelkiej godności ludzkiej skandalu i moralnej degradacji zarówno jednostki, jak i całej żydowskiej zbiorowości.

Ford wyjechał z całą rodziną: żoną Eleonorą, też Żydówką i dziećmi — Konstancją, Justyną i Romanem do Danii. Zamieszkali w Kopenhadze. Był w pełni sił twórczych (ur. 1908 r.) i mimo że przez kilka ostatnich lat w kraju stopniowo bladła „gwiazda wielkiego Forda” — nie z jego winy wszak! — pełen był energii (mimo wszystko!), planów twórczych (mimo wszystko!) i pomysłów na liczne realizacje. Rozgoryczenie i stresy spowodowane zaistniałą sytuacją nie doprowadziły go — jak to zdarzyło się wielu innym — do umysłowej i fizycznej degrengolady; w każdym razie nie od razu. Przeciwnie — skorzystał z nadarzającej się okazji i zabrał się do roboty. Tą okazją była możliwość zrobienia filmu o Korczaku, w koprodukcji izraelsko-zachodnioniemieckiej (scenografia — Radzinowicz). O tyle było to szczęśliwym początkiem, że Ford jeszcze w Polsce myślał nad tym tematem. Jeszcze wtedy, kiedy jego asystentem przy „Pierwszym dniu wolności” był Andrzej Wajda, autor „aktualnego” „Korczaka” — ale to może jeno nic nie znaczący zbieg okoliczności, bądź moja fantazja...

Nie widziałem filmu Forda, nie czytałem o nim, nie rozmawiałem z ludźmi, którzy go oglądali. Musiał to być jednakoż na tyle dobry film, że zaistniały warunki, by reżyser mógł nakręcić następny, tym razem za pieniądze duńsko-amerykańskie. Był nim „Pierwszy krąg” według Sołżenicyna.

A potem przyszła kolej na Polski Teatr Międzynarodowy. Ford wymyślił ideę tego teatru i skompletował zespół ze znajomych i znajomych znajomych, którzy kręcili się po całej Skandynawii i zachodniej Europie, szczególnie po Kopenhadze. To miasto przypominało w owe lata „międzynarodowy tygiel” pełen uchodźców i emigrantów wszelkiej maści, szczególnie maści polsko-żydowskiej. Pierwszą rzeczą, jaką wystawiono w Teatrze, był zaadaptowany na warunki sceny filmowy „Korczak” w wersji anglelskojęzycznej. Sukces był wielki, ujmując rzecz najkrócej. Wielki — ale i krótkotrwały. Wersja angielska nie wystarczyła na długo; o duńskiej zrazu nie pomyślano, a potem zabrakło na nią pieniędzy... Nie starczyło ich też na inscenizację prozy **Isaaca Bashevisa Singera**; jeszcze sporo przed Noblem...

Jak to najczęściej bywa w życiu i w sztuce jeden kłopot i niepowodzenie ciągną za sobą następne i zanim się spostrzec — urasta z tego lawina, która grzebie wszystko nieomal. Źle się zaczęło Fordowi układać życie rodzinne: żona z dziećmi wyjechała do Stanów; propozycje pracy były bądź nie takie, jakich reżyser oczekiwał, bądź nie było ich wcale; coraz trudniejsze stało się zarabianie pieniędzy i zdrowie zaczęło szwankować... W 1980 Ford wyjechał do Ameryki, do rodziny. Spędził z dziećmi miesiąc na Florydzie i potem popełnił samobójstwo. Dopełnił się jeszcze jeden los człowieka i artysty.

Czemu o tym piszę? Otóż niedługo Aleksander Ford zawita do Łodzi. Powróci do miasta, w którym się urodził. Tak jak Artur Rubinstein. I to też jest zamknięcie jakiegoś kręgu, dopełnienie się sprawy całej — już w innym wymiarze. Parę lat temu **Konstancja Ford**, która mieszka obecnie znowu w Kopenhadze (studiuje antropologię), zebrała wszystkie dokumenty po ojcu i o ojcu i rozpoczęła starania o przekazanie tej schedy jakiejś instytucji w Polsce. Nastąpiła korespondencja..., korespondencja..., korespondencja..., aż wreszcie nieoceniony profesor **Aleksander Bardini** wskazał, też w liście, że jedyną instytucją, która może i powinna przyjąć spuściznę po **Aleksandrze Fordzie**, jest dyrektor **Antoni Szram** i jego **Muzeum Kinematografii** w Łodzi. Było to w styczniu 1988 roku. Tydzień temu wrócili z Kopenhagi dwaj pracownicy Muzeum: mgr **Piotr Wandachowicz** i fotograf **Tomasz Komorowski** i przywieźli część dokumentów, materiały filmowe, zdjęcia, wywiady i inne rzeczy. Reszta w drodze.

Aleksander Ford wrócił do Łodzi, tak jak wrócił Rubinstein...

ANDRZEJ GRUN

Jubileuszowy wieczór FŁ

JANUSZ JANYST

19 marca, uroczystym koncertem w świątyni ewangelicko-augsburskiej przy ul. Piotrkowskiej, pozbawieni własnej siedziby łódzcy filharmonicy rozpoczęli obchody 75-lecia orkiestry. Koncert poprowadzony został zza dyrygenckiego pulpitu przez Henryka Czyża, który — jak wiadomo — w nie tak odległej przeszłości przez szereg lat związany był z Filharmonią w Łodzi jako dyrektor artystyczny. Można tu zresztą od razu bez większej przesady powiedzieć, że obecny, utrzymujący się bez zmian wysoki poziom zespołu w dużym stopniu zawdzięczać należy właśnie tamtej, systematycznej współpracy ze znakomitym kapelmistrzem.

Czyżowi udawało się zapewne i udaje nadal wcielać w życie wskazania, które zawarł w swej pierwszej i chyba najlepszej książeczce pt. „Ucieczka spod klucza”: **„Dyrygent musi osiągnąć już na próbach, obojętne jakimi środkami, skoncentrowaną i pełną napięcia grę zespołu. By orkiestra tak grała, jak on chce, to jeszcze za mało. Oni muszą chcieć tak grać, jak on chce, żeby grali.”** Przypomniałem sobie te słowa (mające zapewne odniesienie i do innych dziedzin **życia) słuchając i obserwując orkiestrantów podczas wykonywania muzyki. Ich absolutna koncentracja i duże zaangażowanie emocjonalne były widoczne. I miały bezsporny wpływ na wypracowywany wspólnie efekt dźwiękowy.**

Program wieczoru obejmował dwa dzieła: **VI Symfonię h-moll „Patetyczną” P. Czajkowskiego**, będącą „łabędzim śpiewem” twórcy oraz — dla odmiany — bardzo wczesną, młodzieńczą kantatę **C. Debussy'ego „Syn marnotrawny”**. Symfonia, z uwagi na spotęgowany subiektywizm i mistrzostwo warsztatowe należy do najbardziej reprezentatywnych utworów muzycznego neoromantyzmu. Pod batutą Czyża walory partytury objawiły się w pełni. Mocno zarysowane zostały kontrasty wyrazowe, np. między dramatyzmem części I (przetworzenie) i IV a subtelnym walcem na 5/4 (cz. II). Konieczną energią emanowała część III, zaś rzadko spotykanym uduchowieniem odznaczał się w tym wypadku drugi, „żeński” temat w początkowym Allegro. Należy podkreślić, że wszystkie grupy instrumentalne grały precyzyjnie, wszakże w słuchaniu trochę przeszkadzał pogłos. W kulminacjach niewielkim mankamentem była nieco za silna blacha.

W kantacie Debussy'ego do orkiestry dołączyli chórzyści oraz głosy solowe: **Stefania Woytowicz** — sopran, **Marcin Rudziński** — tenor, **Zdzisław Klimek** — bas. Choć sama kompozycja jest jeszcze nad wyraz tradycyjna w zastosowanym języku dźwiękowym (Debussy musiał przebyć potem dość długą drogę do swego impresjonistycznego **„Popołudnia fauna”**), to jednak niewątpliwe walory wykonania zrekompensowały pewną monotonię i postromantyczny epigonizm dzieła. Soliści śpiewali z blaskiem, orkiestra wypadła nie gorzej niż w symfonii a chór dzielnie wytrwał na posterunku, by zgodnie z wolą kompozytora dać o sobie znać dopiero w ostatnim, IX odcinku kantaty.

Szczelnie wypełniający kościół słuchacze (znajdowała się tym razem wśród nich patronująca obchodom minister **Izabella Cywińska**) długimi oklaskami dziękowali artystom za starannie przygotowany od strony muzycznej, jubileuszowy wieczór. Wydawać się nawet mogło, że dziękują za coś więcej, czego zmierzyć nie sposób. Bo też to, iż Filharmonia im. A. Rubinsteina działa i pomnaża nadal wartości kultury jest — w coraz gorszej sytuacji bytowej muzyków i całej placówki — przede wszystkim wynikiem pasji ludzi i ich oddania sztuce. A tego przecenić nie można.

Zwykły rasizm

RYSZARD NAKONIECZNY

Wydawałoby się, że rasizm jest zjawiskiem bez reszty odchodzącym do lamusa historii. Wyraźnie kruszy się nawet jego ostatnia twierdza, Republika Południowej Afryki, gdzie biały Szef Państwa prowadzi niemal oficjalne rozmowy z Murzyńskim Przywódcą i dokąd podróżują już nie tylko pazerni na pieniądze tenisiści, rugbiści i Polacy, ale i osoba o tak nieposzlakowanej moralności jak wicemarszałek Senatu, Zofia Kuratowska.

Wystarczy jednak pojeździć trochę po świecie, a nawet uważniej rozejrzeć się po Polsce, aby zauważyć, że sprawa nie wygląda aż tak dobrze. W Ameryce Południowej większość Metysów nie tylko jest pogardliwie traktowana przez innych Metysów o nieco bielszym odcieniu skóry, ale i sama nie jest zadowolona z barwy i rysów własnej twarzy. Na Zachodzie spora część społeczeństw traktuje z góry gastarbeiterów, przy czym stosunki te pogarszają się jeszcze bardziej, gdy są oni przedstawicielami innej rasy. U nas, podczas jednej z dyskusji z cyklu „Spór o jutro”, pewien młody człowiek niezbyt parlamentarnie wyrażał się o Żydach, a spora liczba bywalców kawiarni, złym okiem spogląda na rezydujących tam Arabów; „nie jestem rasistą, ale...” — słyszy się często, gdy rozmowa zejdzie na kolorowych. Są to, oczywiście, postawy atawistyczne i często biorą się ze zwykłej, materialnej zawiści — ale są...

Zwraca na nie uwagę także film, i to nie od dzisiaj. Najmądrzejszym bodaj dokonaniem w tej dziedzinie była *„Piramida ludzka” Jean Roucha*, paradokument, próbujący udowodnić, że rasizm wynika głównie z inercji. Niedawno wspominaliśmy w tym miejscu słynne *„Płonące Missisipi”*, traktujące o wydarzeniach z lat sześćdziesiątych w USA, kiedy to rasizm łamany był w stanach południowych przez „chłopców Kennedy'ego”, choć już za Johnsona. Dziś kolejny tytuł z tej serii: *„Zdradzona”*, zrealizowany przez znanego reżysera starszego pokolenia, twórcę m.in. *„z”*, *Costę-Gavrasa*. Podczas gdy „Piramida ludzka” opowiadała o rasizmie w pełnym rozkwicie (akcja działa się na Wybrzeżu Kości Słoniowej), a „Płonące Missisipi” o walce z rasizmem otwartym i niejako oficjalnym, „Zdradzona” prezentuje jego kolejne stadium; rasizm podskórny, lokalny, który przetrwał po publicznej klęsce w mentalności pojedyńczych ludzi.

Film zaczyna się sielankowo: młody, przystojny wdowiec, ojciec dwojga przemiłych dzieci, kochający dom i rodzinę spotyka równie młodą i przystojną dziewczynę, w dodatku kombajnistkę. Nawiązuje się między nimi autentyczne i delikatne uczucie i... wtedy dopiero wybucha bomba, okazuje się bowiem, że nasz bohater, równolegle ze spokojnym, wiejskim życiem zajmuje się, z gronem przyjaciół, polowaniem na Murzynów, a nadto bierze udział w konspiracyjnej organizacji mającej na celu oczyszczenie Ameryki z wszelkich obcych elementów, dziewczyna natomiast jest agentem FBI wysłanym z zadaniem rozszyfrowania sprawy morderstwa dokonanego przez tę właśnie organizację... Można sobie łatwo wyobrazić wielopiętrowe komplikacje fabularne i uczuciowe, które z czegoś takiego mogą wyniknąć.

A jednak film — całkiem przyzwoicie zresztą zrobiony i zagrany — nie potrafi tak zaangażować jak chociażby „Płonące Missisipi”, może nawet odrobinę znudzić.

Odpowiedź na pytanie dlaczego tak się dzieje jest o tyle istotna, że wskazuje raz jeszcze na oblicze dzisiejszego kina, a także zmianę nastawienia jego odbiorców.

Film Costy-Gavrasa jest tradycyjny, wolno i według zasad klasycznej dramaturgii opowiada o wymyślonych wydarzeniach rozgrywających się według także wymyślonych — i to dawno — psychologicznych schematów. Bohaterami są w gruncie rzeczy outsiderzy, którzy rozpaczliwie poszukują uczucia i idei w straszliwie powikłanym labiryncie współczesności, który nawet nie przeciwstawia się czynnie takim jak oni, ale po prostu automatycznie wtłacza ich w swoje rozgrywki, nieuchronnie doprowadzając do porażki: „Zdradzona”, mimo pozorów nowoczesności i sensacyjnych atrybutów, jest utworem dekandenckim i defensywnym.

Żeby robić dziś takie filmy i żeby były one w stanie naprawdę zainteresować publiczność trzeba być geniuszem albo szaleńcem. Costa-Gavras nie jest, niestety, ani jednym, ani drugim...

ZDRADZONA, reż. Costa-Gavras, scen. Joe Eszterhas, zdj. Patrick Blossier, muz. Bill Conti, aktorzy: Debra Winger, Tom Berenger, John Heard, Betsy Blair.

Sztuka pojednania

MACIEJ ŚWIERKOCKI

W obliczu zachodzących w Europie zmian i procesu „otwarcia” Polski na świat możemy chyba oczekiwać w najbliższej przyszłości, to jest po ostatecznym unormowaniu rynku wydawniczego, pojawienia się zarówno wśród publiczności jak i wydawców zwiększonego popytu na literaturę przekładową. Lata tak zwanej polityki wydawniczej spowodowały poważne opóźnienie naszego kraju jeśli idzie o przyswajanie dorobku pisarzy obcojęzycznych naszym czytelnikom. Wynikało to w takim samym stopniu z faktu, iż pewnych książek pewnych autorów z przyczyn ideologicznych drukować nie pozwalano, jak i sytuacji finansowej rodzimych wydawnictw, które nie mogły zazwyczaj sprostać żądaniom zachodnich autorów czy agentów; w tej sytuacji i tak można mówić o nie najgorszym poziomie ogólnym ukazujących się u nas przekładów, i niemała w tym zasługa wielu (anonimowych dla większej części społeczeństwa) ludzi polskiej kultury, swym autorytetem i poprzez kontakty osobiste ułatwiających oficynom wydawniczym nabycie praw do druku ważkich i cennych utworów.

Ale książki przekraczają granice w obie strony — są nie tylko importowane, lecz i eksportowane. Na tym jednakże kończy się ich podobieństwo do innych towarów konsumpcyjnych, bowiem w przeciwieństwie do sera lub koszuli wnoszą one trwałą wartość w przestrzeń kulturową danego narodu, stanowiąc niezwykle istotny czynnik zbliżenia dwóch obcych sobie krajów, języków i tradycji. Tymczasem twórczość tłumacką nierzadko bywa w świadomości społecznej spychana na plan dalszy, będąc jakoby działalnością mniej poważną czy też pożądaną aniżeli twórczość oryginalna. Jak doniosłą rolę odgrywa w rzeczywistości praca przekładowa — czy raczej jej owoce — pokazuje wznowiona niedawno i uzupełniona książka wielkiego propagatora naszego pisarstwa w Niemczech, *Karla Dedeciusa*, zatytułowana *„Notatnik tłumacza”*. Dedecius ma szczególne prawo, by pisać o przekładach, o historii i teorii translatorstwa, sam jest bowiem znakomitym tłumaczem, a przy tym człowiekiem żyjącym w pewnym sensie na styku dwóch kultur, które pragnie przybliżać ich „użytkownikom” za pośrednictwem literatury. Dedecius pochodzi z rodziny niemieckiej zamieszkałej przed wojną w Polsce, i tu także w Łodzi, ukończył w 1939 roku gimnazjum im. Stefana Żeromskiego, nasz język i historię zna zatem znakomicie, tym bardziej, że jest pisarzem nieustannie poszerzającym swą wiedzę i zakres zainteresowań. Jak pisze we wstępie do polskiego wydania „Notatnika tłumacza” *Jerzy Kwiatkowski*, zasługi Dedeciusa dla polskiej literatury trudno porównać z zasługami jakiegokolwiek innego cudzoziemca.

„Notatnik tłumacza”, będący w zgodzie ze swym tytułem w samej rzeczy zbiorem luźnych uwag i zapisków, jest pozycją niezwykle interesującą w dwóch swych podstawowych aspektach — po pierwsze, jako coś w rodzaju przewodnika dla początkujących tłumaczy, a po drugie jako pozycja popularyzująca pracę przekładową wśród ludzi bezpośrednio z literaturą nie związanych. Dedecius przekłada przede wszystkim poezję, i głównie poezją się interesuje, toteż następcy ulubionych przez autora **Herberta, Różewicza, Leca** czy **Szymborskiej** znajdą tu dla siebie wiele trafnych, pouczających uwag w zakresie działalności przekładowej, którą wielu z nich para się przecież z rozmaitym powodzeniem. Z drugiej strony gawędziarski styl i lekkie pióro Dedeciusa umożliwia również translatorskim i literackim laikom dostęp do fachowych informacji z omawianej dziedziny. Ale całość nie jest ani suchym podręcznikiem, ani też apodyktycznym, nudnym wykładem rzemieślnika pisarstwa przekładowego. Dedecius chętnie posługuje się anegdotą, cytatem, ubarwia swe wywody bardzo niekiedy osobistymi wspomnieniami i doświadczeniami z okresu swej długoletniej pracy tłumackiej. Na pewno nie jest „Notatnik tłumacza” książką dla każdego, i nie każdego zainteresuje, choć każdy szanujący się humanista winien ją chyba przeczytać, nie dlatego, być może, aby zostać tłumaczem, ale po to, by lepiej i głębiej zrozumieć istotę tego jakże często niekochanego i niedocenianego zawodu.

Przy całej swej swadzie i erudycyjności ta książka stanowi przede wszystkim swoisty hołd dla tych, którzy ciężką i niewdzięczną pracą ułatwiają porozumienie i pojednanie pomiędzy niesłychanie odległymi od siebie narodami i kulturami. Fakt, że Dedecius jest Niemcem, dodaje wszak „Notatnikowi” szczególnego posmaku. Nie bez racji powiada on, iż tranlatorstwo jest sztuką pojednania. I niewiele istnieje równie skutecznych instrumentów wychowania ludzi w poszanowaniu odmiennych ras, zwyczajów i zachowań, jak książka. Udowadnia to Dedecius zarówno swą postawą i pracowitością, jak również treścią i charakterem notatnikowych rozważań.

Żyjąc w izolacji, nikt jeszcze nie nauczył się tak bardzo dziś potrzebnej tolerancji. A książka przekracza granice wszelkiej niechęci, dziękujemy zatem Niemcom za Dedeciusa.

Karl Dedecius — „Notatnik tłumacza”. Czytelnik, Warszawa 1989, przełożyli Jan Prokop oraz Irena i Egon Naganowscy, wyd. II, nakład 3000 egz.

Kronika

Bogaty i atrakcyjny program imprez składa się na odbywające się w naszym mieście doroczne Dni Kultury Węgierskiej — organizowane przez Zarząd Wojewódzki TPPW. Wypełniają je m.in. projekcje filmowe, wieczór humoru węgierskiego, pokaz kuchni węgierskiej, spotkanie nt. uchodźstwa polskiego na Węgrzech w czasie ostatniej wojny. Zakończą się one 7.IV. wręczeniem honorowych odznak aktywistom Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej ◆ Najstarsze polskie wydawnictwo — Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu — otworzył 20 bm. w Łodzi własną księgarnię. Mieści się ona przy ul. Piotrkowskiej 181 — w pięknie adrestaurowanych wnętrzach. Uroczystość otwarcia tej kulturotwórczej placówki zaszczycili swoją obecnością m.in. przewodniczący RN m. Łodzi — prof. Andrzej Feliks Grabski i prezydent naszego miasta — Waldemar Bohdanowicz. Obecny był również dyrektor „Ossolineum” — Eugeniusz Adamczak, który dokonał otwarcia salonu wydawniczego ◆ Zakładowy Dom Kultury „Poltex” przy ul. Ogrodowej 18 stanie się siedzibą nowej łódzkiej sceny — Teatru Rozrywki, który rozpocznie swoją działalność 28 kwietnia br. Prezentowane będą w nim interesujące przedstawienia komediowe m.in teatrów warszawskich i krakowskich, oraz programy estradowe z udziałem krajowych gwiazd i artystów zagranicznych. Teatr rozrywki działać będzie pod auspicjami Polskiego Stowarzyszenia Estradowego ◆ Zainaugurowała 17 bm. działalność Scena Prezentacji, utworzona przy łódzkim Teatrze Lalek „Pinokio”. Pokazywane będą na niej najciekawsze spektakle lalkowe w wykonaniu renomowanych zespołów polskich i zagranicznych — działających poza oficjalnymi instytucjami artystycznymi. ◆ W dniach od 20 lutego do 15 marca br. w ŁDK odbyły się „Spotkania z Kulturą Żydowską”. Na atrakcyjny program spotkań złożyły się m,in.: przegląd filmów fabularnych, archiwalnych i dokumentalnych (14 tytułów) o tematyce żydowskiej oraz wystawa pt. „Cienie przeszłości — Żydzi polscy” (fotografie z lat 1918-1939) ◆ W Urzędzie Miasta Łodzi, 27 bm. odbyło się uroczyste spotkanie z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru ◆ W Galerii 78 Osiedlowego Domu Kultury „Karolew” (ul. Bratysławska 6a) otwarta została 19 marca br. bardzo interesująca ekspozycja rysunków Marii Kondek. Artystka prezentuje wybór swoich prac z teki „Drzewa , które odchodzą” — poświęconej Wacławowi Kondkowi ◆ Po raz ósmy odbędzie się w Łodzi, w dniach od 1 do 8 kwietnia br., Ogólnopolski Przegląd Spektakli Dyplomowych Szkół Teatralnych. W bardzo ciekawym, zgłoszonym przez poszczególne szkoły repertuarze znajdują się m.in. utwory Mrożka, Musila, Czechowa i Jarry'ego. ◆ W łódzkim Muzeum Sztuki odbył się w dniach 21-23 bm. retrospektywny przegląd prac — zrealizowanych w technice wideo — Józefa Robakowskiego, twórcy m.in. ubiegłorocznej, głośnej ekspozycji „Lochy Manhattanu”. Nakładem Wydawnictwa „Alfa” ukazała się książka Barbary N. Łopieńskiej i Ewy Szymańskiej pt. „Stare numery”. Ten pasjonujący reportaż historyczny poświęcony jest dziejom tygodnika „Po prostu”, dziennikarzom, którzy w nim pracowali i uczynili zeń symbol polskiego Października 1956 ◆ Bardzo ciekawie zapowiada się przygotowywana przez Muzeum Historii Miasta Łodzi — zaplanowana na kwiecień br. — wielka wystawa historyczna pn. „Hubal — dusza niespokojna”. Z okazji ekspozycji wybity zostanie medal pamiątkowy oraz wydany specjalny katalog poświęcony mało znanym faktom z życia bohaterskiego majora Dobrzańskiego ◆ Studio Teatralne „Słup” zaprasza na swoją kolejną premierę: „WYNALAZEK WALCA” wg Vladimira Nabokova. Inscenizatorem, reżyserem i autorem scenografii jest Marcel Szytenchelm. Najbliższe spektakle grane będą: 12, 21, 26, 28 kwietnia (o godz. 19) w siedzibie DDK na Widzewie (ul. Armii Czerwonej 77) ◆ W Galerii Fotografii „Antygen” Związkowego Ośrodka Kultury Służby Zdrowia w Łodzi (ul. Roosevelta 17) otwarta została 17 marca br. ogólnopolska wystawa fotografii pn. „Pies” ◆ W dniach 30.III—1.IV br. w kinie „Przedwiośnie” odbędzie się seminarium filmowe pt. „KINO I EROS” z udziałem doc. dra Zbigniewa L. Starowicza. Świetne, nieznane u nas filmy. Interesujące wykłady (informacje — tel. 32-43-44).

Opracował: JAK

Galeria pisarzy

JERZY WAWRZAK

Rys. Sławomir Arabski

W kotle znaleziono głowę zaginionego Marka Kilroya.

Policja na tropie wyznawców szatana

JAN BĄBIŃSKI

Było ich sześciu. Zasiedli przy drewnianym stole, nakrytym schludnie białym obrusem. Honorowy zydel z wysokim oparciem zajął Adolfo de Jezus Constanzo. Na jego ciemną jakby z kamienia wykutą twarz padał cień z piętnastometrowej wysokości kaktusa w kształcie ogromnego kandelabra, zwanego cardonem. Tuż przy wejściu do piętrowej willi, jaśniały w słońcu trzy jeszcze inne kaktusy kolumnowe. Drobnym kroczkiem nadeszła Sara Maria Alderete, czarnula o płomiennym spojrzeniu i długich nogach. W ręku niosła srebrną tacę, na której stały dwa srebrne puchary, wypełnione gęstym, złocistym płynem. Adolfo de Jezus wejrzał zaskoczony.

— *To czerwone wino z dodatkiem toloachi* — powiedziała Sara Maria.

— *Nie znam* — odsunął puchar z błyskiem niechęci w oczach.

— *Ależ kochanie, nie słyszałeś o toloachi? Wywar z tej brazylijskiej rośliny poprawia samopoczucie i pobudza apetyt.*

Wypił z nie ukrywaną odrazą. W jego ślady poszło ich pięciu. Wypili i otarli usta dłonią. Chłopy na schwał. Młodzi, dobrze umięśnieni i smukli jak topole. Każdy miał ciemne oczy i czarne jak sadza włosy z przedziałkiem po lewej stronie. Z daleka można byłoby ich wziąć za bliźniaków. Sara Maria wniosła danie główne.

Postawiła przed każdym głęboki porcelanowy talerz, pełen zawiesistej zupy mięsnej. Momentalnie rozszedł się wkoło zapach czosnku, pomidorów, cebuli, papryki i nieznanych aromatów. Adolfo de Jezus przymknął oczy i skosztował. W porządku, to jest to, Sara Maria niczego nie sknociła. Zupę spożywano powoli, w skupieniu i w zupełnej ciszy. Tego wymagał rytuał. Do stołu przysiadła się również Sara Maria. Jadła dużo i ze smakiem. Potem uprzątnęła talerze i powróciła ze srebrną tacą.

— *Dzisiaj coś na upojne sny.*

Adolfo de Jezus wejrzał podejrzliwie. Płyn był żółtawy i zalatywał kamforą.

— *Indiański trunek znad Amazonki* — Sara wychyliła kielich jednym haustem. — *Wyciąg z sinicuichi, peyotlu i costoszapote. We śnie otwiera bramy niebios.*

Każdy wypił i zaraz zaciągnął się wonnym hawańskim cygarem. Potem wszyscy, jak na dany znak, podeszli do palm i rozłożyli się wygodnie na jedwabnych hamakach. Adolfo de Jezus przymknął oczy i nie wiadomo kiedy zapadł w błogi sen.

Przyśniły mu się najmłodsze lata, kiedy przebywał z matką wśród Kubańczyków na dalekim przedmieściu Miami. Sąsiedzi uprawiali tam kult „Santaria". Bóstwom i demonom składano ofiary ze zwierząt. Pod maczetę szły głównie kozy i kurczaki. Matka pouczała go od najwcześniejszego dzieciństwa, że duszę ma każdy przedmiot, choćby nawet był martwy. Wszędzie też krążą złe demony, zjednaj je sobie darami, a pomogą w każdej potrzebie. Znała zarówno białą jak czarną magię. Po cichu wierzono, że jest czarodziejką obdarzoną jakąś wyższą mocą. Posiadła sztukę zaklęć i wróżb. Umiała leczyć chorych i rzucała urok. Nocą odprawiała czarne msze. Bano się jej, ale okazywano też szacunek.

Gdy podrósł, matka przeniosła się do Matamoros, dużego portu rzecznego w Meksyku, na prawym brzegu graniczącej ze Stanami szeroko rozlanej Rio Grande del Norte. Jakież cudowne chwile tam przeżył. Gonitwy po plantacjach bawełny, gry w chowanego wśród upraw pomidorów i ananasów. Nie wszyscy go lubili. Miano mu za złe, że podrzuca pod cudze progi odcięte łebki kur i gęsi. Idioci, cała rozkosz w zabijaniu.

Zbudziło go gwałtowne szarpnięcie. Stał nad nim wyraźnie czymś spłoszony Alvero de Leon z jego osobistej obstawy.

— *Jezusie, czytaj* — Alvero podał gazetę.

Adolfo przetarł z wściekłością oczy.

— *Ile razy mówiłem, żeby mi nie przerywać popołudniowej sjesty. Zabierz się stąd, do jasnej cholery.*

— *Jezusie, proszę, przeczytaj, to bardzo ważne. Trzeba natychmiast wywiewać, bo oni nas przyskrzynią jak amen w pacierzu.*

Adolfo de Jezus ujął dziennik, nadal sapiąc ze złości. Po chwili zbladł. Oczy stanęły mu niemal w słup.

— *Nie mówiłem, sprawa jest poważna* — Alvero rozglądał się z rosnącym niepokojem. — *Oni mogą być już gdzieś blisko. Jezusie, uciekamy.*

Po dwóch godzinach, stojącą na peryferiach Santa Eleny okazałą willę, otoczyła brygada mundurowych pod kierunkiem kapitana Gonzalesa. Policjanci byli niemile zaskoczeni panującą wkoło ciszą. Nigdzie śladu żywej duszy. Czyżby ci przeklęci sataniści zdążyli gdzieś nawiać? A może przyczaili się w bocznej wieżyczce albo za murem w piwnicy? Gonzales wyrzucił rękę w górę.

— *Podchodzimy z czterech stron, strzelać tylko na mój rozkaz.*

Policja już od roku tropiła Adolfa de Jezusa i jego bliskich kompanów. Pierwsze słuchy o bandzie nadeszły nawet wcześniej. Rozpowiadano o tajnej sekcie „Kambula" w Matamoros. Później wpłynęły meldunki o przerzutach z tego portu dużych ładunków marihuany i kokainy do Stanów. Sataniści przewozili narkotyki nocą, w płaskich łodziach. Zawsze podczas monsunowych wiatrów, przynoszących straszne ulewy znad oceanu. Dlatego tak trudno ich było nakryć

W końcu ktoś puścił farbę i ujęto czterech nocnych przewoźników. Byli to Serafin Hernandez Garcia, Elio Hernandez Rivera, Sergio Martinez i David Serna Valdes. W więzieniach Meksyku zna się niezawodne sposoby, które już po kilkunastu minutach otwierają usta najbardziej twardym z twardzieli — pałka go w nerki i prądem po jądrach. Ani się kto obejrzał, a już czterech metysów przemówiło zadziwiająco zgodnym chórem.

Należeli do sekty „Santaria". Byli czcicielami szatana. Do najściślejszego grona nigdy ich nie dopuszczano. Byli od czarnej roboty, od szmuglowania narkotyków przez granicę.

— *Kto stoi na czele sekty?* — pytał Gonzales.

Milczenie trwało tylko kilka sekund.

— *Adolfo de Jezus Constanzo.*

— *Kto to jest?*

— *Kubańczyk, ale urodził się w Miami i ma obywatelstwo amerykańskie.*

— *Czy to on zabił Marka Kilroya?*

Milczenie przeciągnęło się dłużej.

— *Nic o tym nie wiemy, ale możliwe, że dochodziło do różnych zabójstw. Jezus jest odważny jak lew i nie cofa się przed niczym. Nikomu nie ufa i boi się zdrady. Ma przy sobie paru goryli. Mówi, że nawet wśród chrystusowych apostołów znalazł się zdrajca.*

Tajniacy ruszyli pędem wprost ku drzwiom szykownego budynku. Wywalili je w okamgnieniu i wtargnęli do środka. Dom ział pustką. Panowała grobowa cisza. Detektywi rozeszli się bez zwłoki po wszystkich kątach rozległej willi, by ją wybebeszyć i spenetrować do ostatniego zakamarka.

Plon okazał się nadspodziewanie bogaty. W garażu walały się w żelaznej szafie celofanowe woreczki z „białą śmiercią". Wartość narkotyków tak na oko oszacowano na dwa miliony dolarów. W piwnicy odgrzebano kilka szybkostrzelnych automatów. W kuchni spoczywała w kuble odrąbana ludzka głowa z wyjętym z niej mózgiem.

Ciszę uciął schrypiały głos kapitana.

— *Na to wygląda, że to głowa zaginionego Kilroya.*

Wieśniacy nie wnieśli wiele nowego. Zauważyli jedynie że ci ważniacy z willi wyrywali na łeb i szyję w wielkich, czarnych limuzynach. Trzy auta pędziły w krótkich odstępach jedno za drugim. W jednym siedziała młoda kobieta. Cizia zagląda tu często ze swym przydupasem. Inni wpadali raz na dwa miesiące. Pobawili się, pohulali i tyle ich kto widział. Bogaci, że w głowie się nie mieści. Szastali forsą w lewo i prawo. Jak się nazywają? A kto ich tam wie. Niebezpieczni jacyś faceci. Młodzi, po dwudziestce, nosili spluwy za pasem. Każdy schodził im z drogi już z daleka.

Gonzales zastanawiał się, czemu nie zabrali ze sobą marihuany. Czyżby wymiotło ich w paru minutach i byli na takim rauszu, że o wszystkim zapomnieli? Tak, na pewno natankowali się kokainą. Zajrzał jeszcze raz do kuchni. Podszedł do paleniska i uniósł pokrywę ciężkiego miedzianego kociołka. W nos uderzył go niesamowicie ostry zapach czosnku, cebuli, papryki i bliżej nie znanych mu przypraw. Z zupy wystawały kawałątka dziwnie białego, cienkiego jak palec i rozciągliwego mięsiwa, zmieszanego z czerwonawą masą czegoś, co wyglądało na serce bądź cielęcą wątróbkę. Ludzkie mięso? Możliwe, słuchy o kanibalach w tej okolicy doszły go już przedtem. Przywołał dwóch detektywów.

— *Zabrać zupę do analizy.*

Po dwóch dniach odebrał krótki raport z policyjnego laboratorium w Meksyku.

„*W zupie stwierdzono obecność okruchów gęsi, kurczaków, przede wszystkim cząstek ludzkiego mózgu i ludzkiego serca*".

Gonzales połączył się ze swym szefem. O współpracę poproszono FBI w Waszyngtonie. Niewykluczone, że banda kanibalów i handlarzy narkotyków zbiegła do Stanów.

Adolfo de Jezus Constanzo kraju nie opuścił. Dotarł cały i zdrów do swej posiadłości w Atizapan. Stał tam jego pałacyk w niedużym parku pełnym rozłożystych palm i olbrzymich storczyków o delikatnych bladych barwach. Gdy na podzwrotnikowe niebo wypłynął księżyc i obrzucił ziemię swym upiornie martwym blaskiem, Adolfo de Jezus skinął na Sarę Marię.

— *Ta noc nadchodzi, pora rozpalić ognisko.*

Zrozumiała w jednej chwili. Czas odwołać się do pomocy szatana. Ona też wyczuła, że zawisł nad nimi niewidzialny topór. Wierzyła jak Jezus, że złe duchy wirują tuż obok, a mogą dużo więcej niż żywi i cieleśni. Trzeba im złożyć poddańczy hołd i ofiarę, a odwzajemnią się na pewno łaską, podporą i poratunkiem.

O północy cmentarną ciszę zmącił w ogrodzie stłumiony jazgot bębnów. Czterech mężczyzn smagłych i nagich, o skórze ciemnej jak heban, z białą jedynie opaską na biodrach, bębniąc rytmicznie, wpatrywało się nieruchomym okiem w „wielkiego kapłana" i jego „wielką kapłankę", to jest Sarę Marię. Adolfo de Jezus był w ich oczach potężnym guru, kto wie czy nie wcieleniem szatańskiego bóstwa. Spełniali każdy jego rozkaz bez sprzeciwu i z pokorą.

Adolfo, odziany w białą i długą szatę, stał bez ruchu przy rozniecionym ognisku, dzierżąc wysoko nad głową kadzielnicę ze spętanym na niej kogutem. Z wolna opuszczał ręce. Gdy już miał koguta na wysokości ust, zatopił zęby w jego szyjce i odgryzł łeb jednym kłapnięciem szczęki. Odciętą głową szmyrgnął z rykiem triumfu do rozpalonego ogniska. I zaraz przyłożył szyjkę koguta do warg, ssał krew łapczywie, aż zabrakło mu tchu.

Zbliżyła się Sara Maria, odjęła mu koguta od ust i cisnęła z rozmachem w ogień. Kogut zatrzepotał przez moment skrzydełkami i zamarł w płomieniach bez ruchu. Bębny zajęczały odgłosem podobnym do dźwięku, jaki daje uderzenie dłonią w wypróchniały pień drzewa. Adolfo poderwał się jak smagnięty biczem i jął kręcić się i skakać wokół ogniska z pianą na ustach. Przypominało to taniec dzikich plemion z głębi afrykańskich dżungli. Bębny zawyły głośniejszym łoskotem. Wtem urwały i wkoło zaległa cisza.

Do ogniska podeszła Sara Maria w białej jak Adolfo sukni ze skrępowanym koźlątkiem w ramionach. Wzniosła oczy do księżyca, mamrocząc długą litanię tajemniczych zaklęć. Po czym uklękła, żeby po chwili cisnąć koźlątko w ogień. Bębny zawarczały z hukiem, by przydusić przedśmiertny charchot palonego żywcem zwierzęcia.

Adolfo puścił się raz jeszcze w taniec, wywijając nad głową maczetą, służącą do ścinania buszu i trzciny cukrowej. Zakołysał się, upadł, maczeta wyleciała mu z rąk i bębny umilkły. Mężczyźni w białych opaskach na biodrach otoczyli Adolfa kołem i ostrożnie postawili na nogi. Sara Maria przystawiła mu do warg pękaty kielich z „chicolate", wymieszanej z kokainą. Nad ogniskiem przeleciały bezgłośnie nietoperze-wampiry, groźne nawet dla ludzi. Gdzieś w dali rozległ się złowieszczy ryk zgłodniałej pumy i znów zapadła cisza.

Nazajutrz wczesnym rankiem Adolfo de Jezus wezwał na rozmowę najbardziej zaufanego ze swej ochrony osobistej.

— *Za godzinę zmiatamy!*

Alvero de Leon zrobił wielkie oczy.

— *Tak nagle? Ale dlaczego? Coś się stało?*

— *Czuję oddech tych przeklętych łapsów za sobą. Miałem przeokropny sen, śniła mi się umierająca w bólach matka. To fatalny omen, jak przyśni mi się matka, odbieram to zawsze jako przestrogę.*

Alvero pojął, że Jezus podjął już decyzję i żadne sprzeciwy nie zdadzą się na nic.

— *Jaka ma być trasa?*

— *Jedziemy do nowego lokum przy parku Balbuena w Meksyku. Tam w milionowym tłumie rozpłyniemy się bez śladu.*

Zadziwiające, przeczucie wcale Adolfa nie zwiodło. Wprawdzie nie od razu, ale zaledwie po dwóch dniach od jego ucieczki z Atizapan, u wejścia luksusowego pałacyku zjawił się kapitan Gonzales ze swą brygadą do zadań specjalnych. Kapitan paskudnie zaklął. Ptaszki znów mu wyfrunęły z klatki przed nosem.

Do dziś nie wiadomo jaką drogą kapitan Gonzales trafił koniec końców do utajonego apartamentu Adolfa de Jezus w Meksyku. W maju 1989 r. dom przy parku Balbuena otoczył silny oddział mundurowych. Wymiana ognia trwała cztery godziny. Wreszcie w szaleńczym zrywie kilkunastu policjantów pod osłoną ognia wdarło się do środka. W dużym salonie na piętrze odnaleziono zwłoki Adolfo de Jezus. Miał przestrzelone piersi. Ujęty 24-letni Alvero de Leon wyśpiewał wszystko jak na spowiedzi.

— *Ja zabiłem Jezusa.*

Gonzales nie krył zaskoczenia.

— *Doszło między wami do kłótni?*

— *Nie. Jezus zrozumiał, że nie ma szans i z tej pułapki się nie wydostanie. Nie chciał się oddać żywcem, rozkazał mi, zabij mnie z automatu. Wzbraniałem się. Nie, do jego śmierci nie przyłożę ręki. Wtedy się wściekł, zdzielił mnie w twarz i oddał krótką serię z okna na ulicę. Potem odwrócił się i wymierzył automat we mnie, zabij, bo inaczej ja ciebie wykończę. Mówił, że sam nie może pozbawić się życia, bo wielki szatan nigdy by mu tego tchórzostwa nie wybaczył i musiałby się smażyć w piekielnym ogniu. Nacisnąłem spust, nie miałem innego wyjścia.*

— *Czy w Santa Elena ktoś was ostrzegł i dlatego ucieczka się powiodła?*

— *Nie, to nie było to. Kupiłem gazetę, patrzę, a tu na pierwszą stronę wywalono zdjęcie piętnastu ciał odkopanych w fosie pod lasem. Jezus w mig się połapał, że po tej nitce policja lada moment trafi do niego. Dał nogę prawie tak jak stał.*

— *Kto zamordował tych piętnastu?*

— *Myśmy wszyscy zabijali.*

— *Czym?*

— *Maczetą. Ścinało się im głowy jak kurczakom i tyle.*

Aresztowano trzech innych członków sekty i Sarę Marię Alderete, kapłankę w obrzędach voodoo i czarnych mszach.

Gonzales przyjrzał się dziewczynie z uwagą. Było na co patrzeć. Posągowo zbudowana mulatka o drapieżnie sterczących piersiach. Jedna z tych dziewcząt co zdobywają laury na konkursach piękności. Uderzyła go osobliwego kształtu kolia na jej łabędziej szyi.

— *Z czego zrobiony ten naszyjnik?*

Sara Maria zawahała się.

— *Dobrze, powiem to i tak już nie ma znaczenia, z ludzkich kręgów, jeśli już o to chodzi.*

Na smagłą twarz Gonzalesa wybiegł lekki rumieniec. Rysy mu stwardniały.

— *Nie wstydzi się pani?*

— *Czego? Robiłam, co mi kazał Jezus.*

— *Jezus?*

— *No tak Adolfo, był dla nas Jezusem, tak go nazywaliśmy. Jezus dużo się naczytał o Mansonie, co zabił Sharon Tate i tych innych. Chciał być taki jak on, a nawet lepszy.*

— *Gdzie i jak zginął Mark Kilroy?*

— *W Matamoros, uprowadziliśmy go z biwaku, gdzie był na wakacjach ze studentami z uniwersytetu w Teksasie. Miał być ofiarą dla szatana. Cały dzień leżał związany w piwnicy. W nocy Jezus odciął mu głowę maczetą.*

— *Zajadaliście się ludzkim mięsem, dlaczego?*

Sara Maria spuściła oczy.

— *Z rozkazu Jezusa. Mówił, że z każdym nowym mózgiem przybędzie nam więcej rozumu, a z nowym sercem przedłużymy sobie życie.*

Gonzales popadł w krótką zadumę.

Sara spuściła głowę jeszcze niżej.

— *Jezus szepnął mi przed śmiercią, że odchodzi żeby połączyć się sercem i duszą z władcą tego świata i księciem ciemności. Mówił, że judasza, który go wydał, dosięgnie zza grobu.*

Rys. Janusz Szymański—Glana

WARSZAWA: — Był zjazd ZLP.

Pukanie w stolik

KONRAD FREJDLICH

Przed laty, jeden z ówczesnych współwłaścicieli PRL, rzekł w mojej obecności:

— Odtąd już tak nie będzie, że kiedy dwóch literatów spotyka się w kawiarni ZLP na Krakowskim Przedmieściu i zapuka gniewnie w stolik, to z tego powodu zbierze się Biuro Polityczne.

Związek Literatów Polskich wraz z kawiarenką „Czytelnika" przy ul. Wiejskiej w Warszawie, gdzie przychodzili niezadowoleni z polityki władz autorzy, uchodził za centrum jawnej opozycji politycznej.

W r. 1980, kiedy „Solidarność" rosła w siłę, w Polsce zaś coraz wyraźniej widać było niedostatek i nieudolność trzydziestopięcioletnich rządów komunistów, w Związku Literatów Polskich odbyły się wybory i po raz pierwszy prezesem został pisarz nie mający poparcia egzekutywy POP literatów warszawskich — **Jan Józef Szczepański**, członek zespołu redakcyjnego „Tygodnika Powszechnego" z akowską przeszłością. Nie wzbudziło to entuzjazmu Wydziału Kultury KC PZPR, który miał dotąd monopol na podobne nominacje, chociaż Związek Literatów Polskich pod kierownictwem pisarza z Krakowa zachowywał się dosyć powściągliwie, gdyż w odróżnieniu od wielu przeobrażających się gwałtownie organizacji, nie musiał odrabiać zaległości, bić się szczególnie mocno w piersi i stawać na czele. A mimo to z chwilą wprowadzenia stanu wojennego, właśnie ZLP stało się przedmiotem szczególnie zajadłych ataków najemnej publicystyki, zakulisowych ubeckich machinacji i gniewu sekretarza KC PZPR **Waldemara Świrgonia**, wspomaganego przez awansowanego na sekretarza propagandy w Katowicach, a następnie na kierownika Wydziału Kultury KC PZPR prof. **Witolda Nawrockiego**, zresztą członka tegoż ZLP.

We wrześniu 1983 r. zawieszoną dotąd organizacja pisarzy została, z naruszeniem prawa, rozwiązana, a już w listopadzie odbył się zjazd pięćdziesięciu wyselekcjonowanych przez partię członków-założycieli nowego Związku Literatów Polskich. Na jego czele stanęła **Halina Auderska**, formalnie bezpartyjna, mająca również piękną kartę okupacyjną. Z prominentnych przedstawicieli życia literackiego w składzie prezydium znaleźli się m.in. **Zbigniew Safjan** i **Andrzej Wasilewski**, a także **Józef Szczawiński** i **Jerzy Jesionowski**. Ten ostatni został oficjalnie zastępcą skarbnika, naprawdę zaś powierzono mu klucze do skarbca gromadzącego środki na działalność całego piśmiennictwa, bowiem **Kazimierz Żygulski**, w czasie swego krótkiego i bardzo źle wspominanego „ministrowania" mianował go przewodniczącym Funduszu Literatury.

2 marca 1989 r. odbył się III Zjazd Delegatów „odrodzonego" Związku Literatów Polskich. Jego obrady toczyły się w cieniu rozmów przy „okrągłym stole", co spowodowało reakcje obronne kolejnych sterników neo-ZLP: **Wojciecha Żukrowskiego**, **Jerzego Jesionowskiego** i **Zygmunta Wójcika**. Klucznik Funduszu Literatury, uchodzący za speca od finansów i zagadnień prawnych, przygotował projekt uchwały, dzięki której III Zjazd przepoczwarzył się w Zjazd XXIV. Większość delegatów wzięła to za dobrą monetę naiwnie przypuszczając, że chodzi o podkreślenie ciągłości Związku Literatów Polskich i zapowiedź dialogu z pisarzami którzy wzbraniali się przed przystąpieniem do związku, a nie widzieli dla siebie także miejsca w wyłaniającym się z niebytu Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich. Trzeba pamiętać, że **dokonywane wówczas wybory**, nie zawsze miały charakter polityczny, **czasem decydowała wygoda, niekiedy personalne sympatie albo antypatie.**

Mimo wcześniejszych deklaracji, że nie zamierza ubiegać się o fotel prezesa, **Wojciech Żukrowski**, dzień wcześniej przyjęty przez ówczesnego premiera **Mieczysława Rakowskiego** i z jego błogosławieństwem, stanął jednak do nierównej w tej sytuacji konkurencji i oczywiście ją wygrał, choć nie jednogłośnie. Wśród delegatów wyraźnie zarysowała się opozycja wobec tej nominacji, kolejnemu dyktatowi PZPR przeciwstawili się zwłaszcza pisarze z prowincji, bo warszawscy oponenci Żukrowskiego nie uzyskali mandatów na zjazd. Zjazd dał wszystkim chyba poczucie niedosytu, zwłaszcza gdy część nowo wybranego (praktycznie w starym składzie) prezydium próbowała nie dopuścić do przegłosowania uchwał. **Nie były one szczególnie rewolucyjne, zważywszy na podskórne procesy w polskim życiu politycznym, upomniano się w nich jednak i o Vaclava Havla i o Zdzisława Najdera**, wydobyto **nawet z zapomnienia** Stanisława Wasylewskiego. Przeforsowano także zobowiązanie nowego zarządu głównego do zwołania nadzwyczajnego zjazdu ZLP, o ile kondycja polskiej książki ulegnie dalszemu pogorszeniu. Ta ostatnia uchwała stała zresztą w wyraźnej sprzeczności z deklaracjami obecnego na sali ówczesnego ministra kultury **Aleksandra Krawczuka**. Był on zdania, że sytuacja książki nigdy jeszcze nie była w Polsce tak dobra, jak pod jego światłym kierownictwem. Profesor wiedział, co mówi: pobił rekord wznowień, nasycił kraj płodami własnego pióra.

13 października 1989 r. w „Życiu Warszawy" ukazał się artykuł Grzegorza Łatuszyńskiego zatytułowany „Związek Literatów Polskich: co dalej?" Zwracając uwagę, że marcowy zjazd ZLP, nie dokonał żadnego obrachunku z grzeszną przeszłością, poinformował o akcji zbierania podpisów w sprawie zwołania zjazdu nadzwyczajnego. Krążący w środowisku pisarzy wniosek, skierowany do ZG ZLP głosił:

„Wobec gwałtownych przemian zachodzących w kraju żądamy zwołania w możliwie szybkim czasie Nadzwyczajnego zjazdu Związku w celu:

— Określenia jego roli i miejsca w nowej sytuacji politycznej,

— ustosunkowania się do faktu powstania paralelnej organizacji twórczej — Stowarzyszenia Pisarzy Polskich,

— dokonania wyboru nowych władz zdolnych iść z duchem czasu a także podjąć współpracę ze Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich".

Wniosek poparło **137** członków ZLP (z Łodzi **5** osób). Okazało się jednak, że zwolennicy zasadniczych przeobrażeń nie osiągnęli wymaganej przez statut liczby podpisów. Nie oznacza to, że wniosek pozostał bez jakiegokolwiek wpływu: podziały w oddziale warszawskim jeszcze się pogłębiły, mimo dzielnych poczynań **Romualda Karasia**, stołecznego prezesa, aby wszystko bez zmian mocno utrzymać w garści. Skapitulował jedynie **Wojciech Żukrowski**, który złożył rezygnację z funkcji prezesa Zarządu Głównego. W ten sposób kapitan pierwszy zszedł z pokładu tonącego okrętu.

Tonięcie łajby uprzytomnił sobie także wreszcie **Jerzy Jesionowski**, który przejął z rąk Żukrowskiego rozchwiany ster. Na 17 marca 1990 r. został zwołany zjazd nadzwyczajny, co prawda z udziałem delegatów zjazdu poprzedniego, co miało wyłagodzić i osłabić ewentualne ataki na poczynania dotychczasowego zarządu. Uczestnicy tego jednodniowego spotkania, którzy stawili się w **Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu**, dowiedzieli się na miejscu, że **Zarządu Głównego już nie ma, bowiem podał się w całości do dymisji. Pozwoliło to uniknąć sprawozdania z rocznych rządów. Pozwoliło to także dokonać kolejnej, jak się zdawało, bezbolesnej i bezkarnej manipulacji — oto zjazd nadzwyczajny, monotematyczny, poświęcony sytuacji książki i ruchu wydawniczego, stał się nagle XXV Zjazdem ZLP**, posiadającym uprawnienia wyborcze.

Jerzy Jesionowski, który włożył ciało i duszę w przygotowania do tej kolejnej metamorfozy ZLP i teraz siedział skromnie na sali wśród szaraczków, spoglądając uczciwymi oczami na prezydium obrad, miał powody do zadowolenia: maszynka zjazdowa funkcjonowała bezbłędnie, porządek obrad realizowany był bez zakłóceń. **Nagle nastąpił pierwszy, nie zapowiedziany zgrzyt.** Oto na mównicę przedarł się **Stanisław Gola** i w imieniu delegatów **Katowic** złożył ich mandaty. Na znak protestu przeciwko manipulacjom finansowym Zarządu Głównego, który przejął dotację Ministerstwa Kultury dla oddziału na Śląsku. Chodziło o kwotę niewielką, ledwie **50 mln zł**, ale zawsze.

Zamiast skarbnika ZG ZLP przed mikrofonem stanął dyrektor **Smaruj** i oświadczył, że ministerstwo przekazało pieniądze, nie określiło jednak jakie ma być ich przeznaczenie. A ponieważ w kasie nie było środków na płace... W tym momencie ktoś przytomnie zapytał, czy na zjeździe wybierano Zarząd Główny czy dyrektora biura, ale odpowiedź nie padła, gdyż przystąpiono już do kolejnego punktu porządku obrad.

Jerzy Lichniak postanowił podzielić się kilkoma refleksjami o sytuacji ZLP. Przede wszystkim przypomniał **słowa Jana Pawła II**, że podstawowa suwerenność narodu wyraża się w jego kulturze. I zaraz zadał pytanie: **czy nie mamy do czynienia z sytuacją, kiedy ta podstawowa suwerenność staje się łupem działań politycznych?** Znalazł na nie odpowiedź: mamy do czynienia z sytuacją przepolitycznienia kultury, tworzą się kryptotrybunały orzekające o czyjejś wiarygodności.

Nawiązując do „Nowych Aten" Chmielowskiego przyrównał ZLP do konia, który jaki jest, każdy widzi. **„Nie jest to koń kuty na cztery nogi. Nie jest to koń bliski Pegaza, bo dosyć ochwacony. Ale to koń, który nie leży jeszcze na wszystkie cztery kopyta".**

Pigułkę wzmacniającą samopoczucie zaserwował zjazdowi także **Romuald Karaś**, który powołując się na swoje doświadczenia w działalności gospodarczej obiecał, że sytuacja literatury poprawi się, kiedy poprawi się sytuacja gospodarcza. Przerwał mu **Roman Sliwonik**, brutalnie, bo konkretnie:

— Uważam, że Karaś blefuje, bo itumaczył się, że oddział warszawski nie ma na znaczki i dlatego nie zwołano zebrania literatów stołecznych".

R. Karaś: — Odbyły się trzy zebrania oddziału warszawskiego, w tym jedno wyborcze".

Halina Janaszek-Ivaniczkowa zadała mu kłam twierdząc, że kiedy opowiedziała się za koncepcją walnego zgromadzenia literatów warszawskich, to podobno zabrakło znaczków pocztowych. Nie ma już PZPR, ale zostały stare przyzwyczajenia. Na znak protestu złożyła więc rezygnację z funkcji wiceprezesa oddziału warszawskiego.

Wykorzystując zamieszanie spowodowane różnymi oświadczeniami, **Roman Sliwonik** odczytał znamienny dokument, który zaczynał się od słów:

„Inicjatorzy listu 137 stwierdzają: wszelkie nasze dotychczasowe wysiłki mające na celu reformowanie, demokratyzację i przywrócenie wiarygodności naszego środowiska, ostatecznie zostały brutalnie storpedowane".

Przypomniał żądania reformatorów: zwołanie walnego zjazdu ZLP z czynnym i biernym prawem wyborczym wszystkich członków, zwrot Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich proporcjonalnej części majątku stanowiącego własność całego środowiska literackiego, przeproszenie SPP za zachowanie **Jerzego Jesionowskiego** podczas rozmów dotyczących podziału mienia.

Dokument zawierał również stwierdzenie:

„Winniśmy zadośćuczynienie za brutalne pogwałcenie wszelkich zasad moralnych i prawnych przez rozwiązanie Związku Literatów Polskich w 1983 r. oraz dyskryminację i szkalowanie wielu naszych kolegów po piórze".

I w innym miejscu:

„Potępiamy również odrażające manipulowanie faktami i informacjami, a szczególnie ich przeinaczanie i zatajenie".

Wystąpienie to, które ktoś nazwał szantażem, oznaczało w rzeczywistości rozłam w neo-ZLP. Starzy delegaci pośpiesznie uchwalili zdjęcie sprawy z porządku dziennego. Do głosu dobił się wreszcie **Piotr Kuncewicz**. Być może, gdyby mógł przemawiać wcześniej, obraz tego zjazdu byłby zupełnie inny. Po tym jednak, co już się wydarzyło na tej sali, jego rozsądne propozycje padały właściwie w próżnię. Pojął to **Roman Samsel**, który zaproponował rozwiązanie ZLP jako instytucji powołanej przez manewr polityczny, w czasach, gdy istniała policja myśli. Inni byli za odnowieniem, przekształceniem, większość jednak delegatów była za utrzymaniem status quo. I te stare nawyki myślowe zwyciężyły, chociaż nawet **Krzysztof Gąsiorowski** stwierdził, że ZLP **„wyczerpał się w nowych warunkach"**. Co prawda starzy wyjadacze woleli wziąć z wypowiedzi Gąsiorowskiego argumentację, która im bardziej odpowiadała:

— Uważam, że ten związek miał obowiązek powstać. Myślałem, że nastąpi milczące porozumienie środowiska, to znaczy opozycja będzie robiła swoje, a my uratujemy majątek związku i honoraria pisarzy.

Samopoczucie zebranych poprawiło się na tyle, że do nowych władz zgodzili się kandydować zasłużeni weterani zdymisjowanego zarządu, m.in. **Józef Szczawiński** i **Jerzy Jesionowski**. Padł nawet wniosek, aby honorowym prezesem zrobić **Wojciecha Żukrowskiego**. Co prawda ten wniosek nie uzyskał wymaganej większości, ale też Żukrowskiego nie było już na sali. Nie znalazł też uznania **Jerzy Jesionowski**, który nie wszedł do odnowionych władz.

Kiedy komisja skrutacyjna obliczała głosy, **Roman Sliwonik** zbierał w kawiarni na dole podpisy pod dokumentem:

„Wyczerpawszy wszelkie możliwe formy krytyki, dyskusji i porozumienia, bezradni wobec złej woli władz Związku Literatów Polskich, nie widząc możliwości dalszego uczciwego i twórczego działania postanawiamy wyłonić odrębny Związek Zawodowy Literatów z siedzibą w Domu Literatury, zachowując wszelkie prawa twórcze, członkowskie i majątkowe dotychczasowego ZLP.

Informujemy, że nowy związek zawodowy w przeciwieństwie do dotychczasowego ZLP będzie miał charakter wyłącznie twórczy, apolityczny, a zajmować się będzie przede wszystkim sprawami bytowymi i socjalnymi członków".

Rosła liczba podpisów pod tym oświadczeniem.

Uprzytomniłem sobie, że mimo takiego ruchu w kawiarni literackiej, nie zbierze się już Biuro Polityczne zainspirowane przez czujną egzekutywę POP oddziału warszawskiego. Nie ma egzekutywy, nie ma Biura Politycznego, nie ma nawet PZPR. Ale niektórym będzie ich brakować do śmierci.

■

Dlaczego POM plajtuje?

EUGENIUSZ IWANICKI

POM w Gorczynie, gm. Łask nadal prezentuje się doskonale. Zastanawia tylko panująca cisza.

— *Dlaczego tu tak cicho?* — pytam dyrektora POM Zenona Stępnika.

— *Sprawa jest prozaiczna: nie mamy nic do roboty.*

— *W poprzednich latach o tej porze rolnicy staczali boje o miejsce w kolejce do warsztatu.*

— *To już historia.*

— *Gdzie tkwi przyczyna?*

— *W cenach. Ceny nas gubią i na to nie ma ratunku. Nie możemy nawet wykonywać statutowych obowiązków.*

— *Jakie to obowiązki?*

— *Po pierwsze: POM-y były powołane do remontu sprzętu rolniczego. Remontowaliśmy sprzęt zarówno prywatnym rolnikom, jak i spółdzielniom, a w przeszłości państwowym. Do naszych obowiązków należało wykonywanie napraw gwarancyjnych wszystkich maszyn rolniczych i ciągników wszystkich typów: krajowych i z importu. Po drugie: produkowaliśmy części do wszystkich maszyn rolniczych. Poczynając od 1968 roku POM w Gorczynie był jedynym producentem agregatów do mechanicznego bielenia pomieszczeń inwentarskich. Szło to na cały kraj...*

— *Mówimy o czasie przeszłym. Mnie interesuje teraźniejszość.*

— *Prawda jest taka: rolnicy nie mają pieniędzy.*

— *A wasze ceny?*

— *Nasze ceny pozostały takie, jakie były w roku ubiegłym, choć od tego czasu wiele maszyn i części podrożało. Tu jest też pewien paradoks: otóż Zakłady Mechaniczne „Ursus" za naprawę gwarancyjną ciągnika biorą od nas 21 tys. zł za godzinę, natomiast my za taką samą godzinę naprawy bierzemy od chłopa tylko 15 tys. zł.*

— *I mimo to?*

— *Nikt nie przyjeżdża. Z doświadczenia wiem, że stan techniczny ciągników pozostawia wiele do życzenia. Ale oni stosują metodę „na przeczekanie".*

— *Niesprawnym traktorem nikt nie wyjedzie w pole.*

— *Nie wyjedzie, ale oni starają się wykonywać remonty domowym sposobem, zaoszczędzając w ten sposób na robociźnie.*

— *Na przeglądy gwarancyjne muszą przyjeżdżać, nawet na te płatne.*

— *Jeśli rolnik przyjeżdża na płatny przegląd gwarancyjny po 400—500 godzinach pracy traktora, to też go to wcale mało nie kosztuje, gdyż sam przegląd wynosi u nas 96.000 zł plus wymiana oleju za 164.700 zł! Ten przegląd jest konieczny, bo jeśli go się nie dokona, właściciel traci gwarancję na sprzęt. Więc przyjeżdżają z musu.*

Państwowy Ośrodek Maszynowy w Gorczynie znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Robotnicy, nawet ci o bardzo wysokich kwalifikacjach, są na przymusowych, bezpłatnych urlopach. Dyrektor Zenon Stępnik zaczął urlop od siebie. Zmieniono profil produkcji.

Chodząc po terenie POM natrafiłem na dwóch robotników: Andrzeja Cieślaka i Bronisława Mitutę.

— *Jak pan widzi swoją przyszłość?* — pytam Andrzeja Cieślaka.

— *Jeszcze nie odczuwam zagrożenia, choć nie ma pracy. Byłem na urlopie bezpłatnym, ale to żadne rozwiązanie. Jeśli zostanę zwolniony, to będę bezrobotnym.*

— *A pan?* — zwracam się do Bronisława Mituty.

— Przepracowałem tu 27 lat, jestem mechanikiem posiadającym 13 rodzajów uprawnień na naprawę sprzętu rolniczego. Moja sytuacja jest niewesoła. Mam żonę — rencistkę — sparaliżowaną.

— *A jeśli pana zwolnią?*

— Nie wiem co zrobię. Ja niczego innego nie potrafię.

W 1964 roku powstała tu trzyletnia Zasadnicza Szkoła Mechanizacji Rolnictwa. Przyjeżdżali chłopcy nie tylko z okolicznych wiosek, ale z odległych powiatów, potem z ościennych województw. Co roku 30 absolwentów z dyplomami wędrowało do SKR, do Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych, niektórzy przejmowali gospodarstwa po rodzicach. Szkoła dogorywa, właściwie skończyła już się, bo nie będzie przyjęć, choć rodzice przywożą swoich synów i błagają dyrektora Zenona Stępnika, by przyjął ich do szkoły. Nie pomagają żadne tłumaczenia i wyjaśnienia: ludzie wiedzą swoje — trzeba dać w łapę. A kiedy i to się nie udaje, przestają cokolwiek rozumieć.

— *To przykre* — mówi dyrektor — *Czasem wstyd mi spojrzeć ludziom w oczy. Oni nie rozumieją, że to nie ja zlikwidowałem tę szkołę. Dla tych wiejskich chłopców była ona często jedyną szansą na awans.*

POM w Gorczynie zaczyna kooperować z Zakładami Dolomitowymi w Tarnowskich Górach, dla których wykonuje naprawy urządzeń technicznych.

■

Nie każdy kto mówi, umie mówić

Rozmowa ze ZDZISŁAWEM WAWRZYŃSKIM — prezesem Klubu Krasomówców PTTK.

— Ładnie mówić — do tego potrzeba bardziej talentu czy długiej nauki?

— Więcej chyba potrzeba jednak nauki, no oczywiście potrzeba też jakiegoś zacięcia, iskry bożej. Konieczna jest praca i zamiłowanie. Poza tym bardzo ważne jest pozbycie się tremy.

— A ile w tym sztuki?

— Hm..., to z pewnością jest jakiś rodzaj sztuki, ale do dobrego jej uprawiania potrzebna jest praktyka, która powoduje eliminowanie błędów np. językowych. Do tego potrzebni są znajomi, przyjaciele, którzy je wskażą.

— Jak pan zaczął uprawiać tę sztukę?

— Takie „poważne" krasomówstwo zaczęło się w moim życiu od 1958 roku, czyli od czasu kiedy zostałem przewodnikiem, ale początki są znacznie wcześniejsze — od szkolnych lat byłem związany z recytacją. Pochwalę się, że w jednym z ogólnopolskich konkursów recytatorskich rywalizowałem z Wojciechem Siemionem, który wtedy był jeszcze amatorem. Do 1970 roku byłem reprezentantem województwa olsztyńskiego w konkursach recytatorskich. W 1981 r. był w Lidzbarku Warmińskim wojewódzki konkurs krasomówczy i tam zdobyłem pierwsze miejsce, a potem pojechałem do Golubia Dobrzynia na ogólnopolski konkurs — miałem tam być tylko obserwatorem, a wyjechałem z drugą nagrodą.

— W pracy przewodnika, bo to przecież też pana zajęcie, krasomówstwo bardzo pomaga, a czy tak samo jest np. w kontaktach z urzędnikami?

— No, czasami tak. Zdarza się, że jestem rozpoznawany po głosie.

— Liczne nagrody w konkursach krasomówczych, także zapewne estyma jaką pan ma wśród kolegów przewodników, doprowadziła pana do prezesury Klubu Krasomówców PTTK. Bardzo proszę o garść informacji na jego temat.

— Do klubu mogą należeć wszyscy uczestnicy i jurorzy konkursów krasomówczych. Co roku do klubu, którego siedzibą jest zamek w Golubiu, przybywa 50 członków. Wśród celów jest między innymi propagowanie pięknego, sugestywnego i skutecznego mówienia.

Rozmawiał:
BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

■

dodatek codzienny

Odgłosy

Łódź 1 kwietnia 2000 rok

WOKÓŁ WOTUM NIEUFNOŚCI

Po wyrażeniu wotum nieufności Rady Narodowej wobec Prezydenta Łodzi — Marka Edelmana, nastąpił kolejny w tym roku kryzys prezydencki w naszym mieście. Rada zdominowana przez Porozumienie Obywatelskie, z uporem maniaka odrzuca kolejnych prezydentów, po zaledwie kilku lub kilkunastu tygodniach urzędowania. Nie przypadł jej do gustu ani kandydat SdRP, ani PPS. Podobnie rzecz się miała z prezydentami spod znaku PPZ i KPN. Co ciekawe RN nie zapałała sympatią także do prezydenta bezpartyjnego, a ostatnio zażądała ustąpienia Marka Edelmana. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że wszystkich usuniętych później panów Rada wybrała sama — niemal jednogłośnie. Na razie trudno powiedzieć, kto będzie kolejną zabawką naszych Radnych. Spekulacje trwają. Coraz częściej mówi się o kandydaturze Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej. Rzecznik PPZ oświadczył, że jeżeli ta kandydatura zostanie oficjalnie zgłoszona, „Zieloni" zawieszą swój udział w Radzie. Wcześniej mandaty radnych oddali przedstawiciele ugrupowań anarchistycznych. Podobne stanowisko reprezentuje Narodowo-Socjalistyczna Partia Polski i część pozostałych ugrupowań mniejszościowych tworzących dotąd koalicję w ramach Porozumienia Obywatelskiego. Czy czekają nas kolejne przedterminowe wybory? Rozstrzygnięcie nastąpi lada dzień.

„PLAYBOY" NA POLSKIM RYNKU

Do warszawskiego hotelu „Marriott" przybył wczoraj w późnych godzinach wieczornych prezes koncernu wydającego pismo „Playboy" John Naked. Towarzyszy mu liczne grono doradców. Celem wizyty jest dokonanie wstępnego rozeznania na polskim rynku prasowym i wytypowanie kilku tytułów, z którymi na zasadzie joint venture światowej sławy firma spod znaku króliczka wydawałaby swoje pismo. W późniejszym czasie przewiduje się również zorganizowanie sieci klubów.

Z jeszcze nie potwierdzonych oficjalnie doniesień służby hotelowej wynika, że rozpatruje się możliwość zawarcia kontraktu m.in. z „Przeglądem Wodno-Kanalizacyjnym" „Biustem Polskim", „Gazetą Rozrywkową" oraz miesięcznikiem „Seks nietypowy".

Po sfinalizowaniu umów, w krótkim czasie trafią do naszych kiosków pierwsze numery „Playboy'a" wydawanego w Polsce. Specjaliści od wyborów miss i królowych piękności już przygotowują eliminacje do konkursu na fotomodelki dla pisma, i zapewniają, że kandydatek do zdjęć na rozkładówkę na pewno nie zabraknie.

WEEKEND Z MYSZKĄ MICKEY

Sfinalizowano umowę między Urzędem m. Łodzi i amerykańską firmą „Dandex". W jej efekcie być może już w czerwcu 2001 roku w Grotnikach zostanie oddany do użytku polski Disneyland. Wśród sosen nad rzeką Lindą w towarzystwie Myszki Mickey i Kaczora Donalda łodzianie będą mogli doskonale się zabawić. Utworzenie Disneylandu nie spowoduje zlikwidowania lunaparku na Zdrowiu. Zostanie tam otwarte Muzeum Rozrywki. Jako ciekawostkę podajemy, że będzie można korzystać z niektórych jego eksponatów. Na własne ryzyko.

„OSKAR" W SKIROŁAWKACH

Los Angeles (obsł. wł.) Wczoraj wieczorem odbyło się tu wręczenie dorocznych nagród Akademii — popularnych „Oskarów". Bezprecedensowy sukces odniósł polski film: „Raz do roku w Skiroławkach". Został on dosłownie obsypany „Oskarami". Jury uznało, że należy wyróżnić polski film za: najlepszy scenariusz (Z. Nienacki i J. Przymanowski), najlepszą muzykę (S. Krajewski), zdjęcia i efekty specjalne. Nagrodzono także reżysera — A. Wajdę. W wywiadzie dla „Hollywood Obserwer" autor powiedział, że przez wiele lat błądził tworząc mało zaangażowane kino, tzw. polityczne, aż zrozumiał, że jego przeznaczeniem jest robienie filmów o problemach zdegenerowanej społeczności ludzkiej. „Ten film jest prawdziwym obrazem nas samych — jestem oburzony decyzją Komisji Kontroli Publikacji i Widowisk Episkopatu Polski, o niedopuszczeniu filmu do wyświetlania". Protest wystosowało także Stowarzyszenie Filmowców Polskich.

Debiut w „Skiroławkach" i... „Oscar". Tak należy lansować młode talenty.

WODA DLA ŁODZI

Po uruchomieniu kolejnego bloku Grupowej Oczyszczalni Ścieków, stopień czystości wód Neru wzrósł do 99,2 proc. i osiągnął pułap, przewidywany w założeniach technologicznych. Dzięki temu nad Nerem powstaje zespół ujęć wody dla miasta — pierwsze rozpocznie pracę w końcu roku. Wkrótce znajdziemy się w zamkniętym obiegu wody. Podstawowym odtąd zadaniem rurociągu z Pilicy stanie się uzupełnianie ubytków, które osiągną 30 40 proc. ogólnego poboru. Przewiduje się, że w ciągu dwóch lat straty w sieci uda się obniżyć o połowę. Mimo tych optymistycznych wiadomości nie należy oczekiwać rychłego odstąpienia od reglamentacji wody, ani obniżenia jej ceny.

„CENTRALOWI" URÓSŁ KONKURENT

Po 10 latach funkcjonowania bazaru w przejściu podziemnym koło DT „Central", ciasne pomieszczenia pod ulicami zostały powiększone i wreszcie przystosowane do celów handlowych. Powstał w ten sposób prawdziwie uniwersalny sklep, który skutecznie konkuruje ze swoim naziemnym sąsiadem.

W nowej placówce, masowo odwiedzanej przez łodzian, można kupić wszystko — począwszy od żywności, przez książki, odzież aż po sprzęt audiowizualny. W pomysłowo zaadaptowanych pomieszczeniach dawnego szaletu znajduje się dział sprzedaży zwierząt domowych.

Proponowany towar pochodzi głównie z importu, występuje w szerokim asortymencie i dobrze świadczy o przedsiębiorczości rodzimych handlowców.

Akcjonariusze podziemnego sklepu podobno planują jego stopniowe powiększanie przez drążenie tuneli pod ul. Piotrkowską, zarówno w kierunku północnym jak i południowym.

Ze źródeł dobrze poinformowanych wiemy, że kierownictwo „Centralu" obawia się o swe interesy i widzi w podziemnym handlu groźnego rywala.

My ze swej strony radzimy jedno z dwóch rozwiązań: albo wejść w spółkę z nową placówką, albo naśladując konkurencję rozpocząć drążenie tuneli pod al. Mickiewicza.

GDZIE SIĘ PODZIAŁ KAMIEŃ WĘGIELNY?

Połączone ekipy parzęczewskiego Muzeum Archeologicznego i Uniwersytetu im. Boruty w Łęczycy rozpoczęły prace wykopaliskowe w rejonie ulic Kilińskiego i Mickiewicza. Poszukiwania dotyczą kamienia węgielnego ongiś wmurowanego w miejscu, gdzie miała stanąć nowa łódzka filharmonia. Zespołem kieruje znany z archeologicznych odkryć na Retkini doc. Hipolit Szczypior.

Melomani wiążą z wykopaliskami duże nadzieje, gdyż po starym budynku filharmonii nie ma już dziś śladu, a prowizorycznie przystosowana sala klubu „Lutnia" nie zdaje egzaminu.

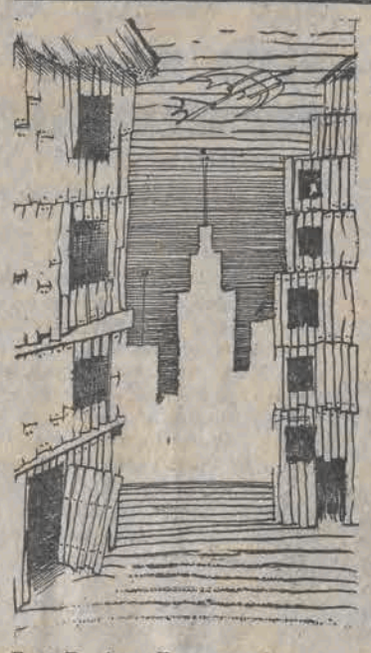

Rys. Dariusz Romanowicz

CO DALEJ Z LUBLINKIEM?

Z powodu nasilających się protestów los Międzynarodowego Portu Lotniczego w Łodzi wciąż jest niepewny. Lider Powściągliwości i Pracy — Bogusław Porwisiak grozi procesem każdej linii lotniczej, której samoloty będą używać silników przy starcie i lądowaniu. PiP zapowiada blokadę dróg i pikietę przed Parlamentem. Nie wyklucza się ogłoszenia referendum w sprawie likwidacji lotniska. Przypomnijmy, że o jego powstaniu zdecydowało głosowanie powszechne w 1992 r. Czyżby kij miał dwa końce?

PRZYBYŁO NOWE JEZIORO

Długotrwałe wiosenne sztormy szalejące na Bałtyku naniosły tak wielkie ilości piachu i materiałów osadowych, że pracujące na Mierzei Helskiej pogłębiarki nie są w stanie zapewnić toru wodnego z Gdańska na otwarte morze. Zanosi się na to, że najbliższe wakacje będziemy spędzać już nie nad Zatoką, ale Jeziorem Gdańskim.

CO ZROBIĆ Z BUTELKAMI?

Ministerstwo Handlu Wewnętrznego rozpisało wśród uczonych i menedżerów konkurs na rozwiązanie problemu skupu opakowań szklanych. Termin nadsyłania projektów upływa z końcem kwietnia. Zażegnanie butelkowego impasu leży w interesie zarówno klientów, jak i handlowców. Nagrodą w konkursie jest kontener chudego mleka.

KUPĄ MOŚCI PANOWIE!

Redagują:

Władysław Rejmont,
Marian Skłodowski,
Henryk Manna,
i Czesława Miłoszowa

AGENCJE DONOSZĄ:

(UPI) Na Kubie znanotowano pierwsze symptomy politycznej odwilży.

Aby zapobiec kolejnym niepokojom, jakie w ostatnim czasie miały miejsce na wielu plantacjach trzciny cukrowej, sędziwy Fidel Castro podjął decyzję o zniesieniu reglamentacji bielizny osobistej.

Ten śmiały krok był możliwy dzięki zawartej przed 2 miesiącami umowie handlowej z Chinami, które zobowiązały się zrealizować interwencyjne dostawy tego tak poszukiwanego i dotąd reglamentowanego towaru.

(PAT) Delegacja rządu RP odbywa podróż do wysoko uprzemysłowionych krajów południa. Pierwszym i najważniejszym etapem jest Górna Wolta, gdzie w Ouagadougou toczyć się będą rozmowy z przedstawicielami AWR — Afrykański Wspólny Rynek na temat restrukturyzacji polskiego zadłużenia wobec krajów zrzeszonych w AWR.

(PAT) Po naciskach opinii publicznej prezydent RP — Lech Wałęsa zmuszony został do ustąpienia ze stanowiska. Głównym powodem było przekraczanie kompetencji, co naruszało wolność obywateli. Ujawniono kontakty prezydenta z Tajną Policją Państwową. Ugrupowania opozycyjne domagają się także ustąpienia Ministra Spraw Wewnętrznych Adama Michnika, i rozwiązania Tajnej Policji, skompromitowanej po wydarzeniach 1991.

(AFP) Po utracie przez Japonię prymatu w dziedzinie miniaturyzacji na rzecz Mali, Afryka wciąż w ataku. Na ostatnich targach sprzętu video w Radzyniu Podlaskim największe zainteresowanie budził sprzęt z Kamerunu.

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Panie!

Widzę, że prawo padło Panu na mózg bez reszty. Aż strach pomyśleć, co będzie dalej... Logika to jeden z filarów prawa, a Pańskie wywody są zlepkiem nowych sylogizmów i antynomii. Jak można tak pisać? Bój się Pan Boga. Dotychczas uczono mnie o logice p. p. Arystotelesa, Chryzyppa, Porfiriusza, Kartezjusza, Leibniza, de Morgana, Milla i innych. Empiriokrytycznie poznałem jeszcze logikę ludowego wojska polskiego, ale... Panie! Pan się gubi we własnych wywodach. I skleroza widzę też...

Zapraszam tedy do ucieczki w mistykę. Wino krajowe odpada.

nazwiska i adres znane redakcji

Cieszy mnie niezmiernie, że czytuje Pan encyklopedię, bo tam wszelakich nazwisk pałęta się multum, co nie znaczy, żeby wszystko było prawdą. Bo skąd Pan wiesz, czy to autor nie dołożył nazwisk, żeby było więcej, bo czasy teraz liche, a spróbuj Pan z wierszówki wyżyć — nawet na wino krajowe nie starcza. Ale Pan wiesz lepiej, więc komentował tego nie będę. A skleroza specjalnie mi jeszcze nie dokucza — póki co nogi mam zdrowe. Radziłbym jednak Panu przeprowadzenie specjalistycznych badań — podobno we wczesnym stadium jest to uleczalne. Nie skleroza oczywiście.

Z poważaniem

redaktor dyżurny

Sport

PARTYKA SZYBUJE WYSOKO

Na mityngu lekkoatletycznym w Sofii Artur Partyka poprawił własny rekord świata pokonując poprzeczkę na wysokości 258 cm. Mimo 31 lat mistrz olimpijski z Barcelony i Aten nadal utrzymuje się w znakomitej formie, co napawa optymizmem przed tegoroczną olimpiadą w Berlinie.

WARSZAWA 2008

W Lozannie odbyła się sesja Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Podjęto decyzję, że organizatorem olimpiady w 2008 roku będzie... Warszawa!!! Tak więc to, co nie spełniło się w roku 1944 stanie się po 64 latach. Ale na tym nie koniec wiadomości. Również Łódź będzie gościć uczestników igrzysk XXIX Olimpiady. W nowopowstałej na Zdrowiu hali sportowo-widowiskowej walczyć będą: zapaśnicy w stylu wolnym, siatkarze i koszykarze. Na krytym torze rozegrane zostaną konkurencje kolarskie. Na Retkini przewiduje się wybudowanie pełnowymiarowej pływalni olimpijskiej.

Honorowym przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego Olimpiady 2008 ma zostać biskup Henryk Jankowski.

Widzew zdobywcą Pucharu Europy A JEDNAK MOŻNA!

Sędziwy Ludwik Sobolewski przecierał oczy ze zdumienia. Selekcjoner reprezentacji Polski Zbigniew Boniek szalał ze szczęścia. Widzew zdobywcą Pucharu Europy!!! Na wypełnionym do ostatniego miejsca stadionie olimpijskim w Rzymie RTS po pasjonującym pojedynku pokonał mistrza Albani Flamutari Tirana 3:2!

Początkowo nic nie zapowiadało sukcesu. Po pierwszych 45 minutach Widzew przegrywał 0:2, ale to, co pokazali po przerwie łódzcy piłkarze było wręcz futbolową poezją. Wspaniałe dryblingi, celne podania, piękne strzały. W 60 minucie meczu doświadczony kapitan zespołu Tomasz Łapiński strzałem z 35 m w samo okienko bramki Arbena Kusthy zdobył kontaktową bramkę. 10 minut później był już remis. Po znakomitym dośrodkowaniu Kamila Kołtuniaka gola strzelił Maciej Terlecki (tak, tak — syn Stanisława). Kiedy wszyscy oczekiwali już na dogrywkę, albańscy obrońcy popełnili dziecinny błąd. Wykorzystał go Euzebiusz Smolarek zdobywając bramkę na wagę Pucharu Europy.

Po zakończeniu spotkania 200 tys. kibiców (w tym 50 tys. z Polski) na stojąco dziękowało piłkarzom za stworzenie wspaniałego widowiska. Jeszcze raz gratulujemy chłopcom z widzewskiej jedenastki i ich trenerowi Janowi Tomaszewskiemu. Z niecierpliwością czekamy na ich powrót z Rzymu.

P.S. Uroczyste powitanie planowane jest jutro o godz. 12 w Międzynarodowym Porcie Lotniczym na Lublinku.

Ogłosy

● Usługi detektywistyczne najwyższej klasy poleca agencja „Hans Kloss" — St. Mikulski — Poste Restante — „Liść Dębu"

● Szczury tępię. Krótkie terminy. K. Popiel

● Skuteczne leczenie wszelkich chorób. Niekonwencjonalne metody sprawdzone klinicznie w Polsce i Niemczech. Dr Mengele

● Zadowolę erotycznie panie. Chętnie seks nietypowy E. R. Otoman

● Co mam robić? Każdy pomysł sowicie wynagrodzę. L Balcerowicz

● Świecę oczami w potrzebie. Robak, Świętojańska 3

● Zrobię świństwo. Ceny przystępne. Wysokie rabaty dla stałych klientów.

● Wrona na gwałt potrzebna. Wiek nieistotny. Kruk.

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

ABY DWOJE CHCIAŁO NARAZ!

Podczas obrad XXII sesji Rady Narodowej Miasta Łodzi radni p.p. Jerzy Jatczak i Mirosław Kacalak wnieśli interpelacje w sprawie udostępnienia przez łódzkie środki przekazu miejsca małym partiom, szczególnie w okresie kampanii wyborczej do samorządu terytorialnego oraz w sprawie rzetelnego przedstawiania różnych informacji przez środki masowego przekazu.

Prezydent miasta przekazując powyższe postulaty radnych prosi o uwzględnienie tych postulatów mając przekonanie, że realizowanie ich na pewno przyczyni się do wzrostu autorytetu i wiarygodności pism.

BENEDYKT CZUMA
(Rzecznik prasowy Prezydenta Miasta)

Niezależnie od tego, jakie będą dalsze losy RSW „Prasa-Książka-Ruch" w całości, a Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego w szczególności, mam nadzieję, że „Odgłosy" utrzymają się na rynku, znajdą sposób na pokrywanie niezbędnych kosztów i zarabiania na siebie. Dlatego z całym zrozumieniem przyjmuję sugestię prezydenta miasta wyrażoną w liście jego rzecznika Benedykta Czumy. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby stanowiska małych partii mogły być również prezentowane w różnej formie na łamach „Odgłosów". Rzecz w tym, aby takie teksty były i aby byli chętni do ich zgłoszenia w redakcji. Jak do tej pory — poza kontaktami z Unią Polityki Realnej — takich prób nie udało się stwierdzić. W czym więc rzecz?

Zaprosiłem rzecznika prasowego prezydenta m. Łodzi — pana Benedykta Czumę do redakcji, aby wyjaśnić powstające nieporozumienia na tym tle. Zaproszenie podtrzymuję.

Łódź, 21.03.1990.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

KILKA NIEZBĘDNYCH WYJAŚNIEŃ W SPORZE O KLUB JEŹDZIECKI

Od mecenasa Jerzego Ciesielskiego otrzymałem następujący list, który publikuję w całości, z błędem , jakim jest opuszczone słowo w pierwszym zdaniu. Nie poprawiam tego błędu, aby nie być posądzonym o manipulację. A oto treść listu, do którego załączona była kopia pełnomocnictwa, jakie mecenasowi Jerzemu Ciesielskiemu udzielił mgr Wojciech Jabłoński, prezes ŁKJ:

Działając w imieniu mojego mocodawcy Łódzkiego Klubu Jeździeckiego w Łodzi uprzejmie proszę pełnego tekstu sprostowania Łódzkiego Klubu Jeździeckiego. Stosownie do przepisu art. 32 ust. 6 ustawy prawo prasowe w tekście nadesłanego sprostowania nie wolno bez zgody wnioskodawcy dokonywać skrótów lub innych zmian, które by osłabiały jego znaczenie lub zniekształcały intencję autora sprostowania. Taki charakter ma opuszczenie zdania sprostowania: „Z kontekstu wynika, że prezenty te rozdaje dziennikarzom by zyskać ich przychylność", następującego po cytacie z artykułu pana Marka Koprowskiego „Spór o Klub Jeździecki" („Odgłosy" z 4 lutego 1990 roku, nr 5) „Prezes klubu lubi rozdawać dość atrakcyjne prezenty".

Uprzejmie proszę również o wydrukowanie pod tekstem sprostowania oświadczenia, iż „sprostowanie Łódzkiego Klubu Jeździeckiego nie ukazało się ani w najbliższym ani w jednym z dwóch kolejnych numerów tygodnika Odgłosy licząc od nr 5, w którym znajdował się artykuł Marka Koprowskiego Spór o Klub Jeździecki, a ukazało się w czwartym kolejnym, to jest nr 9 tygodnika, wbrew zasadzie wyrażonej w art. 32 ust. 1 pkt. 2 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 roku prawo prasowe, Dz. U. nr 5, poz. 24 z późn. zm.)", a nadto o wskazanie w tym oświadczeniu przyczyny opóźnienia publikacji sprostowania.

Spełnienie przedstawionych przeze mnie próśb czynić będzie zadość zasadom wyrażonym w przepisach prawa prasowego wyżej przytoczonych.

Do wiadomości: Rzecznik Dyscyplinarny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Oddział w Łodzi, ul. Buczka 18.

JERZY CIESIELSKI
(adwokat)

Art. 31 „Prawa prasowego" nakazuje naczelnemu redaktorowi opublikowanie „rzeczowego i odnoszącego się do faktów sprostowania wiadomości nieprawdziwej lub nieścisłej". **Wykreślone zdanie:** „Z kontekstu wynika, że prezenty te rozdaje dziennikarzom, by zyskać ich przychylność" — **nie odnosi się ani do faktów, ani Marek Koprowski takiego zarzutu nie sformułował. Jest to domniemanie. Skorzystałem więc z prawa, jakie daje mi art. 31 „Prawa prasowego" i usunąłem je, gdyż następne zdanie:** „Wiadomość ta jest nieprawdziwa. Prezes klubu nigdy nie wręczał dziennikarzom podarków" — **odnoszą się do faktu i były w sprzeczności ze zdaniem poprzednim. Jak bowiem można zyskiwać czyjąś przychylność przez rozdawanie podarków, jeśli się tych podarków nie rozdawało? Wykreślone zdanie przywracało logikę wyjaśnieniom i w żadnym razie nie** „osłabiały jego znaczenie lub zniekształcały intencję".

Art 32 „Prawa prasowego" stanowi, że odpowiedź „należy opublikować w: (..) 2) czasopiśmie — w najbliższym lub jednym z dwóch następujących po nim przygotowywanych do druku numerów". **Mecenas Jerzy Ciesielski i jego klient, prezes ŁKJ mgr Wojciech Jabłoński nie zwrócili uwagi na słowa** „przygotowywanych do druku". **Chodzi zatem nie o dwa następujące numery po tym, w którym opublikowany był kwestionowany artykuł, ale o przygotowywane.**

Pismo mgr Wojciecha Jabłońskiego nosi datę 5 lutego 1990 roku. Nr 5 „Odgłosów" nosi datę 4 lutego 1990 roku. W tym czasie w drukarni był już w toku produkcji nr 6 pisma. W przygotowaniu był natomiast nr 7 pisma, a więc najbliższy. Ale „Prawo prasowe" daje również możliwość opublikowania sprostowania w „jednym z dwóch następujących po nim przygotowywanych do druku" **Wyjaśnienie mgr Wojciecha Jabłońskiego ukazało się w 9 numerze, a zatem w jednym z dwóch przygotowywanych numerów następujących po najbliższym numerze. Opublikowane zostało zgodnie z prawem.**

Zarzut opóźnienia druku sprostowania wynika z nieporozumienia. Mecenas Jerzy Ciesielski i mgr Wojciech Jabłoński nie wzięli pod uwagę cyklu produkcyjnego pisma, który trwa 10 dni i rozpoczyna się w każdy poniedziałek i kończy się w środę, kiedy „Odgłosy" ukazują się w kioskach. Prawodawca natomiast wziął ten cykl produkcyjny pisma pod uwagę i dał redakcjom możliwość dotrzymania prawem ustalonego terminu. Zatem sprostowanie nie musi się ukazywać w dwu numerach po publikacji zakwestionowanego artykułu.

Mecenas Jerzy Ciesielski pismo swoje przesłał do wiadomości rzecznika dyscyplinarnego SDP. Tu chciałbym wyjaśnić pewną niestosowność tego. Po pierwsze — istnieją dwa stowarzyszenia dziennikarzy: Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i Stowarzyszenie Dziennikarzy RP. Po drugie — zgodnie z moją przynależnością do SDRP byłoby wskazane przesłać to pismo do wiadomości rzecznika dyscyplinarnego SDRP w Łodzi. Po trzecie — tak się składa, że rzecznikiem dyscyplinarnym SDP w Łodzi jest red. Karol Badziak, który zmuszony był publicznie — na łamach „Głosu Porannego" — przyznać, że mnie zniesławił i za to przeprosił. Nie może więc być w żadnym wypadku osobą nawet z urzędu rozpatrującą jakiekolwiek zarzuty pod moim adresem. Czy w ogóle może, to inna — nie moja — sprawa. Po czwarte — zastępcą rzecznika dyscyplinarnego SDP w Łodzi jest Marek Koprowski. Tym bardziej osoba — jako autor publikacji kwestionowanej — zupełnie w tym sporze nieprzydatna.

Mam nadzieję, że publikacja listu mecenasa Jerzego Ciesielskiego, który występuje w imieniu prezesa ŁKJ — mgr Wojciecha Jabłońskiego usatysfakcjonuje obu panów i ostatecznie wyjaśni powstałe nieporozumienie. Pozwoliłem sobie poświęcić temu nieporozumieniu tyle miejsca i uwagi z dwu powodów: 1 — aby inni tego uniknęli, 2 — aby powstałe nieporozumienia wyjaśniać u kompetentnych źródeł.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

MOŻNA TO BYŁO SPRAWDZIĆ

W artykule pt: „Telewizja szuka nowych twarzy" („Odgłosy" nr 10 z 11 marca 1990) autor, K. Frejdlich sugeruje, że istniał związek pomiędzy ideologią a moim częstszym — jak pisze — pojawianiem się na ekranie telewizyjnym. Jest to nieprawda. Po pierwsze nigdy nie byłem członkiem żadnej partii politycznej. Po drugie — lokalne programy informacyjne prowadziłem od 1977 roku z taką samą częstotliwością jak inni dziennikarze pracujący na ekranie „Wiadomości". Autor publikacji mógł to łatwo sprawdzić w konspektach, raportach, protokołach wycen. Możliwości było wiele. Nie uczynił tego, puścił natomiast ideologiczny smrodek. Ta metoda, jej stosowanie w minionych latach uczyniła wiele społecznych i osobistych krzywd. Jeśli się nie mylę, doświadczył jej i autor artykułu. Dlatego sądziłem, że jemu jest już ona obca.

Będę zobowiązany za zamieszczenie tego sprostowania w jednym z najbliższych numerów tygodnika.

EDWARD MARCINIAK

Łódź, 13 marca 1990.

ULICA ALEKSANDRA LENARTOWICZA

W wydanym w końcu 1989 roku planie miasta Łodzi, ujrzałem ulicę Aleksandra Lenartowicza. Specjalnie pojechałem na Dąbrowę, by na tablicy odczytać, iż jestem na ulicy Teofila Lenartowicza. Znanego poety. Zaciekawiła mnie też ulica Berlińskiego. Pomyślałem — może to byłego już muru, a może tajnego pułku? Okazało się, że jest to ulica Hersza Berlińskiego, jednego z wybitniejszych bojowników Getta Łódzkiego. A w spisie ulic mamy też ulice Maciejewskiego i Regiera, bez imion.

Zagłębiłem się w spisie łódzkich ulic i jest to nawet ciekawa lektura. Znany rzeźbiarz Dunikowski pisał swoje imię Xawery — w planie jest Ksawery. Współtwórca lotów kosmicznych ZSRR, pochodzący z Sieradza nazywał się Ary Szternfeld, w planie figuruje jako Sternfeld. Niektórzy patroni ulic mają zaznaczone przy nazwisku profesor, doktor, ksiądz, generał. Inni nie. Pewno w zależności od wiedzy redaktora.

Przy nazwiskach Bohdana Stefanowskiego i Jerzego Wernera zaznaczone „prof.", a przy nazwisku ich wybitnej koleżanki z Politechniki Łódzkiej — Alicji Dorabialskiej — nie. Są księża — H. Kołłątaj, S. Staszic, P. Ściegienny. Przy nazwisku księdza Antoniego Mackiewicza brak informacji. Podobnie jest z wojskowymi. Na planie jest ulica Tagore, w spisie — Tagore'a.

Ulice Łodzi noszą imiona wielu znanych, sławnych ludzi, kwiatów, zwierząt, drzew, nazw geograficznych. Jest też sporo nazw oryginalnych, a czasem i śmiesznych, i tajemniczych. Oto parę przykładów: Bierna, Czysta, Denna, Głucha, Jeża (pisarza czy zwierza?), Kałkowska, Kusa, Nery (?) 25 lecia PRL, Skromna, Stasia, Urocza, Wesoła, Zabawna, Zadraż (?).

Plan miasta ozdobiony został dwiema fotografiami Łodzi: fragmentem ulicy Piotrkowskiej oraz bramą Zakładów „Uniontex" przy ulicy Targowej. Podając nazwiska b. właścicieli K. Scheiblera i L. Grohmana, w tym drugim nazwisku zrobiono aż dwa błędy (Grochmann zamiast Grohman). A plan rozszedł się po całej Polsce...

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

SPRAWCY POZOSTALI NIEZNANI

W związku z zamieszczeniem w 6 numerze „Odgłosów" listu Mieczysława Kozaka pt. „Izba Pamięci dla wszystkich, ale..." proszę, na podstawie art. 31 ustawy „Prawo prasowe" o zamieszczenie mojej odpowiedzi na ten list. Oto jej treść:

„W 6 numerze „Odgłosów" z 11 lutego 1990 r. ukazał się list Mieczysława Nowaka zatytułowany „Izba Pamięci dla wszystkich, ale...". Zawierał on poważne zarzuty w stosunku do instruktorów Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej działających na terenie Łodzi. Jako komendant Łódzkiego Hufca ZHP przeprowadziłem rozmowę z Marianem Bileckim — kierownikiem Izby Pamięci przy Komendzie Chorągwi ZHP w Łodzi — oraz z autorem listu M. Kozakiem.

Z rozmów tych wynika:

1) Faktem jest. że z Izby Pamięci zginęły dwa oryginalne statuty ZHP z 1936 r. Jednak Marian Bilecki nie twierdzi, że to instruktorzy ZHR przywłaszczyli sobie te statuty. W dniu ich zniknięcia odwiedzało Izbę kilku instruktorów i być może wśród nich byli nasi instruktorzy. Marian Bilecki wymienił dwa nazwiska osób, które z ZHR nie miały i nie mają nic wspólnego. Również Mieczysław Kozak nie potrafił podać żadnego nazwiska, a na pytanie, skąd wie, iż byli to członkowie ZHR odparł, że po prostu... wie. Był to jedyny argument jakim dysponował.

2) Insynuacji, jakoby ci sami instruktorzy skradli planszę z tekstem wiersza „Przyrzeczenie" z wystawy w Muzeum Historii Miasta Łodzi w 1981 r. Mieczysław Kozak nie potrafił poprzeć ani nazwiskami, ani żadnymi konkretami. Dodam, że niektórzy z naszych starszych instruktorów byli współtwórcami owej wystawy i nie musieli uciekać się do bezczelnej kradzieży, aby wejść w posiadanie planszy.

3) Stanisław Broniewski „Orsza" nie wystąpił z ZHR i nie poparł ruchu ZHP —1918, lecz ustąpił z władz ZHR i stanął na czele Krajowego Komitetu Odrodzenia ZHP.

Chciałbym dodać, że instruktorzy ZHR utrzymują regularne kontakty ze środowiskiem seniorów harcerskich i jak do tej pory układały się one bardzo dobrze. Mam nadzieję, że ta przykra dla obu stron sprawa nie odbije się na nich negatywnie".

DARIUSZ NOWIŃSKI
(Komendant Łódzkiego Hufca ZHR)

ZDANIEM TAKSÓWKARZY

W nawiązaniu do felietonu „Taryfowe lobby" — Łódź posiada jedno z najwyższych w Polsce wskazań taksometru — a taksiarze jednak nie ustępują i ani im w głowie, że nikt ich karać nie będzie za obniżenie taryf" — tyle cytatu zamieszczonego w „Odgłosach" nr 7(1664) z 18.02.1990 r., a jaka jest rzeczywistość?

Nikt nie lubi dopłacać do własnego interesu, tak jak nikt nie chce pracować za darmo. Można i trzeba byłoby zadać pytanie: dlaczego nie obniżono ceny paliwa, oleju, smarów, akcesoriów samochodowych, ceny nowych pojazdów, podatków itp. Odpowiedzi może być kilka — bo inflacja postępuje, bo wzrosły koszty utrzymania etc. etc.

Czy można obniżyć taryfę? Odpowiedź: MOŻNA, bo przecież jest to cena ruchoma — tylko gdzie jest rachunek ekonomiczny prowadzonej działalności, można pójść jeszcze dalej — przecież można wozić pasażerów za darmo i ogłosić upadłość przedsiębiorstwa zasilając rzesze bezrobotnych, ale chyba nie o to chodzi, a co może mieć miejsce niebawem tam, gdzie taryfa jest niższa. Biorąc pod uwagę uzyskiwane obroty w stosunku do ponoszonych kosztów, jak np.: podatek, ZUS, PZU, amortyzacja, koszty utrzymania i inne, następuje dekapitalizacja majątku, a usługi świadczone będą tylko do momentu „przejedzenia" samochodu.

Przecież prowadząc działalność na własny rachunek, każdy zdaje sobie sprawę, że nie otrzyma dotacji państwowej, że nikt w prezencie nie da nowego samochodu, nie zwolni z pokrycia ustalonych świadczeń, ani nie przyzna pensji. Na wszystko należy zapracować samemu, pracując kilkanaście godzin na dobę. Ironiczne wypowiedzi na temat szukania ratunku w parlamencie i rządzie świadczą o poszukiwaniu taniej sensacji, ewentualnie manipulowaniu opinią publiczną lub nieznajomością zagadnień, w których w ramach „Nagłego zastępstwa" przyszło się wypowiedzieć.

Wszystkie zrzeszenia zgłaszają postulaty — ale są to postulaty, które miałyby na celu ochronę pasażerów i ich bezpieczeństwo, a także przywrócą rangę zawodu taksówkarza. Główny postulat to:

— przywrócenie obowiązku posiadania odpowiednich kwalifikacji do wykonywania zawodu taksówkarza, a w tym: 3-letniego stażu zawodowego, badań lekarskich i psychotechnicznych, niekaralności, znajomości topografii miasta itp.

W chwili obecnej taksówkarze o pełnych kwalifikacjach protestują przeciwko „zaśmiecaniu" tej grupy zawodowej ludźmi bez żadnych kwalifikacji. Protestują przeciwko dokonywaniu wpisów do ewidencji wszystkich podmiotów gospodarczych, bez sprawdzenia choćby faktu posiadania prawa jazdy. W konsekwencji takiej praktyki dziesiątki „niedzielnych" i „popołudniowych" kierowców bez stażu, kwalifikacji i badań lekarskich zapełniło postoje. Nie wiadomo nawet, czy i kiedy ostatnio byli karani (np.: za gwałty, rozboje itp.), czy nie zagrażają bezpieczeństwu pasażera (np. padaczka itp.).

Następnym istotnym postulatem była likwidacja „półetatowców", tzn. dziś trudnego do określenia liczbowo grona kierowców startujących z pozycji uprzywilejowanej. Płacących podatki w wysokości 60 proc. podstawy, nie płacących składek ZUS, a posiadających pełny zakres ubezpieczeń, płatny urlop, nagrody jubileuszowe itp. Mających zapewniony stały miesięczny dochód w postaci pensji oraz nienormowany czas pracy w ramach świadczonych usług. To powoduje niezadowolenie wśród taksówkarzy, dla których taksówka była od lat jedynym źródłem utrzymania ich i rodziny, a którzy znaleźli się obecnie w dramatycznej sytuacji ekonomicznej.

Konkurencja — to równy start dla wszystkich, którzy za wykonywanie tej samej działalności ponoszą te same obciążenia finansowe. Wobec powyższego środowisko taksówkarskie domaga się prawnego uregulowania tej kwestii.

I jeszcze jedno — czy zawód taksówkarza jest zawodem „politycznym" dlatego tylko, że „dzisiejsi prominenci" byli kierowcami taksówek, sądzę, że nie — lecz świadczy to o tym, że bardzo zmieniają się czasy, w których przyszło nam wszystkim wspólnie żyć.

KAROL KWIATKOWSKI
(Prezes Zarządu Zrzeszenia Transportu Prywatnego)

„WOJNA O WODĘ" — INACZEJ

W nr 10(1667) z 11 marca 1990 roku „Odgłosy" opublikowały artykuł Eugeniusza Iwanickiego — „Wojna o wodę", który zawiera informacje niezgodne z prawdą, a mianowicie:

1. Akty notarialne przeniesienia własności nieruchomości na rzecz ob. ob. Bobrowskiego i Owczarka zostały sporządzone 24 listopada 1987 roku (decyzje naczelnika z 23 października i 23 listopada 1987 r.). Moja decyzja stwierdzająca nieważność decyzji naczelnika gminy Brzeźnio została wydana 3 sierpnia 1988 roku w trybie nadzoru (już po zawarciu aktów notarialnych) na skutek napływających w tym czasie do Wojewody Sieradzkiego pism anonimowych wskazujących na dokonane przez naczelnika gminy nieprawidłowości. Nieprawdą jest, że akty notarialne zostały zawarte w czasie toczącego się postępowania administracyjnego.

2. Nieprawdą jest, że na mój wniosek z 26 sierpnia 1988 roku skierowany do prokuratora wojewódzkiego w Sieradzu o unieważnienie aktów notarialnych i zabezpieczenie powództwa — „prokurator wszczął postępowanie cywilne". Wręcz przeciwnie. Pismem z 30 sierpnia 1988 roku Prokuratura Wojewódzka stwierdziła, że „...obecnie brak jest podstaw faktycznych i prawnych do zastępowania działań terenowych organów administracji państwowej przez prokuratora".

3. Po zakończeniu postępowania administracyjnego w sprawie stwierdzenia nieważności decyzji naczelnika gminy w przedmiocie zbycia nieruchomości, wywiodłem do Sądu Rejonowego w Sieradzu pozew przeciwko Janowi Bobrowskiemu o unieważnienie aktu notarialnego. Celem wywiedzionego powództwa jest pozyskanie na rzecz Skarbu Państwa terenu, na którym znajduje się studnia głębinowa i hydrofornia zaopatrująca w wodę były SKR. Teren ten w obecnie obowiązującym ogólnym miejscowym planie zagospodarowania gm. Brzeźnio jest przeznaczony jako ujęcie wody. Pozostały teren zgodnie z ustaleniami planu zagospodarowania gminy nie jest przeznaczony na budowę szkoły, sklepu, domu nauczyciela, ubieganie się o pozyskanie tego terenu nie leży w interesie Skarbu Państwa i z tego powodu wywodziłem powództwa o uchylenie aktu notarialnego dotyczącego nieruchomości ob. Owczarka.

4. Postępowanie sądowe nie zostało zakończone. Obecnie opracowywana jest mapa podziału terenu dla określenia granic i powierzchni terenu niezbędnego dla funkcjonowania planowanego ujęcia wody.

mgr inż. WAWRZYNIEC SŁOWIŃSKI
(Główny Geodeta Wojewódzki)

PROPOZYCJA DLA SENIORÓW

Informujemy uprzejmie, iż Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa — Sekcja Twórczości Seniorów (działające przy Domu Kultury „Atut" w Łodzi, ul. Nawrot 27) zrzesza członków tak z Łodzi, jak i całego kraju. STS prowadzi działalność w zakresie amatorskiej twórczości literackiej w znacznej części poświęconej tradycji robotniczej Łodzi.

Podając powyższe oczekujemy z dużą serdecznością zgłoszeń wszystkich chętnych do udziału w pracach Sekcji Twórców Seniorów. Zapisy przyjmujemy w każdy wtorek w godz. 11—13 w siedzibie STS przy DK „Atut", ul. Nawrot 27 (w budynku DK na zapleczu byłego kina).

Sekcja Twórczości Seniorów aktualnie posiada duży zbiór utworów tak z dziedziny poezji, jak i prozy, które są do dyspozycji zainteresowanych.

ZDZISŁAW GAJEWSKI

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

29 marca — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.

5 kwietnia — BOGDA MADEJ — godz. 10—15.

TELEFON 36-77-70 CZEKA NADAL NA CIEBIE.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 22 MARCA 1990 R.

Kilku naszych Czytelników podzieliło się podobnie brzmiącą ogólną refleksją: na „górze" wiele się zmieniło, ale na „dole" — zgoła nic. Wiele starych struktur trzyma się mocno, a niektóre nowe — z założenia wpasowane już w system demokratyczny — obracają się w kręgu myślenia totalitarnego. Łatwiej jest bowiem zmienić struktury, niż sposób myślenia.

Wilhelm P. z ul. Kasprzaka uważa na przykład, że nie zmienił się na lepsze lokalny program telewizji. Zmienili się dysponenci polityczni, jak również lansowane idee i środowiska. Nie uległo natomiast zmianie to, co powinno być najważniejsze: styl informowania i komentowania wydarzeń.

Dziennikarze — zauważa Wilhelm P. — jak dawniej manipulują wypowiedziami swoich rozmówców, co jest tak widoczne, że aż żenujące (są to z reguły młodzi żurnaliści, nie obeznani z podstawami warsztatu dziennikarskiego).

Co gorsza, wadliwa jest ogólna koncepcja programowa: zamiast możliwie obiektywnej informacji, serwuje się tendencyjne komentarze, przyprawione zazwyczaj ledwie skrywaną nienawiścią. Nie chodzi o to, że one są tendencyjne w tę czy inną stronę — chodzi o to, że w ogóle są tendencyjne, że traktują widza jak idiotę, któremu trzeba — tak samo, jak to czynili komuniści — kłaść łopatą do głowy prawdy, które nie są wcale takie oczywiste. To widz jest od interpretacji, nie dziennikarze! — kończy swą antytelewizyjną tyradę Wilhelm P.

Włodzimierz G. z ul. Ejsmonda zwrócił uwagę na kwestię własności. Należy on do grona tych właścicieli nieruchomości, którzy nie mogą dysponować własnym majątkiem, gdyż został on zawłaszczony przez państwo bądź upaństwowioną spółdzielczość. Tłumaczono mu wtedy, iż dzieje się tak ze względu na „interes społeczny". Tak samo jest obecnie — oburza się i dziwi **Włodzimierz G., który próbował ostatnio odzyskać swoje mieszkanie, zamienione przed laty na magazyn. Odmawiając mu, posłużono się znów argumentem „społecznego interesu". Kto tu ma naprawdę interes w zawłaszczaniu — zapytuje retorycznie Włodzimierz G.**

Teresę W. z ul. Lnianej denerwują lampy uliczne, palące się na ul. Lnianej (na odcinku od Traktorowej do Rydzowej) w dzień, przez całe przedpołudnia. Próbowała interweniować w zakładzie energetycznym — wiadomość z podziękowaniem przyjęto — ale bez skutku: lampy palą się nadal! Pani Teresa interesuje się też opuszczoną budą przy ul. Rydzowej (obok pawilonów handlowych), gdzie mieścił się kiedyś skład makulatury. Dziś chronią się w jej cieniu alkoholicy, którzy od półtora roku mają w niej wspaniałe schronienie. Czy nie można jej sprzedać, zużytkować, wywieźć, rozwalić? — domaga się Teresa W.

Pozostał do zreferowania jeszcze jeden problem, powracający na prawie każdym dyżurze. Chodzi o inwazję psów. Najwyraźniej dla wielu jest to kwestia wyjątkowo irytująca. Zwraca się uwagę na brud i odchody, zanieczyszczające miejsca, gdzie bawią się dzieci. Podaje się też przykłady krajów bardziej od nas cywilizowanych, które już dawno znalazły sposób na pogodzenie czworonogów z higieną. Ciekawe, czy w tych krajach (na przykład w Anglii, gdzie właściciele chodzą za pieskami ze szczotką i torebką foliową) także zaczynano od irytacji, skarg i narzekania, które trwały przez dziesięciolecia, zanim wytworzyła się społeczna presja na zachowanie czystości?

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Zanim się zdecydujesz i znajdziesz na to pieniądze — przeczytaj!

Czy każdy może mieć pistolet gazowy?

Rozmowa z DARIUSZEM GAJZLEREM — inspektorem sekcji zezwoleń i opiniowania WUSW w Łodzi i majorem ZBIGNIEWEM GWIZDKĄ — zastępcą naczelnika Wydziału Ogólnego WUSW w Łodzi.

— W ostatnim czasie nastąpił w kraju szturm na sklepy z bronią. Jak duża jest liczba osób ubiegających się o pozwolenie na posiadanie własnego pistoletu?

Dariusz Gajzler: — W dużych miastach problem jest poważny. Nie dlatego, że jesteśmy przeciwni wydawaniu pozwoleń. W każdym przypadku należy sprawdzić, czy wnioskodawca spełnia wymagania określone przez ustawę. Tymczasem napływ podań jest ogromny, a nas wiąże miesięczny termin, w którym należy sprawę załatwić. Coraz trudniej nam tego terminu dotrzymać.

Zbigniew Gwizdka: — Dzielnicowi są przeładowani pracą, teraz przybyło im jej w związku z pędem obywateli do broni, a to nie przyspiesza procedury. Poza tym ludzie nie są zorientowani, w jaki sposób należy sprawę załatwić i przychodzą z podaniami do WUSW. A to nie leży w naszych kompetencjach. Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych wydaje pozwolenia na broń myśliwską, broń typu wojskowego, zarówno dla zakładów pracy, jak i osób posiadających koncesję na prowadzenie działalności gospodarczej w zakresie ochrony mienia.

— Jak zatem wygląda właściwy tryb postępowania?

D. Gajzler: — Obywatel, który dotąd nie posiadał żadnego pozwolenia na broń, powinien napisać podanie do szefa Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Powinien uzasadnić potrzebę posiadania broni (cały czas mówimy o broni gazowej). Podać pełne dane personalne. Kupić znaczki skarbowe wartości 200 zł.

— Odbywa się to według procedury administracyjnej.

D. Gajzler: — Tak. I dlatego obowiązują nas terminy określone w kodeksie postępowania administracyjnego.

— Co dzieje się po złożeniu podania?

D. Gajzler: — Po sprawdzeniu, czy wnioskodawca powinien otrzymać broń, wydaje się pozwolenie na jej zakup.

— I to wszystko?

D. Gajzler: — Cierpliwości. Z nabytą bronią musi udać się ponownie do DUSW, które wydało pozwolenie na zakup i tam ją zarejestrować. Wtedy otrzyma pozwolenie na posiadanie broni.

— Kolega przywiózł z Zachodu pistolet gazowy, który bardzo mi się podoba. Czy mogę od niego kupić?

D. Gajzler: — Tak, ale pod warunkiem, że odsprzedający ma pozwolenie na posiadanie, a kupujący pozwolenie na zakup.

— A gdybym sam chciał przywieźć sobie broń?

D. Gajzler: — Nie ma przeszkód. Warunkiem jest wcześniejsze uzyskanie pozwolenia na zakup we właściwym DUSW. Formuła nie różni się niczym od zasadniczej procedury w sprawach pozwoleń na broń gazową.

— Kupiłem broń za granicą, bez zezwolenia na przywóz. Co powinienem zrobić?

Z. Gwizdka: — Przede wszystkim zgłosić na granicy fakt wywozu broni. Każda jednostka broni musi przejść przez odprawę celną. Jeżeli przywożący ma pozwolenie na zakup, albo pozwolenie na przywóz, formalności stało się zadość i uważamy, że jest ona legalnie sprowadzona. Jeżeli tych dokumentów nie ma, broń zostanie przyjęta w depozyt i właściciel będzie ją mógł odebrać po uzyskaniu wymaganego zezwolenia. To następuje według procedury, o której mówiliśmy.

— A jeżeli chcę przywieźć więcej?

Foto: Grzegorz Gałasiński

— Jak zatem wygląda właściwy tryb postępowania?

D. Gajzler: — Obywatelowi można wydać tylko jedno pozwolenie na jedną sztukę broni. Nie można posiadać dwóch, czy trzech rewolwerów.

D. Gajzler: — Broń gazowa jest bronią indywidualną. Pozwolenie wydawane jest na określony numer i dla danej osoby. Nie można swojego pistoletu pożyczać żonie, albo teściowi.

— Bazarowi handlarze nie oferują pojedynczych jednostek, bo to nieopłacalne. Dysponują dużym wyborem. W dodatku sprzedają taniej niż w koncesjonowanych sklepach.

Z. Gwizdka: — Broń kupiona od handlarza jest bronią posiadaną nielegalnie. Nie ma możliwości jej zarejestrowania. Jej posiadanie jest sprzeczne z prawem.

D. Gajzler: — Osoba, od której kupujemy broń może posiadać zezwolenie na jej zakup, albo posiadanie. Wtedy możemy (o ile kupujący ma zezwolenie na kupno broni) ją nabyć i zarejestrować. Natomiast odrębną kwestią jest jakość tej broni.

— Czy to znaczy, że sklepy dają gwarancję wysokiej jakości?

Z. Gwizdka: — Broń ze sklepu jest sprawna technicznie. Ma gwarancję. Jest to broń nowa. Chodzi o to, żeby broń była bezpieczna i niezawodna.

— Czy może być niebezpieczna?

D. Gajzler: — Oczywiście. Różna jest jakość materiałów użytych do jej produkcji. Stąd wadliwość i zagrożenie. Zdarzają się rozdęcia, albo pęka zamek. Niejednokrotnie gaz cofa się na strzelającego.

Z. Gwizdka: — Są firmy, które produkują droższą, ale dobrą jakościowo broń. Wydanie 200 DM na dobry pistolet nie stanowi problemu w RFN. Polacy kupują najczęściej te najtańsze — nawet poniżej 60 DM. Stąd niskie ceny na bazarze, ale i niska jakość broni.

— Zła broń to zagrożenie dla posiadacza. A skutki użycia? Czy nic nie grozi potencjalnej ofierze?

D. Gajzler: — Skutki mogą być różne, tak jak różne są środki używane w nabojach gazowych. Czasem efekt użycia pistoletu może przekroczyć nasze oczekiwania i nie tylko zapobiec agresji, ale zagrozić zdrowiu napastnika. A przecież założeniem jest obezwładnić, a nie wyrządzać krzywdę.

— Podobno niektóre środki mogą mieć poważne następstwa do śmierci włącznie?

Z. Gwizdka: — Nie notowaliśmy aż tak drastycznych przypadków, ale nie można tego wykluczyć. Działanie gazu w dużej mierze zależy od kondycji organizmu. Trudno przewidzieć jak dany gaz zadziała w danym przypadku. Są to gazy przebadane i nie powinny powodować poważniejszych następstw — zwłaszcza śmierci. Wykluczyć jednak tego nie można.

D. Gajzler: — Stosuje się najrozmaitsze środki rażenia. Trudno określić, który jak zadziała. Broń gazowa wbrew pozorom nie jest niewinną zabawką.

— Czy nie należałoby szkolić osób ubiegających się o pozwolenie na broń gazową, tak jak ma to miejsce przy broni palnej?

Z. Gwizdka: — Byłoby to wskazane, a nawet więcej — powinniśmy tego wymagać. Broń ma co prawda instrukcję obsługi, ale najczęściej w języku obcym i nie każdy potrafi to odczytać. A wiedza o udzielaniu pierwszej pomocy jest u nas znikoma. W tym przypadku dochodzą jeszcze kwestie szczegółowe — chodzi przecież o działanie gazu.

— Ale nie prowadzicie szkolenia?

Z. Gwizdka: — Nie. Szkolenie nie leży w naszych kompetencjach. Nie znam też żadnej instytucji, która prowadziłaby takie kursy.

— Czy tak nagły napływ broni — zarówno legalny, jak i nielegalny, nie spowoduje zwiększonego zagrożenia dla obywateli? Już teraz słyszy się o strzelaninach na osiedlowych uliczkach. Młodzież ma nową zabawę?

Z. Gwizdka: — Każdy problem ma dwie strony. Plus, bo posiadanie broni niewątpliwie zwiększa bezpieczeństwo obywatela. Ale jednocześnie minus, bo broni można użyć niekoniecznie do odparcia zamachu. Tego nikomu tłumaczyć nie trzeba.

— Czy jest rada na to, żeby plusy przeważyły, a broń była używana jak najrzadziej — tylko w razie konieczności?

Z. Gwizdka: — Życzylibyśmy sobie tego. Każdy przedmiot współczesnej cywilizacji wymaga kultury użytkowania. Broń także podlega tym regułom. Musimy więc nauczyć się żyć z bronią i wykorzystywać ją zgodnie z nazwą i przeznaczeniem. Życie jednak często nie przystaje do teorii. Chciałbym, żeby tym razem stało się inaczej.

— Chyba wszyscy by sobie tego życzyli.

Rozmawiał:
MAREK JUŚKIEWICZ

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

M-3, Wierzbowa, 45 m sprzedam. Listy „21145" Biuro Ogłoszeń, Sienkiewicza 3/5.

LOKAL na krawiectwo — do wynajęcia. Andrzejów, Taborowa 119.
12271-g

NAUKA-PRACA

STUDENCKIE Biuro Korepetycji ZSP UŁ 32-59-65.
13431-g

USŁUGI

DEKORACJE balkonów, urządzanie wnętrz, leczenie roślin. 36-87-55.
21649-g

ZGUBY

PAWEŁ Wasiak — indeks 66517 PŁ.
12254-g

JOANNA Kaliszek zgubiła leg. studencką 6437/S AM.
11517-g

ANNA Kluszczyńska zgubiła leg. studencką 16178/L AM.
11806-g

ANNA Lorentowicz zgubiła leg. studencką 63784/S UŁ.
11771-g

KRZYSZTOF Wysocki zgubił leg. studencką 16644/L AM.
11767-g

ALEKSANDRA Walkus zgubiła indeks nr 65699 PŁ.
11798-g

ROMAN Hadrych — legit. studencką 62234.
12249-g

ADAM Druszcz — legit. studencką 5955 WAM.
12395-g

ARTUR Kulesza — leg. stud. 5790 WAM.
12360-g

ZBIGNIEW Sieńczewski — legit. studencką 58089 PŁ.
12396-g

BEATA Janasik zgubiła prawo wykonywania zawodu położnej 370.
12232-g

AFSHARY Kanishka zgubił legitymację studencką 16661 AM.
12429-g

AFSHARY Kanishka zgubił wizę pobytową.
12430-g

GRZEGORZ Krzymiński zgubił legitymację studencką UŁ.
21608-g

JACEK Chmielecki zgubił legitymację studencką 65365 PŁ.
21670-g

DARIUSZ Jańczyk, Lokajskiego 3, zgubił legitymację studencką PŁ.
21070-g

ALEKSANDRA Dumieńska zgubiła indeks i legitymację studencką wydaną przez AM.
21157-g

TOWARZYSKIE

DROGIEJ byłej żonie, Halinie W. składam najlepsze życzenia i wyrazy wdzięcznej pamięci z okazji jedenastej rocznicy ślubu i szóstej rocznicy rozwodu.
Andrzej K.

WRÓĆ Promyczku! Bardzo tęsknię, wybaczam wszystko.
Twój Kotek

NASZEJ najkochańszej Małgosi w ósme urodziny życzymy samych wspaniałych dni i wiele szczęścia.
Rodzice Zofia i Adam Żołnierscy oraz Babcia i obydwaj dziadkowie

PANIĄ Teresę, z którą spędziłem uroczą podróż na trasie Zakopane — Łódź w dniu 2 stycznia br. proszę o kontakt. Bardzo pilne, sprawa poważniejsza, niż mi się wówczas zdawało. Telefon nadal aktualny!
Tadeusz G.

NATRĘTA, który uporczywie budzi mnie nocą telefonicznie proszę o spokój! W przeciwnym wypadku będę szukała pomocy w milicji i prokuraturze.
Adres i telefon znane panu
PS. A może pan się ujawni i załatwimy sprawę polubownie? Niech pan będzie mężczyzną!

OPRACOWAŁEM sposób na wygraną w totolotka. Potrzebny wspólnik z gotówką. Sukces murowany!
Oferty pod J 23

CZEKAM na „Dempsey'a" w czwartek o 17.00 w „Złotej Kaczce".
Makepeace

ZADZWOŃ — powiedz mi „dobranoc!".
Marek 81-26-28

Agencja usługowo-produkcyjna „TOMI"

zaprasza do nowo otwartego warsztatu mechaniki pojazdowej w Łodzi, ul. Nowotki 351

Wysoka jakość usług
Konkurencyjne ceny
Krótkie terminy

POLECAMY RÓWNIEŻ

— reklamę foniczną i wizualną w SDH „Central"
— montaż anten satelitarnych wszystkich typów
— zajęcia taneczno-muzyczne dla dzieci w wieku 6—10 lat

Informacje: „Tomi" Łódź ul. Wspólna 6. Tel. 34-33-05

od środy do środy

PROGRAM TV

ŚRODA 28.03.1990 R.

PROGRAM I

7.45 Express gospodarczy
8.05 Poznaj swój kraj
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Historia Kajagymu" — koreański film fab.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Sami sobie — SOS
16.50 Dla dzieci: Trąba
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX wieku
17.55 Telew. Inform. Wydawn.
18.00 Program lokalny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Program publ.
19.30 Wiadomości
20.05 Studio sport
22.00 Sprawa dla reportera
22.40 Wiad.
22.55 Wokół wielkiej sceny
23.50 J. angielski

PROGRAM II

16.25 Korepetyce dla maturzystów
16.55 J. francuski
17.25 Program dnia
17.30 Sentymentalna strona serca
18.00 O znaczeniu rzeczy bez znaczenia
18.45 Magazyn „102"
19.05 „Marc i Sophie" — odc. 5 franc. ser. pt. „Fiskus"
19.30 Zwierzęta wokół nas
20.00 Czarno na białym
20.40 Przegląd muzyczny
21.00 Ze wszystkich stron: „Więźniowie sumienia"
21.30 Panorama dnia
21.45 Program publ.
22.00 „W labiryncie" — odc. ser. TVP
22.30 997 — kronika kryminalna
23.30 Komentarz dnia
23.35 Express gospodarczy

CZWARTEK 29.03.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Hannay" — odc. 1 ang. ser. sensac
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii „Ordy"
17.15 Teleexpress
17.30 Biznes
18.00 Program lokalny
18.45 Magazyn katolicki
19.00 Dobranoc
19.10 Interpelacje (1)
19.30 Wiadomości
20.05 „Hannay" — odc. 1 ang. ser. sensac.

Richard Hannay — bohater sześcioodcinkowej serii sensacyjno-szpiegowskiej — wychowany w koloniach w Afryce Południowej wraca do Anglii i tu zostaje wplątany w różne afery i intrygi. Każdy z odcinków trzyma w napięciu, a doskonałe aktorstwo dopełnia całości. Seria przypomina w nastroju klasyczny film Alfreda Hitchcocka „39 kroków".

21.00 Interpelacje (2)
21.40 Sport
21.50 Pegaz
22.35 Wiad.
22.55 J. angielski

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów
16.55 J. rosyjski
17.25 Program dnia
17.30 „W labiryncie" — odc. ser. TVP
18.00 „Katastrofy"
18.30 Program na życzenie
19.30 Zielone kino: „Kwiatostany"
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino studyjne Dwójki: „Szczęśliwego nowego '49 roku" — jug. film fab.

Przejmujący dramat społeczno-polityczny opowiadający historię miłosną, jaka rozegrała się w 1948 roku, w czasie kryzysu politycznego między Jugosławią a ZSRR. Oś dramatu stanowi konflikt między braćmi. Jeden jest komunistą, agentem NKWD drugiego w ogóle nie interesuje polityka, a przyczyna konfliktu jest kobieta, w której są zakochani.

23.45 Komentarz dnia

PIĄTEK 30.03.1990 R.

PROGRAM I

7.45 Express gospodarczy
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Nowinki zza płotu" — odc. 2 ser. NRD pt. Wiosenne uczucia"
15.50 Program dnia — Telegazeta
15.55 Intersygnał
16.25 Dla młodych widzów: Rambit
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
18.00 Program lokalny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.30 Teraz — tyg. gospod.
19.30 Wiadomości
20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Barkleyowie z Broadwayu" — musical

Śledząc losy pary tanecznej z Broadwayu poznajemy przy okazji kulisy teatrzyków rewiowych, słuchając szlagierowych piosenek z lat 40. Wielką atrakcją filmu jest słynna para Fred Astaire — Ginger Rogers i pianista jazzowy Oscar Levant.

22.00 Sport
22.10 W kinie i na kasecie
22.30 Wiad. wiecz.
22.50 Spór o jutro — Otwarte studio

PROGRAM II

16.55 Korepetyce dla maturzystów
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa Lista Przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 „Dobra nadzieja" (1) — serial prod. fr.
19.30 Dookoła świata: „W stanie Minas Gerais"
20.00 Piątek — mag. z Krakowa
21.30 Panorama dnia
21.45 Program publ.
22.00 Non Stop Kolor: „Diner" — film prod. ameryk.
23.50 Komentarz dnia
23.55 Express gospodarczy

SOBOTA 31.03.1990 R.

PROGRAM I

7.45 Program dnia
7.50 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
8.40 Ziarno — program Red. Katolickiej dla dzieci i rodziców
9.00 DROPS — mag. dla dzieci i młodzieży oraz film z serii „Heidi"
10.30 Wiad.
10.40 Azjatycka mozaika: „Ujgurzy na Jedwabnym Szlaku" — odc. 9 franc. ser.
11.05 Zdrowie
11.35 Z Polski rodem
12.05 Koncert życzeń
12.35 „Kopernik" — film dok. TVP
13.05 Telew. Teatr Prozy: F. Dostojewski — „Biedni ludzie"
14.45 Być reporterem
15.10 Film o miłości: „Opowieść Harleya"
16.40 Rewizja nadzwyczajna
17.15 Teleexpress
17.30 Butik
18.00 Program lokalny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerką wśród zwierząt
19.30 Wiadomości
20.05 „Huragan" ameryk. film fab.

Jest to remake filmu katastroficznego Johna Forda z 1937 r. Obecna wersja powstała w 1979 r., a jej twórcą — Szwed Jan Troell, który zastąpił Romana Polańskiego; spory z producentem amerykańskim spowodowały zmianę osoby reżysera: Film zrealizowano przy użyciu najnowszej techniki, a jego koszt wyniósł 22 mln dolarów.

21.45 Telew. Przegląd Sportowy
22.05 Tydzień w polityce
22.15 Napisz, proszę... czyli piosenkarskie urodziny H. Frąckowiak
23.15 Telegazeta
23.20 „Na prośbę matki" — cz. 1 ameryk filmu sensac.

Scenariusz tego dwuczęściowego filmu telewizyjnego, zrealizowanego przez Michaela Tuchnera, został oparty na bestsellerowej powieści Jonathana Colemana. Autor powieści opisał fakty autentyczne, które miały miejsce w Stanach. Powstało interesujące studium chorej psychicznie matki, która potrafi wywrzeć swój przemożny wpływ na 17-letnim synu...

PROGRAM II

14.00 Bariery
14.25 Sprzątanie w kosmosie
14.30 Przeszłość — przyszłość: „Pomnik własnych czynów"
15.05 Spektrum
15.20 „Lwy afrykańskiej nocy" — ameryk. film przyrodn.
15.55 Batony Cholybar
16.00 Meandry architektury: Słynne wieże
16.25 Studio sport
16.55 Program dnia
17.00 Przed ciszą i dźwiękiem
17.30 Fason
18.30 Wielka gra
19.30 Alfa i omega — AIDS po polsku
20.00 Przed Konkursem Chopinowskim — Losy konkursowych idoli
21.00 Dwa plus 2 — drugi obieg w drugim programie
21.30 Panorama dnia
21.45 „Znowu w Brideshead" — odc. 13 (ostatni) ang. ser.
22.35 Studio Foksal 89
23.35 Komentarz dnia

NIEDZIELA 1.04.1990 R.

PROGRAM I

7.00 Witamy o siódmej
7.30 Notowania
7.55 Po gospodarsku
8.10 Tydzień
8.55 Program dnia
9.00 Teleranek oraz film z serii „Emil z Lönnebergu"
10.30 Wiad.
10.35 „Tajemnice rosyjskiej przyrody" — odc. 6 ser.
11.00 Program publ.
11.40 Morze — mag.
12.00 Poranek symfoniczny WOSPRiTV
13.00 Dla dzieci: Tęczowy Music — Box
14.00 Koncert życzeń
14.45 Sportowa niedziela
15.15 Antena
15.25 „Panna dziedziczka" — odc. brazyl. ser.
17.15 Teleexpress
17.30 Telew. Teatr Rozmaitości: G. Bardin, W. Liwanow — „Don Juan".
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Północ — Południe" — odc. 7 ameryk. ser.
21.40 7 dni — świat
22.10 Sportowa niedziela
22.10 Myśl z okienka
23.20 Aukcja dzieł sztuki współczesnej
24.00 Telegazeta

PROGRAM II

8.20 Przegląd tygodnia
8.55 „Północ — Południe" — odc. 7 ameryk. ser.
10.30 Magazyn lotniczy
11.00 Koncert życzeń
11.25 Jutro poniedziałek.
11.55 Powitanie
12.00 PKF
12.10 „Kane i Abel" — odc. 6 ameryk. ser.
13.00 100 pytań do...
13.40 Maciej Niesiołowski — Z batutą i z humorem
13.55 „Polacy" — film dok.
14.25 Kino familijne: „Autostrada do nieba" — odc. 5 ameryk ser.
15.15 Podróże w czasie i przestrzeni: „Czasy katedr" — odc. 6 franc. ser.
16.10 Biografie: „Andy Warhol"
17.30 Bliżej świata
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 Galeria Dwójki: Izabella Gustowska
20.00 Studio sport
21.00 Łazienki Królewskie w Warszawie: Teatry łazienkowskie
21.30 Panorama dnia
21.45 „Kane i Abel" — odc. 6 ameryk. ser.
22.35 Komentarz dnia
22.40 Akademia wiersza

PONIEDZIAŁEK, 2.04.1990 R.

PROGRAM I

16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 LUZ — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
18.00 Program lokalny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 W Sejmie i w Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr TV: Nikołaj Erdman — „Mandat". reż. Olga Lipińska

„Mandat", podobnie jak „Samobójca", jest tragikomedią. Akcja rozgrywa się w siedem lat po rewolucji. Autor drwi z nowej epoki, w której dominuje frazeologia i strach, a bohaterowie tęsknią za starymi czasami mając jednak świadomość, że nawet w tej nieakceptowanej, nowej rzeczywistości trzeba żyć.

21.50 Kontrapunkt
22.30 Szkoła mistrzów — Juliusz Machulski
22.40 Wiad. wiecz.
23.00 J. francuski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Zespół adwokacji — „Dyskrecja"
18.40 „Miecz Islamu" — odc. 1 ang. filmu dok.
19.30 Roman Lasocki przedstawia: Katarzyna Brzoza (skrzypce)
20.00 Auto — Moto Fan Klub
20.30 Osądźmy sami
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 „Heimat"" — odc. 11 (ostatni) ser. RFN pt. „Święto żywych i umarłych"
23.30 Komentarz dnia

WTOREK 3.04.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
8.50 Domowe przedszkole
9.25 „Dolina nadziei" — odc. 4 franc. ser.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik — Tak
16.50 Kino Tik — Taka: „Gumisie" — odc. ameryk. ser. anim.
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
18.00 Program lokalny
18.45 Klinika zdrowego człowieka
19.00 Dobranoc
19.10 Plus — minus
19.30 Wiadomości
20.05 Spotkanie z min. J. Kuroniem
20.15 „Dolina nadziei" — odc. 4 franc. ser pt. „Bogaci i biedni"
21.10 Listy o gospodarce
21.45 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „S"
22.25 Telew. Inform. Wydawn
22.45 Wiad. wiecz.
23.05 J. rosyjski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Nowela filmowa
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 Program publ.
19.30 Studio sport
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego: „Podróż do Mediolanu" — cz. 2
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
21.30 Panorama dnia
21.45 „Mistrz i Małgorzata" — cz. 3 ser. TVP pt. „Małgorzata"
23.05 Komentarz dnia

lewym okiem

Polski rok

W naszym kraju wystarczy wymienić nazwę dowolnego miesiąca, a już budzi się ciąg skojarzeń i reminiscencji historycznych, natury przeważnie martyrologicznej.

Styczeń — to powstanie styczniowe.

Luty — dziwne, ale ten miesiąc jest jeszcze „wolny", jeszcze jest do zapisania lutowa kartka w kalendarzu i może uda się, że polski luty będzie synonimem jakiegoś wydarzenia radosnego.

Marzec — wypadki marcowe z 1968 roku.

Kwiecień — miesiąc jeszcze jako tako wolny, drugie miejsce dla polskiej nadziei.

Maj — witaj majowa jutrzenko, Konstytucja 3 Maja, zdobycie Berlina, kapitulacja Trzeciej Rzeszy, koniec drugiej wojny światowej.

Czerwiec — wypadki czerwcowe w Poznaniu.

Lipiec — Manifest Lipcowy. Rocznica niechętnie teraz wspominana, ale przecież zaważyła na historii Polski i ważyć będzie dalej, czy ktoś tego chce czy nie.

Sierpień — Powstanie Warszawskie, strajki w stoczniach.

Wrzesień — wiadomo, wojna obronna 1939 roku, klęska Polski zaatakowanej jednocześnie z obu stron.

Październik — Polski Październik... Wielki wybuch nadziei, której znaczną część szybko „udało się" zamienić w rozczarowanie i jeszcze jedną frustrację.

Listopad — dla Polaków niebezpieczna pora. Powstanie Listopadowe.

Grudzień — wypadki grudniowe. Kilkunastu poległych na Wybrzeżu.

Rok Polski... — Jeszcze nie ma polskiego lutego i polskiego kwietnia. Puśćmy zatem wodze marzeniom. Oto z dnia na dzień przestają rosnąć ceny, a zaczynają rosnąć płace i to tak szybko, jak przedtem pięły się w górę ceny. Zaczynają z powrotem obracać się koła i kółka w większości unieruchomionych zakładów. Wracają na trasy unieruchomione autobusy komunikacji miedzymiastowej, w miastach znów zaczynają palić się wieczorami latarnie, otwierają się kina i teatry, świecą jasno wystawy sklepowe, zapełniają się obory, chlewnie i wylęgarnie drobiu. Wzrost płac dorównuje cenom, wszystko staje się rozsądnie porównywalne, tyle, że w tak wielkich liczbach, iż zaczyna to być uciążliwe. Cóż wtedy czyni znakomity polski rząd? Wprowadza drugą walutę operującą nowymi jednostkami tam, gdzie dotychczas obracało się setkami tysięcy. Takie podwójne waluty istniały przez parę lat we Francji i Włoszech, kiedy likwidowano tamtejsze inflacje. Bezboleśnie przechodzimy do rozsądnych stosunków walutowych: stary pieniądz zostaje wreszcie całkowicie wyparty, ostaje się jeszcze tylko w albumach numizmatyków.

Najlepiej, żeby to wszystko zdarzyło się w kwietniu, bo do kwietnia jeszcze jakoś wytrzymamy. Mielibyśmy wspaniały polski kwiecień, polski cud gospodarczy. Ale nie będę się upierał, niech to będzie polski luty, do lutego trudniej wytrzymać, ale niechże zostanie nam przynajmniej ta nadzieja.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Życiorys

Pewien młody mężczyzna (lat trzydzieści i kilka — dużo to czy mało, młody jest czy już dojrzały? ot, problem) zastanawiał się nad swoim życiorysem: *„Za dwadzieścia, trzydzieści lat (jeśli dożyję) nastolatki będą patrzyły na mnie i moich rówieśników jak na ciekawe zjawisko"*, myślał. *„Urodził się taki w epoce szalejącego komunizmu, skończył w niej przedszkole, szkołę podstawową, ogólniak i studia, to i umysł jego jest przynajmniej w 50 procentach zatruty, a w ogóle jak on przeżył to wszystko? A przecież do tego czasu na pewno powstaną już setki nowych mitów na temat owej epoki (my Polacy lubimy mity), trzeba się więc już teraz przygotować i wymyślić jakiś nieskazitelny i czysty życiorys, taki, co to za serce by chwycił i współczucie wywołał należyte. Zacznę tak:"*, młody (czy dojrzały?) człowiek wziął do ręki długopis i na czystej kartce począł pisać:

Urodziłem się pod koniec lat pięćdziesiątych, po kilku latach spędzonych w zupełnej beztrosce poszedłem do przedszkola i gdyby nie choroby, na które dość często zapadałem, okres ten wspominałbym w sumie sympatycznie.

„Zaraz, zaraz... co ja tu wypisuję?", pomyślał młody (dojrzały, a może stary?) człowiek i skreślił ostatnie zdanie. „Trzeba zacząć jeszcze raz":

Po wczesnym dzieciństwie, jak z piekielnej czeluści wyłoniło się przedszkole. „A może to zbyt patetycznie? Nie, dobrze, lećmy tak dalej": *Pamiętam dokładnie pewnego pana, który przychodził do naszej pani i wypytywał ją o różne dzieci.*

Następnie uczęszczałem do szkoły podstawowej, z której w siódmej klasie wyrzucono mnie... — zastanowił się. — *za to, że zbezcześciłem portret towarzysza pierwszego.* „Tak będzie dobrze i robi wrażenie", pomyślał.

W szkole średniej próbowali, jak tylko mogli, wsączyć nam do głowy różnego rodzaju bzdury, które zaraz po zajęciach starałem się skrzętnie wyrzucić, co mi się skutecznie udawało.

Na studiach było jeszcze gorzej, ale jakoś dawałem sobie radę, mimo tego, że oczywiście z wszystkim co mnie otaczało nie zgadzałem się absolutnie. W końcu, po powstaniu Solidarności, zaangażowałem się w nowy ruch studencki. Niestety, jak wiadomo z historii, nie trwało to zbyt długo, ponieważ zostało brutalnie przerwane przez wybuch stanu wojennego. Wszedłem więc do konspiracji i tak szczęśliwie doczekałem roku 1989 i odzyskania wolności. (Opisy mojej działalności konspiracyjnej przedstawię w osobnym piśmie).

O życiu prywatnym w poprzednich latach właściwie nie ma co wspominać, gdyż prawie wcale go nie było. Inwigilacja bowiem była tak szeroko rozwinięta, że człowiek bał się w niektórych miejscach powiedzieć własne nazwisko. Życie towarzyskie praktycznie więc istnieć nie mogło i nie istniało. Nie pamiętam na przykład, żebym kiedykolwiek był na jakimś balu czy zabawie, a i nigdy się także nie uśmiechałem, nie było przecież z czego... „No nie, w to już chyba absolutnie nikt nie uwierzy", pomyślał, „trzeba podejść do tego jakoś inaczej":

Owszem, czasami człowiek się zabawił i wypił nawet odrobinę więcej, ale zawsze przy tym pamiętał, że ojczyzna jest w niebezpieczeństwie i dlatego na drugi dzień miał straszne wyrzuty sumienia i ból głowy. „Tak chyba będzie lepiej, a może w ogóle o tym nie pisać, jeszcze ktoś — nie daj Bóg — pomyśli, że od czasu do czasu człowiek starał się żyć zupełnie normalnie i zapominał o polityce? Trzeba zakończyć zdaniem": *Życie towarzyskie praktycznie więc istnieć nie mogło i nie istniało.* „O, tak będzie dobrze, życiorys przecież musi być krótki i konkretny. I może na koniec, tak na wszelki wypadek, dopisać":

Biorąc pod uwagę wszelkie moje zasługi proszę o przyjęcie mnie w poczet organizacji ludzi zasłużonych w walce z komunizmem. „To nigdy nie zawadzi i będzie już na przyszłość", młody (dojrzały?) człowiek odłożył długopis i zadowolony popatrzył w okno.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

nagłe zastępstwo

Menu polityczne

W Odgłosach z 18 marca 1990 r. Włodzimierz Krzemiński zastanawia się (na str. 15) nad różnicą cen między ogórkami i bananami. Wyraża też obawę (!), że polski pijak zacznie zakąszać bananem. Pan Włodzimierz ma spirytystyczny kontakt z Sergiuszem Piaseckim, który na następnej stronie opisuje kłopoty krasnoarmiejców, którzy zakąsili *„najlepszym burżujskim jedzeniem"* — bananami właśnie...

To wszystko dało mi asumpt do rozważań nad polskim menu politycznym — pierwotnie zamierzałem zatytułować ten tekst „Kuchnia polska" — alem się zreflektował. A chodzi mi mianowicie o to, że w burzliwie pluralizującym się życiu politycznym brak mi takich właśnie spraw: brak mi potraw, które są „burżujskie" bądź „proletariackie", słuszne lub niesłuszne ideowo. Krótko mówiąc — brak na rynku książek kucharskich o obliczu politycznym. Są mniej lub bardziej wyraziste programy, nie ma odpowiednich jadłospisów!

Jak to sobie wyobrażam? Najprościej. Każda partia, każdy ruch polityczny... i społeczny winien się jakoś zdeklarować i coś z dań i napojów polecać a coś odradzać. Pierwszy z brzegu przykład — wymienione bananany. Wcale to nie jest burżujskie jedzenie tylko codzienna potrawa uciskanych ludów Afryki. Zatem — polecane przez internacjonalistyczny odłam socjaldemokracji, a nie do strawienia przez „skinów". Biegły Czytelnik już wie — narodowiec nie weźmie do ust nic koszernego a już macy za żadne skarby, bo jak pamiętają starsi Czytelnicy podstawowym produktem do tego wypieku jest krew nieletnich i niewinnych dzieci chrześcijańskich. Jak na mój gust klasyczny narodowiec winien gardzić także typowo germańskim piwem pod kiełbasę z kapustą. Może się za to zajadać blinami i ruskimi pierogami przenosząc wszakże nad nie zrazy z kaszą gryczaną i wódeczkę wyborową.

Zupełnie odmiennie zwolennik KPN. Ten ruskich pierogów nie tknie! No, chyba żeby były małoruskie — z krajami ościennymi mamy mieć pańsko-jagiellońską unię. Ciężkie życie mogą mieć członkowie klubów konserwatystów od samego rana musi zajadać jakieś burżujskie homary i langusty a popijać toto szampanem. Broń Boże bułgarskim! Liczą się tylko marki od „Mercier" w górę... Jakby mu przyszła ochota na kaszankę czy żeberka z kapustą to tylko w domu, w konspiracji przed kolegami partyjnymi.

Stosunkowo szeroki jadłospis przewidzieć można dla działaczy związkowych obydwojga orientacji — jedzą wszystko, jako przedstawiciele wszystkich grup społeczności. Natomiast świętują i poszczą w terminach zgoła przeciwstawnych. W dniu pierwszego maja — u OPZZ na obiad schabowy, u wyznawcy „S" — ścisły post. A znów 11 listopada odwrotnie.

Demokraci z SD i ludowcy wszelkiej maści zachowują pewien umiar — unikają potraw i trunków wyszukanych. Kuchnia konserwatystów kłóci się zarówno z ludową tradycją jak i z przekonaniami szczerych demokratów. Demokraci chrześcijańscy — ci mają łatwo. Dla nich kuchnia znana jest od stuleci.

Jadłospis „zielonych" — sprawa oczywista, korzonki zbierane z dala od elektrowni, hut, szos itp.

I sprawa najtrudniejsza — co mają jeść kryptokomuniści, neokomuniści i tacy różni? Gdyby odpowiedzi na to pytanie miał udzielić mój ulubiony poseł Jan Ł., to wiem! Zupkę według receptury z lat pięćdziesiątych, obowiązującej na Rakowieckiej. Tylko czy tej receptury chytrzy ubecy nie spalili?

ANDRZEJ KAROL

Sekrety prominentów (17)

ALEKSANDER MINKOWSKI

Lucjan Marat mordował się przy konsoli z sandałowego drzewa, naciskając klawisze kolejno i po kilka naraz w różnych kombinacjach, włączając wzmacniacze i selektory, zmieniając zakresy. Spróbował użyć rezerwowej radiostacji, ale i to nie przyniosło rezultatu. W głośniku i słuchawkach miał tylko gwizdy.

Wewnętrznym sygnałem wezwał technika. Po chwili w jego gabinecie zjawił się drobny człowieczek o lisiej żółtawej twarzyczce wątrobowca i sennych oczkach. Zameldował się:

— Inżynier Jan Szir.

— Gdzie Kamiński? — zapytał Marat.

— Nie znam nikogo o tym nazwisku — odpowiedziała lisia twarzyczka. — Jestem radiomechanikiem.

— Od dawna?

— Co od dawna?

— Nie udawajcie głupiego! — zirytował się Lucjan Marat. — Jesteście tu krótko, inaczej bym was znał. Proszę mi uruchomić łączność.

— Nie jestem w stanie uruchomić łączności — zaraportował wątrobowiec, patrząc w okno sennymi oczkami. — Nocna wichura pozrywała przewody.

— A radiostacja?

— Występują zakłócenia. Na skutek wyładowań atmosferycznych i aktywności słońca doszło do interferencji pola magnetycznego...

— Jestem profesorem — przerwał mu Marat. — Co prawda nie fizyki, ale nie gadajcie głupot.

— Przepraszam — powiedział Szir. — Coś przecież muszę mówić. Nie wiemy jeszcze, dlaczego zanikła łączność radiowa, prowadzimy intensywne badania. To nie powinno trwać długo.

— A linia napowietrzna? Kabel?

— Wysłaliśmy ekipy remontowe.

Marat ruchem głowy odprawił radiomechanika. Stanął przy oknie i zamyślił się spoglądając na pióropusze palm pomalowane na złoto słonecznym blaskiem. Coś mu się nie zgadzało. Bywają w życiu różnorakie zbiegi okoliczności i gry przypadków, lecz nie bywało dotąd aż takich... chyba że komuś na tym zależało.

Marat postanowił sprawdzić, jak jest. Wyszedł z gabinetu, przeciął marmurowy hall z biustami królów w niszach i stanął pod drzwiami apartamentu Ikara. Chwilę nasłuchiwał. Zza drzwi nie dochodził żaden dźwięk, lecz temu nie należało się dziwić: były masywne, obite korkiem, z litego dębowego drzewa. Lucjan Marat zapukał i nie czekając nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Zapukał raz jeszcze, tym razem mocniej, po minucie pukanie powtórzył. W końcu Ikar otworzył mu. Był w szlafroku.

— Niedawno się obudziłem — powiedział. — Burza nie dawała mi spać.

— Można wejść do ciebie?

— Wolałbym...

Marat nie dał Ikarowi dokończyć. Wszedł. Mijając sypialnię, do której drzwi były uchylone, zobaczył siedzące po turecku na kudłatym dywanie Olę i Elę, bliźniaczki, naguteńkie, puchniutkie, jak para amorków. Wkroczył energicznie do gabinetu. Ikar pojawił się za nim.

— Mogę od ciebie zatelefonować do domu? — spytał Marat.

— Zrób to od siebie.

— Dowcipny jesteś

Zdziwienie na twarzy Ikara chyba było naturalne. Mimo to Marat poszedł za biurko, siadł przy konsoli na obrotowym foteliku i włączył aparaturę telefoniczną. Nie było sygnału. Przeszedł szybko na wysoką częstotliwość, potem uruchomił radionadajnik.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał Ikar. — Proszę mi natychmiast wyjaśnić.

Marat wyłączył wszystkie urządzenia. Obrócił się na foteliku o czterdzieści pięć stopni i spojrzał Ikarowi w oczy:

— Myślałem, że robisz mi kawał. To nam jednak robią.

Rzymska twarz Ikara skamieniała na moment. Potem energicznym krokiem zbliżył się do konsoli, odsunął swego gościa i, jak pianista, przebiegł palcami po klawiszach. Zamrugały kolorowe światełka, ale z głośników nie wydobył się żaden dźwięk. Tymczasem Marat podszedł do radioodbiornika. Przekręcił gałkę, poleciał po skali. Nie uzyskali nic prócz buczenia.

— Koniec świata — powiedział. — Pełna cisza w eterze.

— Gdyby się coś stało, wiedzielibyśmy.

— Coś się stało i nie wiemy nic.

— Komuś tu zależy, żeby na pewien czas wyłączyć nas dwóch z obiegu — powiedział po pauzie Ikar. — Zaczekaj chwilę.

Opuścił gabinet. Krótkim ruchem głowy odprawił bliźniaczki; gdy już były w drzwiach, zagrodził drogę:

— Kto wam kazał tej nocy do mnie przyjść?

— Wy sami powiedzieliście...

— Nic nie mówiłem! Kto wydał rozkaz?

— Rozkazu nie było... — wymamrotała Ela popatrując na siostrę, a może Ola, Ikar ich nie rozróżniał, nikt zresztą z wyjątkiem komendanta. — Tylko rozprowadzający napomknął...

— O czym? — ponaglił Ikar.

— Nowy rozprowadzający — włączyła się siostra. — Od wczoraj tu jest. Napomknął, że mamy się troszczyć o kierownictwo.

— Żeby się odprężyło po szoku z podpalaczką...

— Dlaczego łączność nie działa?

— To nie nasz pion? — odpowiedziały równocześnie.

Gajdacz dogonił Gorbana u końca palmowej alei.

— Chciałbym porozmawiać z szefem — powiedział, gdy się zrównali. — Sam na sam. Załatw mi to.

Sekretarz skręcił z alei na ścieżkę, zbliżył się do klombu i ostrym nożykiem ściął kilka żonkili.

— Lubi żonkile — powiedział. — Ale ważna jest kolorystyka. Na różowy z błękitnym nie mógłby patrzeć. Muszą być pastelowe przejścia z półtonami.

— Chciałbym zaraz.

— Dziś nie. Jest bardzo zajęty. Z Waszyngtonu nadesłano ważny dokument.

— Może na chwilkę przed obiadem? — poprosił Gajdacz. — Zajmę najwyżej trzy minuty.

— Szef nie zejdzie dzisiaj na obiad — poinformował Gorban, ścinając irysy o delikatnie różniących się odcieniach złocistości. — Ani na kolację.

Gajdacz zatarasował drogę Gorbanowi, z ukosa zajrzał mu w oczy:

— Coś się dzieje! Nie mamy łączności!

— Zależy kto — odparł Gorban tonem chłodno uprzejmym.

— U mnie nie działa nawet radiostacja. W telewizorze nie ma obrazu kontrolnego. Radio milczy.

— Współczuję.

— Chcesz powiedzieć, że Naczelny ma łączność z Siedzibą? — zapytał Wincenty Gajdacz.

C.D.N.

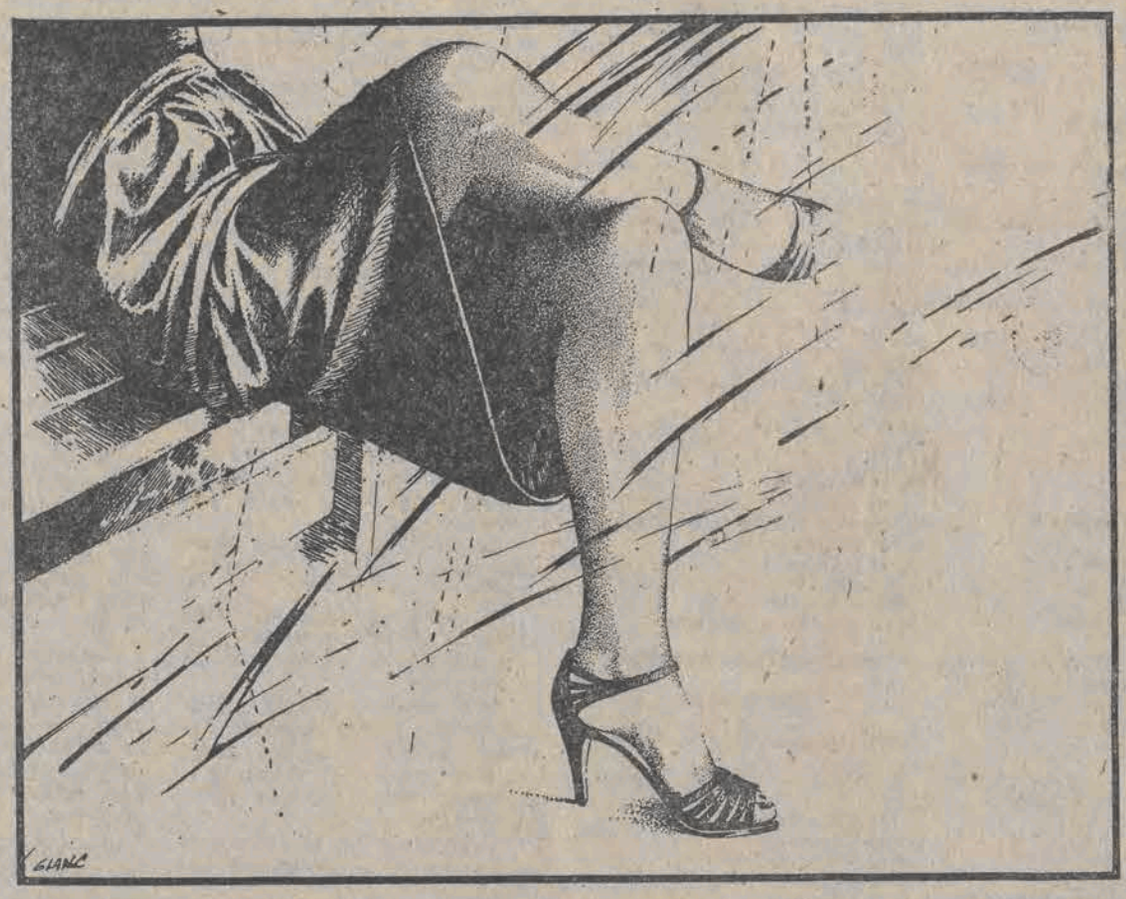

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Zapiski oficera Armii Czerwonej

Sergiusz Piasecki urodził się w 1899 lub 1901 r., zmarł w 1964 roku. Jest autorem głośnej powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy", którą napisał w 1935 r. podczas odsiadywania wyroku za działalność przemytniczą i rozbójniczą na pograniczu polsko-radzieckim. W okresie II wojny światowej trafił do Anglii, gdzie napisał kolejne książki, m.in. „Żywot człowieka rozbrojonego" i „W imieniu organizacji". Kontynuujemy druk fragmentów jego „Zapisków oficera Armii Czerwonej". Wydawnictwo „Książka Dla Wszystkich", Gryf Publications LTD, Londyn 1957.

SERGIUSZ PIASECKI

5 maja 1940 roku. Lida.

Wczoraj miałem ja służbę przez całą dobę. A dzisiaj wyspałem się należycie i zapisuję to wszystko, aby nie zapomnieć. Postanowiłem prowadzić te „Zapiski" według planu. A plan mój jest taki: zbierze się trochę interesujących rzeczy, to je zanotuję i już. Może to stanowić bardzo ważny materiał historyczny, a tak samo filozoficzny. Mam nawet zamiar przerobić to w przyszłości na bardzo wielką powieść. Taką, na przykład, jak „Wojna i pokój" Tołstoja. Czytałem ja ją trochę. Ale bardzo nudna i marnie napisana. W ogóle, uważam, że nic nie jest warta. Bo i po francusku dużo w niej gadają i są tam różni kapitalistyczni pasożyty. Co w tym może być dla nas ciekawego? Sama ciemnota, głupota i zabobony. Nawet modlą się tam i o Bogu często wspominają. Poza tym różnych głupich hrabiów i książąt wysławia. Ja zaś napiszę o naszej niezwyciężonej Armii Czerwonej, o jej zwycięstwach, o moich bohaterskich czynach i o naszym wielkim wodzu STALINIE. To dopiero będzie wspaniała powieść!

Służbę objąłem ja wczoraj w dzień i rozstawiłem warty, aby ochronić koszary i socjalistyczny majątek przed zamachami kapitalistycznych agentów. Wartownia jest tuż przy koszarach i ja, jako dowódca warty, miałem przy niej osobny pokoik. Czas leciał. W nocy ja wiele razy warty sprawdzałem i czujnie stałem na straży armii Dopiero o godzinie trzeciej nad ranem posłyszałem ja wystrzał Potem drugi. Wziąłem ja dwóch bojców z wartowni i pobiegłem dowiedzieć się: co się stało...? Strzelał posterunek numer czwarty, przy składzie prowiantowym w pobliżu koszar. Przybiegliśmy tam, a wartownik wali z karabina do góry. My też po parę razy machnęli na strach wrogom. Potem pytam ja wartownika;

— O co chodzi?

— Sabotażysta jakiś, albo złodziej, wlazł na lipę i innym daje stamtąd sygnały!

Rzeczywiście obok magazynu prowiantowego duża lipa stała i nawet jakby poruszenie jakieś w gałęziach u góry drzewa było słychać.

— Zejdź, reakcjonisto! — krzyknąłem ja groźnie. — Zejdź natychmiast, bo zestrzelimy!

Nikt z lipy nie odpowiedział. Więc ja latarką świecić zacząłem. Ale wysoko. Nic dostrzec nie można, bo światło w gałęziach gubiło się. Ja znów krzyknąłem:

— Zejdź, faszysto, po dobremu, bo koniec ci będzie na tej lipie!

A tam cicho. Wtedy kazałem ja dać ognia po lipie. Więc bojcy zaczęli po niej z karabinów pruć a ja z pistoletu Tylko gałęzie i liście w dół leciały, ale nikt nie spadł.

Potem wydałem ja rozkaz bojcom leźć na lipę i tamtego drania za nogi w dół ściągnąć. Bali się bardzo, ale poleźli. Rozkaz musieli wykonać. Łazili oni po tamtej lipie chyba z godzinę czasu. Krzyczeli, gałęzie trzęśli. I nic...

Tymczasem rozwidniło się. Całą lipę widać, ale nikogo na niej nie ma. Powiadam ja do wartownika:

— Coś tobie w głowie się pokręciło! Widzisz, że nikogo na lipie nie ma.

— Ale był — powiada. — Był i innym sygnały dawał.

— Jakie sygnały?

— Świstał po cichu. Ale ja wyraźnie słyszałem... O, proszę posłuchać... Znów świszcze!

Stoję ja przy nim i uważam. Z początku nic nie słyszałem. A potem rzeczywiście świsty rozległy się. Patrzę ja na wartownika i dostrzegłem, że to u niego w nosie świszcze, a nie na lipie. Rzeczywiście: tak ono i było. Zrugałem ja wartownika odpowiednio i poszedłem. Napisałem szczegółowy raport o powodzie urządzenia fałszywego alarmu i w południe służbę zdałem.

Pierwszy maja obchodziliśmy bardzo uroczyście. Całe miasto było udekorowane czerwonymi flagami i wszędzie wisiały portrety naszego wielkiego WODZA Stalina. Były też portrety Lenina, a nawet i Marksa, ale, rzecz jasna, mniejsze i mniej ich było. Bo cóż oni znaczą wobec NIEGO! Owszem, oni też są wielcy i zasłużeni wobec proletariatu i ludzkości. Ale nie ma takiej wielkości na świecie, która nawet w przybliżeniu stanowiłaby coś w stosunku do NIEGO!

W dzień była defilada wojskowa i pochody związków robotniczych, urzędów oraz szkół. I zauważyłem, że ludność miejscowa coraz więcej kocha naszą wielką Rosję i Stalina. Tyle nieśli różnych sztandarów i transparentów z proletariackimi hasłami. Na przykład: CHWAŁA WIELKIEMU STALINOWI! — IMIĘ STALIN — GWARANCJĄ POKOJU, WOLNOŚCI I DOBROBYTU! Tak, i burżuazja zaczyna po trochu uświadamiać sobie potrzebę wprowadzenia socjalizmu stalinowskiego. Inaczej nie może być!

Wieczorem poszedłem ja na mityng do klubu kolejowego. Tam można było wejść tylko członkom klubu, kolejarzom, oficerom i niektórym zaproszonym gościom. Po drodze do mnie Lipa zbliżył się. Zobaczyłem ja: pijany zupełnie. Ale trzymał się na nogach dobrze. Nie każdy by dostrzegł nawet, że jest pijany.

— Winszuję z naszym proletariackim świętem! — krzyczy do mnie.

A ja mu powiadam:

— Długo musieliście czekać, żeby wam pozwolono to święto obchodzić.

— Dlaczego? — spytał.

— No jakże — powiedziałem. — Dopóki nas tu nie było, to kapitaliści na pewno nie pozwalali wam w tym dniu świętować. Chyba jeszcze większe normy pracy nakładali.

— Ot ty i mylisz się — powiedział. — I bez was my to robotnicze święto obchodzili. I to jeszcze jak!... Teraz to popatrzeć nie ma na co.

Dziwnie było mi to słyszeć, ale niech tam gada. Chyba pamięć zawiodła go po wódce. Bo wychlał on dzisiaj chyba z wiadro gorzały.

Lipa spytał mnie:

— Dokąd idziesz?

— Na mityng — powiedziałem. — Będą różne ciekawe rzeczy gadać. Jeden mówca, specjalnie na ten dzień, nawet z Moskwy przyjechał do Lidy.

— To i ja z tobą — rzekł Lipa. — Jestem ciekaw, jak u was takie mityngi urządzają.

Nie bardzo mi się chciało z nim iść, ale nie wypadało odmówić. Więc poszliśmy razem.

Ludzi zebrało się dużo. Pełna sala. I tu nasi proletariaccy wodzowie na portretach wiszą i różne takie robotnicze hasła widać. Słowem: bardzo pięknie i uroczyście.

Zaczęli różni mówcy na estradę wychodzić i pięknie o naszym wielkim Związku Radzieckim i o jego wodzu, Stalinie, mówić. Orkiestra też była i często „Internacjonał" grała.

Jeden mówca bardzo długo i składnie omawiał obecną sytuację na świecie. Wyjaśnił należycie podłą, zaborczą politykę krwawych angielskich imperialistów... tych podżegaczy wojennych i eksploatatorów setek milionów ludności w koloniach. Udowodnił, że Anglicy są i od wieków byli pasożytami świata. Powiedział, że na wyspie swojej nawet zboża nie chcą siać, lecz sprowadzają z kolonii, bo nie chcą pracować uczciwie. A całe ich zajęcie, to znęcanie się nad robotnikami, polowania na lisy, picie w barach i urządzanie giełd pieniężnych. Poza tym wywołują nieustannie wojny, żeby i na tym zarobić. Zakończył on swoją mowę tak: „Są w angielskim hymnie narodowym słowa, że nigdy Anglik nie będzie niewolnikiem; że zawsze będzie panował nad innymi narodami i że wszyscy będą mu służyć i go bać się. Ale to się skończy wkrótce. Jest rzeczą wielkiego rosyjskiego narodu powetować ludzkości tę krzywdę, którą jej przez stulecia wyrządziła Anglia. Za to musi ją spotkać ciężka i słuszna kara. Bo wrzód ten musi być wypalony na zawsze i bez śladu z ciała ludzkości, aby go nie wyniszczał i nie zatruwał!".

Mowa ta nam wszystkim najwięcej się spodobała i długo krzyczeliśmy: brawo! i oklaskiwali mówcę.

Niedługo przed zakończeniem mityngu wyszedł na estradę politruk i opowiadał nam bardzo wzruszająco o prawach i obowiązkach obywateli sowieckich. Długo porównywał je z prawami obywateli państw kapitalistycznych. I zrozumieliśmy, że tam są nie prawa obywateli, lecz całkowite bezprawie, terror i wyzysk. Tylko my, szczęśliwi obywatele Związku Radzieckiego cieszymy się swobodą, o jakiej nawet pojęcia nie mają obywatele państw burżuazyjnych. W pewnej chwili politruk zwrócił się do sali i spytał:

— Kto mi powie: jaki jest obowiązek dobrego żołnierza Armii Czerwonej?

Z sali ktoś powiedział głośno:

— Bić wrogów Rosji Sowieckiej w każdym czasie i w każdym miejscu!

— Słusznie! — potwierdził jego słowa politruk.

Rozległy się oklaski i brawa.

— A kto mi powie: jaki jest obowiązek dobrego komunisty lub komsomolca?

— Być wiernym towarzyszowi Stalinowi oraz partii i posłusznie wykonywać ich rozkazy! — krzyknął z głębi sali jakiś cywil.

— Słusznie! — potwierdził politruk.

Znów rozległy się oklaski i brawa.

— A kto mi powie — rzekł dalej politruk — jaki jest główny obowiązek prawdziwej sowieckiej kobiety?

Na sali milczeli, bo to niełatwo zgadnąć albo zrozumieć. Przecież obowiązków tych jest niemało. A tu trzeba krótko odpowiedzieć w taki sposób, żeby do więzienia albo do łagru nie trafić. Ale po dłuższym milczeniu całej sali politruk powiedział sam:

— Najważniejszym obowiązkiem prawdziwej sowieckiej kobiety jest: wychować swe dzieci na wiernych synów Związku Radzieckiego i jego wielkiego wodza Josifa Wissarionowicza Stalina.

Cała sala rozbrzmiewała od oklasków, które trwały bardzo długo. Potem mówca spytał:

— A jaki jest obowiązek prawdziwego mężczyzny?

I tym razem wszyscy milczeli. Rzecz jasna: każdy człowiek chce żyć i to żyć na wolności, nie zaś w łagrze. Nagle odezwał się Lipa, który stał obok mnie:

— Dobrze zapinać rozporek.

Ja struchlałem. Na sali milczenie. A Lipa czeka i pyta jakiegoś lejtnanta:

— Dobrze mu powiedziałem? ... Co? ...

Na szczęście nie wszyscy go słyszeli i nie wszyscy zrozumieli, co powiedział. Bo to można by i za kpiny kontrrewolucyjne uznać. Jakiś kapitan NKWD nawet już nim się zainteresował i spytał mnie:

— Kto to taki?

— Pijany robotnik kolejowy — powiedziałem. — Ucieszył się ze święta i wolności, więc upił się i coś tam mamrocze.

Zacząłem ja od Lipy odsuwać się, żeby nie zapodejrzano mnie, że go znam. Czy można wiedzieć: kto jego słowa słyszał i jak je zrozumiał? Na szczęście mówca znów zabrał głos i sprawę tę sam wyjaśnił:

— Prawdziwy sowiecki mężczyzna musi być zawsze gotów (w tym miejscu Lipa pewnie coś bardzo paskudnego powiedział, bo wszyscy zaczęli od niego odsuwać się) oddać swe życie i pracę dla dobra Związku Radzieckiego!

Cała sala długo oklaskiwała politruka. Ja też waliłem w dłonie z całych sił. A jednocześnie boczkiem, boczkiem, ku wyjściu kierowałem się, aby jak najprędzej znaleźć się dalej od Lipy.

Bardzo ja żałuję, że u Lipy mieszkam. Zdawałoby się, że powinien być porządnym człowiekiem i uczciwym robotnikiem. Ale, jak widać, jest on zupełnie głupi. Jestem pewien, że niedługo on się tu uchowa i że wyślą go na przeszkolenie tam, gdzie dla podobnych elementów miejsca są przygotowane.

Jednak tym razem Lipa nie wpadł. Chociaż późno bardzo, ale wrócił do domu. Idąc, jakąś polską piosenkę śpiewał. Ja czym prędzej światło zgasiłem i udałem że śpię. Bałem się że może do mnie zajść. Bardzo to niebezpieczny człowiek!

C.D.N.